
ANTONI KUCZYŃSKI

**DWIE ROCZNICE (1928-1939) – (1988-2008).
DWA JUBILEUSZE ZWIĄZKU SYBIRAKÓW**

*Piszcie, niech inni nie fałszują
naszej historii.*
Marszałek Józef Piłsudski

W roku 2008 upłynęło osiemdziesiąt lat od utworzenia Związku Sybiraków w II Rzeczypospolitej. Powstał on w 1928 roku z inicjatywy kadry oficerskiej 5. Syberyjskiej Dywizji, która po klęsce pod Klukwieną na Syberii, znacznie przetrzebiona ewakuowała się do kraju w roku 1920. Związek miał na celu kultywowanie polskich tradycji syberyjskich, wspieranie różnych instytucji odrodzonego państwa polskiego działających na rzecz jego rozwoju, krzewienie patriotyzmu i służby dla ojczyzny oraz wzajemne wspomagania się będących w potrzebie Sybiraków, którzy po pierwszej wojnie światowej powracali do kraju mając za sobą wiele lat zesłańczej niewoli. Powracali także Polacy, żołnierze armii austro-węgierskiej wzięci do niewoli w okresie pierwszej wojny światowej i internowani w obozach na terenie Syberii oraz innych rejonach rosyjskiego imperium, żołnierze 5. Syberyjskiej Dywizji, Samodzielnej Brygady Kaukaskiej, studenci i dobrowolni mieszkańcy tej krainy, którzy tu w kraju nad Wisłą podzielonym zaborami nie mogli znaleźć zatrudnienia.

Nasza obecność na Syberii, skąd powracano po odzyskaniu niepodległości przez Polskę spowodowana więc była wieloma uwarunkowaniami. Najważniejszymi z nich były oczywiście zabory i ich pochodne mentalne oraz polityczne w kraju pozbawionym niepodległości i następstwa wynikające z tego stanu rzeczy. Należały więc do nich między innymi studia Polaków na uczelniach rosyjskich, a potem podejmowanie pracy za Uralem, dobrowolna emigracja rolnicza na przełomie XIX i XX wieku w czasach tzw. reformy stołypinowskiej w Rosji pod koniec XIX i na początku XX wieku, budowa kolei transsyberyjskiej, rozwój przemysłu na Syberii dający łatwą możliwość znalezienia tam pracy. To wszystko stało się częścią żywej tradycji znaczonej smutną codziennością kraju rządzonego wiele lat przez zaborcę. Problematyka związana z obecnością Pola-

ków na Syberii jest zdecydowanie rozleglejsza i wiele zagadnień czeka jeszcze na pełniejsze omówienie. Ogniskują się one wokół wielu kwestii rozumienia tych dziejów i ich społecznej funkcji oraz recepcji. Polacy za Uralem, mimo różnych opracowań historycznych i bogatej literatury pamiętnikarskiej to chyba jedna z mniej zapoznanych dziedzin naszej historii i złowrogiego w dziejach Polski systemu represji. Trudny to okres dziejów nie tylko dla ofiar tych zesłań, np. w XIX stuleciu, lecz również dla badań historyków, którzy mimo, iż archiwa rosyjskie są w zasadzie dostępne dla takich badań nie posiadają oni stałego finansowego wsparcia by prowadzić takie źródłowe kwerendy. W sukurs tym oczekiwaniom przychodzą historycy rosyjscy, zwłaszcza z Syberii, posiadający nierzadko polskie korzenie podejmujący tematy polskiego dziedzictwa naukowego i gospodarczego na Syberii w XIX i na początku XX stulecia. Do badaczy tych należą bez wątpienia Wasyl Haniewicz z Tomsku, Sergiusz Fiel z Tiumeni, Tatiana Niedzieluk i Katarzyna Tumanik z Nowosybirsk, Renata Opłakańska i Sergiusz Leończyk z Abakanu, Irina Nikulina, Nina Jakowlewa i Walery Skubniewski z Barnaulu, Swietłana Mulina z Omska, Władysław Łatyszew z Južno-Sachalińska, czy Bolesław Szostakowicz z Irkucka, publikujący nieraz swoje teksty na łamach „Zesłańca”, „Wrocławskich Studiów Wschodnich” oraz w tomach pokonferencyjnych. Niektórzy z nich pozostają w kontakcie ze Związkiem Sybiraków i są aktywnymi animatorami odradzania się polskości za Uralem. Często też z ich inicjatywy w miejscowych muzeach tworzone są ekspozycje ukazujące związki polsko-syberyjskie, ogłaszają też oni prace z tego zakresu w wydawnictwach rosyjskich, bywają też inicjatorami wnoszenia pomników, nazw ulic i tablic memoratywnych upamiętniających „polski los” na Syberii oraz organizują międzynarodowe i lokalne konferencje naukowe losowi temu poświęcone.

Nie można tu pominąć znamiennej chwili, że z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku dały znać o sobie podziały mentalne w społeczeństwie będące spadkiem polityki trzech zaborców o czym dobrze wiadomo historykom.¹ Ponadto lata wojny światowej spowodowały też pragnienie spokoju i różne podziały polityczne znaczące drogę ku wolności. To wszystko nie ułatwiało konsolidacji społeczeństwa na rzecz tworzenia własnej państwowości. Jędrzej Moraczewski, pisał wówczas, iż

niepodobna oddać tego upojenia, tego szału radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach przysły kordony. Nie ma ich! Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Chaos? To nic. Będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z bączkiem, będziemy sami sobą rządzili...Kto tych krótkich dni nie przeżył, kto nie

¹ T. Kulak, *Mit walki o niepodległość w okresie porozbiorowym*, [w:] *Polskie mity polityczne XIX i XX wieku. Kontynuacja*, pod red. W. Wrzesińskiego, Wrocław 1996, s. 17-32.

szalał z radości w tym czasie wraz z całym narodem, ten nie dozna w swym życiu większej radości. Cztery pokolenia nadaremno na tę chwilę czekały, piąte do czekało. Od rana do wieczora zbierały się tłumy na ulicach miast; robotnik, urzędnik porzucał pracę, chłop porzucał rolę i leciał do miasta, na rynek, dowiedzieć się, przekonać się, zobaczyć wojsko polskie, polskie napisy, orły na urzędach, rozczulano się na widok kolejarzy, ba na widok polskich policjantów i żandarmów.²

Wiele było różnych komponentów towarzyszących odzyskanej niepodległości i niektóre z nich integrowały się potem tworząc spójny system pożądaných w owym czasie działań politycznych, społecznych i gospodarczych. Ich symbolem był Józef Piłsudski oraz jego „drużyny strzeleckie”, krakowskie Oleandry i Legiony. W sferze tej J. Piłsudski dokonał rzeczy nie mającej precedensów, uczynił bowiem ze swej patriotycznej postawy narzędzie ideotwórcze obejmujące niemal całość działań niepodległościowych po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Na tym tle, na zasadzie kontrastu, uwypuklają się jego śmiałe działania na rzecz niepodległości i tworzenia jedności ducha narodowego, utrudnione poprzez warunki polityczne i mentalne spowodowane rozbiorami. Mit jego postaci ugruntował się jeszcze bardziej po słynnym „cudzie nad Wisłą” i zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej. Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918, a potem kolejno po traktacie ryskim (1921) wędrówka Polaków z Rosji do kraju stała się zjawiskiem powszechnym. W ten nurt wpisuje się w pewnym stopniu powstanie w roku 1928 Związku Sybiraków, który działał do drugiej wojny światowej. Jego istnienie w międzywojniu było wyrazem odradzania się ducha narodowego i pielęgnowanie tradycji syberyjskich, niosło z jednej strony hasło „Syberii bez przekleństw”, z drugiej zaś przekazywanie młodemu społeczeństwu obrazu utkanego z narodowych nieszczęść za Uralem. Uważam, że ten wątek polskich dziejów na Syberii winien być kontynuowany, co nie oznacza, że wokół wielu kwestii tej historii nazywanej dzisiaj „Golgotą Wschodu” powinniśmy przechodzić obojętnie! Wszakże okres drugiej wojny światowej i masowe deportacje w głąb Związku Radzieckiego sprawiły, że widok Syberii ożył w polskim narodzie ze zdwojoną siłą. Nigdy bowiem wcześniej nie wysłano tak masowo na zesłanie wiele setek tysięcy ludzi jak miało to miejsce w latach 1940-1941, tj. po 17 września 1939 roku i zajęciu wschodnich obszarów Rzeczypospolitej. Był to jeden z najbardziej złowrogich okresów w naszych stosunkach z sąsiadem ze Wschodu, w który wpisane były Katyń, Kołyma i cały złowrogi Sybir. Na domiar złego już po wojnie gdy powracali Polacy z zesłania, w ich Ojczyźnie rządzonej przez komunistów nie było możliwości pisania i mówienia o tym co przeżyli, a tym bardziej warunków do reaktywowania Związku Sybiraków. Kładły się na tej tragedii złowrogim cieniem: cenzura, wątpliwej jakości sojusz wojskowy i dekretowana urzędowo „przy-

² J. Moraczewski, *Przewrót w Polsce*, Warszawa 1919, s. 17.

jażn ze Związkiem Radzieckim”, której nie wolno było burzyć pisaniem o tragedii jeńców obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie (rozstrzelanych w Katyniu, Charkowie i Twerze), więźniów Workuty, Norylska, Kołomy, Karagandy czy Tajszetu oraz masowych deportacji z lat 1940-1941. Podobnie było z problematyką sowieckich zesłań na Sybir. Wielu spośród wywiezionych wówczas Polaków nigdy nie powróciło z wygnania a Ci, którzy ocaleli musieli skrywać fakt swej syberyjskiej udręki. Historia Polaków za Uralem to nie tylko wiedza o pojedynczych faktach czy ich zbiorach, ale to również forma ich mityzacji, rozumienia oraz systematyzowania w pewne ciągi przyczynowo-skutkowe. Na takie uprawianie historii dotyczącej tego zjawiska nie było przyzwolenia w okresie tzw. Polski Ludowej. Dopiero w czasach powstania „Solidarności”, literatura tzw. drugiego obiegu szerzej spopularyzowała tragiczne doświadczenia Polaków na Syberii z okresu drugiej wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu. Możliwości usunięcia tzw. białych plam z naszej historii pojawiły się gdy Polska Rzeczpospolita Ludowa chyliła się ku upadkowi, a reaktywowany w roku 1988 Związek Sybiraków kontynuując tradycje organizacji powstałej w roku 1928 rozpoczął działania na rzecz odsłaniania prawdy o Sybirze z czasów drugiej wojny światowej, co wcześniej nosiło charakter całkowitego zamknięcia. Fakt ten uznać należy za doniosłe wydarzenie w dziedzinie popularyzacji dziejów Polaków na Syberii. W oczekiwania na otrzymanie pogłębionej i obiektywnej wiedzy na temat deportacji wpisują się historycy wzbogacając stan badań z tego zakresu, autorzy ważnych publikacji przynoszących wiele nowych faktów na ten temat, ujawnionych dzięki podejmowanym badaniom, często z wykorzystaniem źródeł radzieckich.

Wzorem działalności wydawniczej emigracyjnych środowisk, także po roku 1989 w wolnej Polsce zaczęły się pojawiać książki będące kopalnią wiedzy o warunkach życia na zesłaniu, pozwalające obcować czytelnikom z bagażem okrutnych doświadczeń, jakie były udziałem zesłańców. Ukazywanie realiów bytowania oraz obszerna faktografia z tym związana przybliżała czytelnikom sybirski autentyzm minionych lat. We wspomnieniach tych odzywa się echo ponurych doświadczeń tamtych czasów, tak plastycznie częstokroć przedstawionych, że zesłańczy świat realnieje, świat w którym rdzeniem do jego przetrwania była wiara w Boga, modlitwa i nadzieja! Wątki te znaleźć można w wielu publikacjach tego samoistnego pisarstwa zaliczanego do nurtu tzw. literatury syberyjskiej ostatnich lat dwudziestego stulecia inspirowanego i wspieranego przez Związek Sybiraków.

*

W roku 2008 w którym przypadał Jubileusz 80-lecia powstania Związku Sybiraków, centralne uroczystości z tym związane odbyły się we wrześniu w Białymstoku podczas VIII Marszu Żywej Pamięci Pol-

skiego Sybiru, mieście w którym znajduje się Grób Nieznanego Sybiraka i Muzeum Golgoty Wschodu. Związek powstał w 1928 roku z inicjatywy oficerów 5. Syberyjskiej Dywizji, która jak już wspomniano ewakuowała się do kraju w roku 1920 z terenu syberyjskiej części Rosji. Po odzyskaniu niepodległości powracali także do kraju inni Polacy, którzy przebywali za Uralem zesłańcy i ich dzieci, żołnierze internowani w Rosji w okresie pierwszej wojny światowej, lekarze, inżynierowie, studenci. To właśnie wśród studentów Politechniki Warszawskiej powstał w 1922 roku Niezależny Akademicki Związek Sybiraków, krzewiący pamięć o polskich dziejach na Syberii ale mający także charakter stowarzyszenia wspierającego studentów-sybiraków tej uczelni.

Jego pierwszym prezesem był Tadeusz Ligarzewski, jeden z inicjatorów powstania tej organizacji. Powstanie tego akademickiego związku, którego podstawą działania była pomoc w środowisku studenckim, wywołało duży rezonans wśród sybiraków. Coraz częściej dawały znać o sobie dążenia do integracji ruchu sybirackiego w odrodzonej Ojczyźnie. Wychodziły one przede wszystkim ze strony środowiska byłych żołnierzy i dowódców syberyjskiej dywizji oraz jeńców wojennych internowanych na terenie Rosji. Początkowo idea ta funkcjonowała poza oficjalnym nurtem, tylko w niewielkim stopniu mającym charakter konkretnych propozycji. W roku 1926 powstała jednak w Katowicach lokalna organizacja pod nazwą Związek Sybiraków, a jej inicjatorem był porucznik Józef Zemła, uczestnik walk z Rosjanami w okresie pierwszej wojny światowej oraz Jerzy Sawicki, były naczelnik harcerzy z Jekaterynburga. Wspomnijmy tu w dopełnieniu tej informacji, że J. Zemła był później przez wiele lat aktywnym członkiem ogólnopolskiego Związku animującym wiele jego przedsięwzięć socjalnych, społecznych, kulturalnych i oświatowych. Aresztowany przez Niemców, zginął 10 marca 1941 roku w obozie koncentracyjnym Mauthausen na terenie Austrii. Ta inicjatywa katowicka przyśpieszyła urealnienie myśli utworzenia organizacji grupującej byłych Sybiraków z terenu całego kraju. Jesienią 1927 roku warszawskie środowisko oficerów syberyjskiej dywizji powzięło postanowienie utworzenia ogólnopolskiego Związku Sybiraków. W pracach organizacyjnych uczestniczyli płk Walerian Czuma, płk Edward Dojan-Surówka, płk Jan Skorobohaty-Jakubowski, płk Bolesław Sobolewski i kpt. Stefan Wojstomski. W styczniu 1928 roku w Kasynie Oficerskim mieszczącym się w Cytadeli Warszawskiej odbyło się zebranie organizacyjne, na którym omawiano zadania i kierunki działalności przyszłej organizacji sybirackiej oraz powołano tzw. komitet wykonawczy, którego sekretarzem został S. Wojstomski. Już w dniach 29-30 czerwca 1928 r. w gmachu Politechniki Warszawskiej odbył się Założycielski Zjazd Związku Sybiraków, w którym uczestniczyło około 2. tysiące delegatów.

Zadania, jakie przed Związkiem postawił Zjazd dotyczyły: pracy dla niepodległego państwa i pełne poparcie dla polityki Marszałka Józefa

Piłsudskiego; utrwalanie na piśmie czynów, myśli i uczuć zrodzonych u członków w różnych warunkach bytowania na Syberii oraz niesienie pomocy potrzebującym Sybirakom. Pierwszym prezesem został wybrany Antoni Anusz, który pełnił tę funkcję przez trzy lata (1928-1931), później zastąpił go Henryk Suchenek-SucHECKI (1931-1937), a po nim na VIII Walnym Zjeździe Związku Sybiraków odbywającym się w Brześciu nad Bugiem (1938) funkcję tę przejął płk Jan Skorobohaty-Jakubowski. Wspomniany H. Suchenek-SucHECKI w przemówieniu na I Zjeździe powiedział między innymi:

Obóz nasz wprowadza w czyn ideologię Wodza Narodu – Marszałka Piłsudskiego, ma on w Polsce wiele jeszcze do zrobienia. Rola jego musi z każdym dniem wzrastać i mnożyć się muszą jego szeregi. Specjalne zadania spadają na Związek Sybiraków, który jest mostem, który łączy młode i stare pokolenie. Musi on przechowywać wszystkie wspomnienia najcięższych chwil przeżywanym przez naszych ojców i historie walk 5. Dywizji Syberyjskiej, która jest jednym z najpiękniejszych ogniw w tych wspomnieniach.³

Ryc. 1. Sztab V Dywizji Strzelców Polskich. Stoją w pierwszym rzędzie od lewej: kpt. Dojan, ppłk Jakubowski, płk Rumsza, ppłk Piekarski, płk Skiergiełło-Jacewicz.

Założycielski Zjazd Związku Sybiraków (1928) odbywał się w atmosferze porozbiorowych porachunków, przesunięć znaczeniowych w obrębie zadań jakie ciążyły na Narodzie w 10 lat po odzyskaniu państwowości oraz głębokich zmian w świadomości zbiorowej rozbudzonej hasłami pracy dla Ojczyzny i pożytku ogólnego. W takim polityczno-spo-

³ A. Ż., *Dzieje Związku Sybiraków*, „Naród i Wojsko”, 1934, nr 7, s. 4.

łecznym pejzażu budowano też zaufanie do Marszałka Józefa Piłsudskiego. Założycielski Zjazd Związku Sybiraków wybrał go jednogłośnie Honorowym Członkiem Związku wręczając mu legitymację członkowską z numerem 1. Na syberyjskim zesłaniu przebywał on w latach młodości, gdy w trybie administracyjnego nakazu, zesłano go na 5 lat na Syberię za pozostawanie w kontaktach z zamachowcami na życie cara Aleksandra III, podając w uzasadnieniu tej decyzji, iż „Józef Piłsudski działał świadomie w interesie rewolucyjnego spisku.” Jego brat Bronisław studiujący wówczas na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Sankt Petersburgu był jednak w bliższych kontaktach z zamachowcami, przeto pierwotnie skazano go na karę śmierci, którą następnie zamieniono potem na 15 lat katorżniczej pracy na wyspie Sachalin.

Ryc. 2. Tajga – węzeł kolejowy na linii transsyberyjskiej.
Miejsce najkrwawszej bitwy w dziejach V Dywizji. Kartka pocztowa z ok. 1910 r.

w rodzinnym Piłsudskich żywe były tradycje patriotycznych działań, te najbliższe młodemu Bronisławowi i Józefowi wiązały się z powstaniem styczniowym. Ich ojciec był w roku 1863 był komisarzem Rządu Narodowego na powiat rosneński. Także babka Teodora z Butlerów Piłsudska więziona była za pomoc jaką okazywała powstańcom. Niemalą rolę w krzewieniu patriotycznych tradycji wśród swoich synów odegrała również ich matka Maria z Billewiczów, i rzecz można iż z różną siłą zmieniały się jej oddziaływania w miarę dorastania młodzieńców. Nazwałbym jej ówczesną rolę formą patriotycznego kapłaństwa, kształtującego postawy ideowe swych synów, którzy w okresie nauki gimnazjalnej w

Wilnie byli współtwórcami młodzieżowej organizacji „Spójnia” o charakterze samokształceniowym dającą pewnego rodzaju przestrzeń myślową wolną od natrętnej rusyfikacji jaką przepojone były programy szkolne. Problem świadomości narodowej i wynikających z niej obowiązków był osią przewodnią jej apostołowania w wychowywaniu dzieci, dorastających w trudnych czasach po powstaniu styczniowym gdy nasilił się proces rusyfikacji szkół i różnych destrukcyjnych form mających mieć wpływ na młode pokolenie. Zdaję sobie sprawę, że rozmyślania te schodzą na pobocze jakim jest historia Związku Sybiraków, biorąc jednak pod uwagę fakt, że związany był z nim J. Piłsudski, stąd te lakoniczne napomknięcia związane z jego patriotycznym wychowaniem jakie wyniósł z domu rodzinnego oraz z ideałami z którymi kroczył potem przez całe późniejsze życie.

Ryc. 3. VII Zjazd Sybiraków we Lwowie 28-29 VI 1936. Za stałem przydialnym: gen. Litwinowicz, gen. Czuma prezes Związku, naczelnik H. Suchenek-Suchocki, dwaj weterani 1863 roku.

Godność Członka Honorowego przyznaną przez Założycielski Zjazd Związku Sybiraków otrzymał również Wacław Sieroszewski, wieloletni zesłaniec do Jakucji, badacz kultury Jakutów, znany pisarz i działacz niepodległościowy. Długoletni pobyt w tym Kraju nad Leną, jak często nazywano Jakucję, uczynił zeń etnografa, którego sława żywa jest tam po dzień dzisiejszy o czym miałem możliwość przekonać się przebywając przed paroma laty w Jakucku i innych rejonach tego kraju. Jego życiorys jest niezwykle ciekawy, w którym nieodmiennie przeplatały się przedziwne wydarzenia, zatem można powiedzieć, że był on zesłańcem,

etnografem, literatem i politykiem. W latach 1880-1892 przebywał na zesłaniu a zafascynowany kulturą Jakutów wśród których wypadło mu żyć bacznie przyglądał się ich kulturze, którą później opisał w monumentalnym dziele pt. *Jakuty. Opyt etnograficznego iissledowanija*, które ukazało się w 1896 roku i nagrodzone zostało złotym medalem Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Wówczas też otrzymał zgodę na powrót do kraju. W 1898 roku W. Sieroszewski zamieszkał w Warszawie poświęcając się pracy pisarskiej i niepodległościowej. Tam ukazała się zmieniona wersja wspomnianej etnograficznej monografii kultury Jakutów nosząca polski tytuł *Dwanaście lat w kraju Jakutów*, Warszawa. Publikował też teksty literackie. Zajęcia te dzielił pisarz z różnymi pracami na rzecz środowisk patriotycznych, raz po raz inwigilowany przez carską policję polityczną. Groziło mu nawet ponowne zesłanie na Syberię ale dzięki wstawiennictwu wpływowych środowisk naukowych Petersburga, pomysł ten został skutecznie zneutralizowany i zorganizowano mu wyprawę na wyspę Hokkaido by tam przeprowadził badania etnograficzne wśród Ajnów.

Ryc. 4. Walny Zjazd Sybiraków w sali Rady Miejskiej w Warszawie, 2 X 1938 roku.

W wyprawie tej brał także udział B. Piłsudski. Wyprawa ta dopełniła przestrzeń etnograficznych badań W. Sieroszewskiego, a także literackiej twórczości o tematyce japońskiej i koreańskiej. W obszernym spektrum jego ówczesnych zainteresowań były także sprawy natury politycznej. Od roku 1913 należał do Związku Strzeleckiego, a w latach 1914-1915 walczył na froncie jako żołnierz I Brygady Legionów Józefa

Piłsudskiego. Po odzyskaniu niepodległości był ministrem propagandy w rządzie Ignacego Daszyńskiego, potem aktywnie uczestniczył w życiu publicznym i politycznym pozostając w bliskich stosunkach z J. Piłsudskim. Tym zagadnieniom poświęcił wiele artykułów i wystąpień publicznych głoszących potrzebę wolności i niepodległości. W roku 1921 został prezesem Związku Strzeleckiego, pełnił też przez parę kadencji stanowisko prezesa Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz prezesa Polskiej Akademii Literatury. Był też w latach 1935-1938 senatorem RP.⁴

Zasługi W. Sieroszewskiego na polu etnografii Jakucji są dziś szczególnie tam podkreślane. W roku 1993 ukazało się drugie wydanie cytowanej powyżej monumentalnej monografii etnograficznej *Jakuty...*, potem odbyły się w Jakucku międzynarodowe konferencje (1997 i 1999, 2008), na których prezentowano jego zasługi w dziedzinie badań etnograficznych w tym kraju. W centrum Jakucka wzniesiono staraniem tamtejszego stowarzyszenia „Polonia”, Jakuckiej Akademii Nauk oraz przy wsparciu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa pomnik poświęcony polskim zesłańcom w Jakucji, badaczom tej ziemi i kultury jej autochtonicznych etnosów. Wokół centralnej części pomnika znajdują się imienne znaki pamięci poświęcone J. Czerskiemu, A. Czekanowskiemu, W. Sieroszewskiemu i E. Piekarskiemu, którzy badali ten kraj pod względem geograficznym oraz zajmowali się językiem i kulturą jakuckiego narodu. Ostatnia z konferencji poświęcona W. Sieroszewskiemu i E. Piekarskiemu odbyła się w Jakucku w listopadzie 2008 roku, w 150-rocznicę ich urodzin i była jeszcze jednym znamiennym faktem hołdu i szacunku jaki nauka jakucka żywi wobec tych zesłańców. W Polsce natomiast międzynarodowe sympozjum pod nazwą „Wacław Sieroszewski (1858-1945). Zesłaniec – Etnograf – Literat – Polityk. Związki polsko-jakuckie. Tradycja i współczesność”, wsparte przez Senat RP obradowało w dniach od 3 do 6 grudnia 2008 roku w gościnnych salach Domu Polonii w Pułtusku z udziałem historyków literatury, etnologów i historyków. W obradach wzięli także udział Jakuci reprezentujący środowiska naukowe oraz administrację rządową tego Kraju nad Leną. Temat konferencji dał szansę stworzenia przyszłej publikacji poświęconej W. Sieroszewskiemu tyleż wartościowej, co niebywale potrzebnej przypominającej złożone losy tego niezwykłego humanisty i polityka. Jego dzieje wpisane w historię zesłańczych losów Polaków pełniej poznano dzięki temu spotkaniu uczonych. Były to zarówno opowieści o jego odległym i trudnym życiu na zesłaniu oraz fakty i realia dotyczące późniejszego, niezmiernie aktywnego życia, mozołnie przywoływane z przeszłości a posiadające nieodparty urok tamtych odległych czasów. Obrady okraszała obecność ro-

⁴ A. Sieroszewski, *Słowo i czyn. Życie i twórczość Wacława Sieroszewskiego*, Warszawa-Wrocław 2008. Wydano z okazji VII Konferencji Międzynarodowej „Wacław Sieroszewski (1858-1945). Zesłaniec – Etnograf – Literat – Polityk. Związki polsko-jakuckie. Tradycja i współczesność. Pułtusk – grudzień 2008 r.”

dziny W. Sieroszewskiego, której relacje o „przodku Waławie” stanowiły smakowity kąsek dla każdego zainteresowanego historią jego życia i twórczości.

Śledząc dzieje Związku Sybiraków w okresie międzywojennym widać wyraźnie, jak bliskie kontakty łączyły W. Sieroszewskiego z byłymi zesłańcami. Swym autorytetem wspierał on działalność Związku, zabiegał o fundusze na rzecz pomocy socjalnej sybirakom, często bywał w oddziałach terenowych i uczestniczył w zjazdach. Na zjeździe lubelskim mówił o konieczności jedności Związku, jego zadaniach na kolejne lata, mając zawsze na względzie trwanie zesłańczej tradycji jako ważnego elementu edukacji młodzieży i narodowego patriotyzmu. Na wspomnianym zjeździe lubelskiego okręgu Związku podkreślając znaczenie syberyjskiej tradycji powiedział:

Kochani Koledzy. Łączy nas wszystkich wspomnienie Sybiru, dokąd rzucił nas los, gdzie wszyscy spędziliśmy najświetniejsze czasy naszego życia – młodość! Z konieczności oddaliśmy temu krajowi naszą pracę, naszą troskę i nasze uczucia. W zamian czerpaliśmy urok olbrzymich, często dziewiczych obszarów, porośłych nieobeszłymi tajgami, mrocznymi urmanami, pokrytych mszarami, porostami z jagielem, zamieszkałych przez gromady ptactwa i nieprzebrane zastępy zwierza [...]. Kraj ten każdy z nas wspomina, gdyż zapomnieć go trudno, choćby dlatego, że pozostało w nim tyle naszych trudów, nadziei i tęsknot.⁵

Skąpe archiwalia nie pozwalają na pełne odtworzenie działalności Związku, nie wiemy też jaka była jego liczebność. Udało się natomiast ustalić, że praca związkowa prowadzona była w oparciu o utworzone okręgi: warszawski, białostocki, krakowski, lubelski, lwowski, pomorski, śląski, wileński, wołyński oraz w 3 kołach – w Chrzanowie, Drohobyczu i Lidzie. Związek posiadał swój hymn, zwany też marszem Sybiraków zatwierdzonym przez VI Walne zgromadzenie obradujące w Wilnie w roku 1936. Autorem słów hymnu był porucznik marynarki wojennej J. St. Bortlewicz, zaś muzykę skomponował sędzia Władysław Muśnicki jeden z wiceprezesów Związku. Hymn ten w wykonaniu orkiestry 36 pułku piechoty nagrany został na płytach „Syrena-Elektro”. Niestety, żmudne poszukiwania, które podjąłem by odnaleźć jego tekst i muzykę nie zostały uwieńczone sukcesem. Może w poszukiwaniach pomogą uczestnicy tego artykułu? Podobnie bowiem stało się z odnalezieniem niektórych przedwojennych sztandarów Związku i różnych dokumentów z jego działalności przechowywanych w zbiorach rodzinnych. Taki np. zespół materiałów przekazały ostatnio autorowi tego tekstu Joanna Drabczyk-Syty z Oświęcimia spowinowacona ze wspomnianym powyżej Józefem Zemłą i Barbara Rewińska-Kościuk z Warszawy, autorka wspomnień z pobytu w Kazachstanie zatytułowanych *Tylko księżyc był ten sam. Autobiograficzna opowieść o zsyłce do Kazachstanu w latach 1940-*

⁵ W. Sieroszewski, *Z działalności okręgu lubelskiego, poświęcenie sztandaru*, „Sybirak”, 1935, nr 1(5), s. 71-72.

1946, Warszawa 2003, którą więzy rodzinne łączyły ze Stanisławem Bohdanowiczem, żołnierzem 5. Syberyjskiej Dywizji, autorem fascynującej książki dotyczącej jego wojaczki na Syberii, noszącej tytuł *Ochotnik*, Warszawa 2006., której fragmenty drukowane były w „Zesłańcu” zanim w całości wydana została przez Ośrodek „Karta”.

*

Pewną próbą porządkowania dziejów Związku Sybiraków w okresie międzywojnia niech będzie przypomnienie jego kolejnych Zjazdów. W rok po tzw. I Zjeździe Założycielskim w 1928 r. odbył się w Warszawie w dniach od 15-16 lipca 1929 r. II Zjazd Związku Sybiraków. Przeanalizowano na nim słuszność przyjętych założeń organizacyjnych, które zweryfikowała roczna działalność poszczególnych ogniw. Weryfikując szlachetność przyjętych ideałów szukano sposobów nadania im kształtu wymiernego, wyrażającego się w konkretnych działaniach, zastanawiając się nad prawdziwą hierarchią wartości tych działań u progu odzyskanej niepodległości. Można więc zaryzykować pogląd, że ten jednoroczny okres jaki upłynął od chwili założenia Związku do II Zjazdu był dla jego władz i członków okresem w którym Związek miał wybić się na samoistność i obronić przed podejmowaniem mało znaczących przedsięwzięć. Kolejne zjazdy miały miejsce w dniach 18 i 19 czerwca 1933 roku. Zjazd zwany III obradował w Warszawie 18 czerwca w lokalu na Nowym Świecie 67 i wzięło w udział 1100 osób. Odbył się z okazji trzech rocznic: 15-lecia V Dywizji Syberyjskiej; 5-lecia Związku Sybiraków oraz Zjazdu Sierot Syberyjskich, zrzeszonych w Związku Młodzieży Dalekiego Wschodu. Uchwalono na nim deklarację ideową, w której wyrażono gotowość poświęcenia dla dobra Ojczyzny wszystkich swych wysiłków, jak też poparcie dla działań Rządu zmierzających do przełamania kryzysu.

Następnego dnia tj. 19 czerwca odbył się IV Zjazd Delegatów, w którym wzięli udział członkowie wybrani w poszczególnych okręgach. Miał on charakter sprawozdawczy, bowiem prezesi przedstawili działalność swych regionalnych jednostek oraz przedyskutowali dalsze działania Związku w zakresie upowszechniania w społeczeństwie wiedzy o polskich dziejach na Syberii. Tam też dyskutowana była propozycja utworzenia własnego periodyku, który miałby być lekturą upowszechniającą zwiazki polsko-syberyjskie. Jak się później okazało gdy „Sybirak” zaczął się ukazywać publikowane weń teksty były obiektywnym przekazem wiedzy o sybirackiej rzeczywistości Polaków i dokumentarnym jej obrazem przeniesionym na łamy pisma. Pomysł wydawania kwartalnika „Sybirak” został wkrótce urealniony i jego pierwszy zeszyt ukazał się w roku 1934. W tym też roku w dniach od 29 czerwca do 1 lipca odbył się w Krakowie V Zjazd Związku. Po oficjalnym otwarciu Zjazdu na Wawelu, jego uczestnicy udali się na Uniwersytet Jagielloński gdzie odbyła się uroczysta akademicka o wielce patriotycznej wymowie. Dalsze obrady odbyły się również w gościnnych salach Zamku Wawelskiego. Po omó-

wieniu spraw organizacyjnych i ustaleniu programu na najbliższy okres, postanowiono aby przy poszczególnych okręgach powołać koła byłych żołnierzy 5. Dywizji Syberyjskiej.

29-30.06.1935 r. – w Wilnie przy ulicy Szkolnej 11 odbył się VI Walny Zjazd Sybiraków. W pierwszym dniu Zjazdu podczas Mszy św. poświęcono Sztandar Okręgu Wileńskiego Związku Sybiraków oraz oddano hołd sercu śp. Marszałka Józefa Piłsudskiego. W drugim dniu odbyły się obrady, powołano komitet budowy Pomnika Sybiraków w Warszawie. Ponadto zatwierdzono tekst i melodię „Marszu Sybiraków” oraz podjęto szereg ważnych zaleceń natury organizacyjnej, między innymi propozycji Okręgu Warszawskiego dotyczącej utworzenia „Koleżeńskie-go Funduszu Ubezpieczenia przy Związku Sybiraków”.

Pozostajemy jeszcze na chwilę przy rekonstrukcji kalendarza kolejnych zjazdów, które były częstokroć miejscem konfrontacji zamierzeń i wynikających z nich planów bieżącej działalności organizacyjnej. Taki też charakter miał VII Zjazd odbywający się we Lwowie w dniach 28-29 czerwca 1936 r. Podobnie jak na poprzednich zjazdach także i na tym mówiono o konieczności krzewienia wiedzy o Polakach na Syberii, o wzajemnym wspieraniu się społeczności sybirackiej, o warunkach egzystencji powstańców styczniowych oraz o tym wszystkim co stanowiło duchową istotę działalności związkowej. Zjazd podobnie jak poprzednie podkreślał ważność spraw patriotycznych i gotowość członków Związku „do służenia Ojczyźnie”. Uchwalono też wsparcie dla Funduszu Obrony Narodowej poprzez ufundowanie szybowca szkoleniowego. Z okazji Zjazdu odbyła się we Lwowie „Wystawa Sybirska” a nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich ukazała się książka A. Medyńskiego pt. *Lwów opiekunem sybiraków*, Lwów 1936. Wspomnijmy tu, że lwowski Oddział Związku Sybiraków powstał w 1933 roku z inicjatywy gen. Waleriana Czumy, a jego prezesem w 1936 roku był dr Teofil Seifert. Działalność oddziału zyskała duży autorytet wśród społeczności miasta Lwowa, a także jego władz miejskich, które z okazji tego zjazdu otrzymały adres następującej treści:

Związek Sybiraków i Koło Żołnierzy b. 5-tej Polskiej Syberyjskiej Dywizji, zebrani na VII. Walnym Zjeździe, czyniąc zadość potrzebie ducha i serca, składają tym aktem zawsze wiernemu Lwowowi, obrońcy polskiej idei i kultury na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, hołd szczery i gorącej wdzięczności za wiekowa troskę o losy sybirskich wygnańców, za udzielenie gościny i stałą nad nimi opiekę.

Składają go ci, którzy idąc za przykładem ojców, dziadów i pradziadów z lat 1769, 1794, 1831, 1863 i 1905 – przebyli ich martyrologię na śnieżnych stepach Sybiru i z bronią w ręku przyczynili się do wykucia wolności Ojczyzny w czasie wojny światowej.

Szczególnie interesujące w tym fragmencie dotyczącym lwowskiego Zjazdu są tradycje sybirackie tego „zawsze wiernego miasta”, sięgające czasów powstania styczniowego, w szeregach którego znaleźli się również uczestnicy z zaboru austriackiego. Gdy po słynnym powstaniu

nadbajkalskim (1866) zostali w Irkucku rozstrzelani twórcy tego niepodległościowego zrywu nad Bajkałem: Gustaw Szaramowicz, Narcyz Cełliński, Władysław Kotkowski i Jakub Raynert, we Lwowie pojawiła się anonimowa ulotka poświęcona „Pamięci Rodaków Katorżników, rozstrzelanych na Syberii w Irkucku dnia 27 listopada 1866” wyrażająca głębokie oburzenie z zaistniałego faktu, o którym napisano: „Może kiedyś, dreszczem na wskroś zadrży cała przestrzeń ta, gdy z przepaści sybirskiej wzniesie się duch nieśmiertelny potęgą wielkiej myśli – i od lodowców sybirskich w błyskawicach wielkiej zorzy północnej zaświeci na dalekie ziemie i ludy od morza do morza.”⁶

W archiwach lwowskich było mnóstwo pamiętników, zapisków, wspomnień i innych druków nawiązujących do sybirackiej martyrologii. Dowodem kultu dla sybiraków było nabycie przez miasto w 1914 r. cyklu obrazów sybirskich Aleksandra Sochaczewskiego, które przeznaczono dla Muzeum Narodowego im. Króla Jana III (126 prac). Obecnie obrazy te znajdują się w Muzeum Niepodległości, jako depozyt Muzeum m. Warszawy. W Galerii Narodowej Lwowie znajdowały się również dwa cykle rysunkowe Artura Grottgera; „Warszawa” oraz „Wojna”, a także obrazy Witolda Pruszkowskiego, Jacka Malczewskiego o tematyce syberyjskiej. Realizm i konkretyzm był istotnym kierunkiem myślenia lwowskich Sybiraków dążących do zgromadzenia wielu sybirackich pamiątek. Wspomnijmy tu jeszcze o innym mało znanym fakcie jakim była propozycja autora pierwszej monografii o Polakach na Syberii zatytułowanej *Polacy w Syberii*, autorstwa Zygmunta Librowicza, która ukazała się w Krakowie w roku 1884. Otóż proponował on aby księżnica jaką był Zakład Narodowy im. Ossolińskich stała się miejscem gromadzenia wszelkich pamiątek związanych z dziejami Polaków na Syberii.

*

Nie można również zapominać i o tym pisząc o lwowskim środowisku kultuwującym sybirackie tradycje, że dzięki zabiegom ks. Ludwika Ruczki, prałata i kanonika honorowego Kapituły Tarnowskiej, już po roku 1867 tłumnie zaczęli powracać z Sybiru poddani austriacy i nawet wygnańcy z Królestwa. Kiedy w Krakowie powstał Komitet Opieki Sybiraków, z inicjatywy sybiraka Karola Pawłowskiego utworzono we Lwowie Towarzystwo Opieki Narodowej, którego przewodnictwo objął Alfred Młocki, żołnierz z powstania listopadowego. Do pracy w Towarzystwie włączyli się Henryk Schmitt, Walerian Podlewski, Wiktor Wiśniewski, Karol Pawłowski, dr Bronisław Dulęba, Henryk Camil, dr Sta-

⁶ O powstaniu nadbajkalskim zobacz najnowszą książkę jemu poświęconą zatytułowaną: *Wystąpienie polskich katorżników na trakcie okołobajkalskim*, w opracowaniu A. Brus i W. Śliwowskiej, Warszawa 2007 oraz artykuł w „Zesłańcu”: N. D. Grebienszczikow, O. N. Polianskaja, *W 135-lecie powstania na Krugobajkalsim trakcie*, „Zesłaniec”, 2002, nr 9, s. 43-52.

niśław Czerkawski, dr Julian Popiel, Ignacy Śląski, Apolinary Stokowski, Piotr Wayda, dr Józef Wernicki, Alfred Zagórski, dr Filip Zucker i inni zaci obywatela tego miasta. Po oficjalnym utworzeniu Towarzystwa ilość jego członków gotowych nieść pomoc sybirskim zesłańcom szybko wzrastała. Udzielano pomocy, szczególnie kalekom i chorym, otoczono opieką wdowy i sieroty, których mężowie i ojcowie zginęli w powstaniu, zmarli na zesłaniu lub po powrocie z niewoli. Dużą pomoc Towarzystwu okazywała Rada miasta Lwowa, która wyasygnowała pieniądze na stypendia dla uczącej się młodzieży, wspierano, wybudowano też Dom Weterana i gospodę oraz pokrywano koszty pogrzebów uczestników walk 1863/64 i innych syberyjskich zesłańców. Działalność Towarzystwa szeroko rezonowała we Lwowie oraz w innych miastach Galicji co decyzją władz administracyjnych spowodowało jego rozwiązanie. Wówczas opiekę nad wygnańcami przejęły osoby prywatne i tworzące się dorywczo komitety obywatelskie.

W 1887 roku powstało Towarzystwo Weteranów 1863/64 oparte na statucie opracowanym przez Józefa Kajetana Janowskiego, Leona Serczyńskiego i Ignacego Kurniewicza. Następnie agendy Towarzystwa przejął w 1932 r. Komitet Opieki nad Weteranami, którego prezesem został prezydent Lwowa, prof. Stanisław Ostrowski, a wiceprezesami: dr Franciszek Szkodziński i dr Norbert Michalewicz; sekretarzem był dr Stanisław Rachwał, skarbnikiem – mjr Józef Klimek, członkami: Władysława Popowiczowa z ramienia Rodziny Wojskowej, Iza Dobiaszowa, Helena Müllerowa i prof. Adam Madurowicz z ramienia 1. Korpusu Kadetów. W skład komisji rewizyjnej weszli dyr. Stanisław Karusa, ref. woj. Marian Magalasa i rotmistrz Zygmunt Smereka.

Lwów był magnesem, który przyciągał sybirskich zesłańców swoją historią, miłością do Ojczyzny i szczególnie serdecznym klimatem. Stąd też wielu uczestników powstań i walk o niepodległość znajdowało schronienie w tym mieście, a wśród nich: Stanisław Barzykowski – student, walczący w oddziałach Dawidowicza i Langiewicza, odbył 7-letni wyrok na Sybirze; Artur Rubin Borzewski – uczeń, który wstąpił do powstańczego oddziału Czachowskiego, zesłany na Sybir; ks. Julian Edmund Czosnakiewicz – deportowany nad Bajkał, gdzie przebywał przez 28 lat. W 1900 roku obchodził on we Lwowie 50-lecie kapłaństwa; Maksymilian Dalbor (Ćwikliński) – który walczył w oddziale Taczanowskiego i dostał się do niewoli pod Kruszynem. Z niewoli tej uciekł i wstąpił do oddziału Kosy; dostał się do niewoli pod Maciejowicami. Skazany na 12 lat katorgi w kopalniach w Nerczyńsku. Na podstawie amnestii powrócił do kraju i zamieszkał we Lwowie; Bronisław Dołęga Dziakiewicz – przeprowadził zorganizowaną grupę powstańczą do oddziału kapitana Jankowskiego. Ciężko ranny dostał się do niewoli i skazany został na roboty w kopalniach Nerczyńska. W 1868 roku zwolniony na podstawie amnestii powrócił do Lwowa; Aleksander Getriz – wstąpił do oddziału

Taczanowskiego; w bitwie pod Czernichowem dostał się do niewoli. Został zesłany do Kaługi, później do Tobolska. Do Lwowa powrócił dzięki staraniom ks. Ruczki; dr Bernard Goldmann – student Szkoły Głównej w Warszawie; po powrocie z zesłania objął posadę w Banku Kredytowym we Lwowie; Ksawery Grzybowski – na zesłaniu syberyjskim przebywał przez 45 lat. Z tęsknoty za ojczyzną częściowo koleją, a najczęściej pieszo o kiju żebraczym jako 80-letni starzec dotarł do Lwowa, gdzie niebawem zmarł; Włodzimierz Jarocki – kapitan wojsk rosyjskich, który przeszedł na stronę powstańców. Dowodził oddziałem kosynierów, ranny w bitwie pod Miropolem, wzięty do niewoli i skazany został na katorgę w kopalniach Nerczyńska, gdzie pracował w kajdanach przykuty do taczek. Na skutek interwencji rządu Stanów Zjednoczonych został zwolniony, wyjechał do Ameryki, skąd przybył do Lwowa i tu zmarł w 1904 roku; Mieczysław Karliński – uczestnik powstania 1863 r.; zmarł we Lwowie 15 czerwca 1905 roku; ks. Aleksander Kieroński – uczestnik powstania styczniowego, zmarł we Lwowie 4 kwietnia 1922 roku; Wojciech Kmita – powstaniec, sybirak; zmarł we Lwowie 9 kwietnia 1922 roku; Kazimierz Kościeszka Kułakowski – powstaniec, sybirak; zmarł we Lwowie 23 sierpnia 1912 roku; Jan Lickendorf – producent powozów, skazany na dożywotni pobyt w Tomsku. Po 6-letnim pobycie, na podstawie sfałszowanego paszportu zbiegł do Galicji. We Lwowie założył fabrykę powozów. Zmarł w 1895 roku; Michał Ostrowski – powstaniec, sybirak; zmarł we Lwowie 27 grudnia 1908 roku; Władysław Pańkowski – student służył w oddziale Zdanowicza. Wzięty do niewoli pod Kazimierzem, n. Wisłą wcielony do wojska rosyjskiego na okres 12 lat; za odmowę złożenia przysięgi na wierność carowi skazany został na 16 lat katorżniczej pracy w kopalniach Nerczyńska. Zakuty w kajdany dotarł nad Bajkał, gdzie brał udział w powstaniu zabajkalskim. Ujęty przez Moskali został skazany na karę śmierci przez rozstrzelanie. Na skutek starań rodziny amnestionowany, powrócił do Lwowa. Zmarł w Markowej koła Łańcuta w 1886 roku; Karol Pawłowski – walczył w oddziale Horodyńskiego, zesłany na Sybir; dr Michał Pluciński – student medycyny uniwersytetu w Kijowie; walczył w oddziale Rozalowieckiego. Na stepie Rozalówki wraz z oddziałem osaczony przez kilkutysięczny tłum chłopów, pobity, został odstawiony do Kijowa, skąd zesłany został na Sybir. W 1869 r. powrócił do Lwowa i został prymariuszem zakładu dla umysłowo chorych w Kulparkowie; Stanisław Przyjemski – walczył w oddziale Ostoi, sybirak; zmarł 12 lutego 1900 roku; Tadeusz Nałęcz Sadowski – syn oficera polskiego z powstania 1831 roku, walczył w kampanii 1848 r. pod Mirosławiem w randze porucznika. Sformował 3 szwadrony jazdy i 2000 piechoty dla oddziału Taczanowskiego. Uwięziony i skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat ciężkich robót na Syberii; do kraju powrócił w 1870 r. Zmarł 10 lutego 1906 roku; Bronisław Sławiński – służył w oddziale Horodyńskiego; wzięty do niewoli pod Radziwiłłowem. Zesłany na Sybir,

zmarł we Lwowie; Józef Szczygielski (Szcucki) – przebywał karnie na Sybirze 9 lat; Leon Śląski-Krzycki – słuchacz szkoły technicznej dostał się do niewoli pod Radziwiłłowem, zesłany na Sybir wrócił do Lwowa; Władysław Świszczowski – powstaniec, sybirak, zmarł we Lwowie 18 sierpnia 1904 roku; Wiktor Wronowski – student, wstąpił do oddziału partyzackiego w Białowieży i brał udział w bitwach pod Węgrowem i Siemiatyczami. Wzięty do niewoli, skazany został na rozstrzelanie. Karę złagodzono i otrzymał wyrok 7 lat zesłania na Syberię. Po powrocie schorowany, ostatnie lata życia spędził w zakładzie dla nieuleczalnie chorych im. Bilińskiego we Lwowie; Albin Zagórski – podoficer w oddziałach Wysockiego, Ruckiego i Mareckiego. Zesłany na Sybir przebywał tam do 1867 roku; Ludwik Zielonka – kapitan strzelców w oddziałach Langiewicza, Jeziorańskiego, Kruka i Ruckiego. Do niewoli wzięty w randze majora. Na Syberii przebywał do 1867 roku. Zmarł we Lwowie 18 lutego 1897 roku; Filip Ziemiak – student, walczył pod Radziwiłłowem, gdzie został wzięty do niewoli. Przez 7 lat przebywał na Syberii. Zmarł we Lwowie 21 maja 1923 roku.

Wśród wielu przebywających we Lwowie sybiraków znaleźli się też się Benedykt Dybowski, Agaton Giller i Bronisław Szwarce. Pierwszy był profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza, powstańcem styczniowym – lekarzem i przyrodnikiem, wybitnym badaczem Syberii oraz odkrywcą tajemnic flory i fauny Bajkału. Studia lekarskie rozpoczął w Dorpacie, studiował we Wrocławiu i Berlinie. Potem wykładał zoologię w Szkole Głównej w Warszawie, a w okresie powstania styczniowego pełnił obowiązki komisarza powstańczego na Litwie. Aresztowany, skazany został na śmierć, który to wyrok zamieniono na 12-letnią katorgę. Przebywając nad Bajkałem zainteresował się biologiczną tajemnicą tego wielkiego jeziora zwanego „Świętym Morzem” przez tubylczy lud Buriatów. Badał także kulturę buriacką mając szereg udanych prób poznania ich zwyczajów i obyczajów. Uwolniony z zesłania przebywał przez jakiś czas w Warszawie. Potem ponownie udał się na Syberię, tym razem nie jako zesłaniec lecz kontraktowy lekarz z przydziałem pracy na Kamczatce. Tam zyskał ogromny szacunek wśród tubylców. Pod koniec lat 80-tych XIX stulecia rozpoczął prace na Uniwersytecie Lwowskim, kierując Katedrę Zoologii. Był we Lwowie postacią powszechnie znaną i szanowaną, rzecz też trzeba, że należał do intelektualnej formacji tego miasta. Wspierał tamtejszy ruch sybiracki jako głosiciel wolności i samodzielności światopoglądowego myślenia. Zmarł w roku 1930 w wieku 96 lat i pochowany został na Cmentarzu Łyczakowskim w kwaterze powstańców styczniowych. Tam do dzisiaj jest jego mogiła..

Przez pewien czas związany był ze Lwowem Agaton Giller. Działacz i historyk ruchu niepodległościowego, członek Komitetu Centralnego, później Rządu Narodowego, przed powstaniem więziony w Cytadeli warszawskiej, etapami odstawiony do Irkucka. Drogę na Sybir odbywał przeważnie pieszo okuty w kajdany. Na wygnaniu oddawał się pracy nad

poznaniem dziejów Polaków na Syberii. We Lwowie pracował w redakcji „Gazety Narodowej”, obejmując równocześnie kierownictwo Ruchu Literackiego. W sześć lat później wydalony z Galicji przez pewien czas przebywał w Rapperswillu, po otrzymaniu zezwolenia w 1884 r. na powrót do kraju, zamieszkał w Stanisławowie, gdzie zmarł w 1887 r. Na skutek starań Związku Polaków w Ameryce w 1979 r. ekshumowany a jego prochy spoczęły na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Wyczulony na patriotyczne tradycje Lwów zawsze sprzyjał syberyjskim zesłańcom, którzy po powrocie do kraju często opuszczali zabór rosyjskie. Osiedlali się w Galicji gdzie polityczne prześladowania miały znacznie węższy zakres aniżeli na ziemiach Królestwa Polskiego. W tym mieście „zawsze wiernym” zamieszkał po powrocie z niewoli syberyjskiej Bronisław Szwarce – członek Rządu Narodowego, wychowany w duchu patriotycznym w domu ojca-emigranta, mieszkał w Bretanii. Mając 14 lat walczył w roku Wiosny Ludów na barykadach w Paryżu. Po ukończeniu szkoły inżynierskiej pracował w Królestwie Polskim, działał w Rządzie Narodowym. Aresztowany 22 grudnia 1862 r. został skazany na śmierć. Więziony w warszawskiej Cytadeli, na skutek starań rządu francuskiego wyrok zamieniono na katorgę w kopalniach w Nerczyńsku. Jednak ostatecznie został uwięziony w twierdzy szlisselburskiej. Po siedmiu latach na podstawie lekarskiego orzeczenia wywieziony został do twierdzy w Turkiestanie, a następnie do Wschodniej Syberii. Włączył się w pracę konspiracyjną w tajnej organizacji Narodna Wola, co spowodowało uwięzienie go w Tomsku. Po trzech latach powrócił do kraju, mając za sobą 30 lat wygnania. W 1892 r. Lwów przyjął radośnie czcigodnego wygnańca, zapewniając w Biurze Wydziału Krajowego spokojną ostoję. Zmarł w 1904 roku, żegnany manifestacyjnie, z wielką czcią.

W murach lwowskiego klasztoru Dominikanów znalazło zacisze wielu księży sybiraków powracających z Tunki, Omska, Tobolska, Nerczyńska i innych miejsc wygnania. Jednym z nich był o. Wincenty Kochański, urodzony na Podlasiu. Jako dominikanin w wieku 65 lat został skazany na wygnanie najpierw do Irkucka, następnie do Tunki, gdzie przebywał przez 12 lat. Zwolniony w 1886 roku na podstawie amnestii w wieku 85 lat znalazł schronienie we Lwowie, gdzie po czterech latach 1 kwietnia 1891 r. zmarł. W klasztorze dominikanów przebywał również ks. Ignacy Klimowicz, aresztowany w dniu 7 grudnia 1863 roku za głoszenie kazań zachęcających do wstępowania w szeregi powstańcze. Skazany na wygnanie do guberni tambowskiej po latach powrócił i przebywał w klasztorach OO Dominikanów we Lwowie, Żółkwi, Jezupolu i Czortkowie, gdzie zmarł w 1892 roku. Pozostawił ciekawy pamiętnik z lat sybirskiego wygnania.

W kwietniu 1936 roku odbyło się manifestacyjne przeniesienie zwłok sybiraka Antoniego Wojciecha Krzywda Boguckiego na *campo santo* uczestników powstania na Cmentarzu Łyczakowskim. Urodzony w Słomkach koło Krakowa w 1812 roku uczęszczał do szkół krakowskich i

jako 18-letni chłopiec ze szkolnej ławy poszedł do powstania, wstępując do 5 pułku ułanów. Pierwszą potyczkę stoczył 25 lutego 1831 r. pod Grochowem. Po przejściu całej kampanii ranny został osadzony w warszawskiej cytadeli i skazany na 15 lat katorgi. Trzykrotnie uciekał z Sybiru. Na podstawie amnestii powrócił do kraju w 1846 roku. Granice przeszedł nad Zbruczem i w okresie powstania styczniowego działał w powiecie tarnopolskim i brzeżańskim. Zmarł 12 czerwca 1881 roku.

Bohaterskie boje 5 Dywizji Strzelców Polskich na Syberii odbiły się szerokim echem w kraju. Wśród oficerów i żołnierzy tej dywizji były też osoby związane ze Lwowem, nieraz jeńcy z okresu I wojny światowej lub jego mieszkańcy, których Lwów przyjął w swoje gościnne progi po powrocie z Syberii. Według stanu służby przechowanego w aktach Koła Żołnierzy b. 5 Polskiej Dywizji Syberyjskiej w opracowaniu A. Medyńskiego pt. *Lwów opiekunem Sybiraków* należeli do nich dowódca tej dywizji płk Walerian Czuma, major Dinforf-Ankowicz oraz rotmistrzowie i kapitanowie: Z. Nieświatowski, Jan Tadeusz Nowakowski; porucznicy – 7 nazwisk, podporucznicy – 7 nazwisk; sierżanci – 7 nazwisk; plutonowi – 13 nazwisk; kaprale – 24 nazwisk, st. szeregowi – 5 nazwisk, starszy kanonier W. Leja; szeregowcy (strzelcy) – 29 nazwisk; ułani – J. Domaradzki, K. Gulewicz; kanonier – K. Tracikiewicz. Kapelanem był ks. Andrzej Mołdach, a lekarzami dr L. Berger, i dr E. Mravincics. Warte jest podkreślenie niepodległościowego tonu przewijającego się w działalności programowej Lwowskiego Oddziału Związku Sybiraków. Sytuowały się one mocno w przestrzeni patriotycznych działań całego Związku, wpływając w jakimś sensie na dookreślenie tego wątku w jego ogólnej działalności programowej. Te proste informacje o charakterze formalnym wskazują wyraźnie na kontekst ubogacający życie wewnątrz organizacyjne tego środowiska, które emanowało na całość działań związkowych.⁷

Gdy piszemy o programach kolejnych zjazdów Związku Sybiraków, których odbywanie określał statut organizacji, wspomnieć jeszcze należy o tym, że w dniu 18. października 1936 r. odbył się w Krakowie na Wawelu Nadzwyczajny Zjazd, celem którego było złożenie hołdu pamięci Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu. Miał on więc szczególny charakter dopełniający ogólnonarodową pamięć o zmarłym Marszałku, która mocno żyła w powszechnie zaadaptowanym narodowym kulcie jego postaci. I był to związek nierozzerwalny, dopełniający się także w formie sybirackiej pamięci. Był to naonczas swoisty sposób narodowej ekspresji bliski ideowym treściom patriotycznym, wielokształtnym, pełnym barw, blasku i oprawie służącej mitowi Marszałka. Można by zresztą dyskutować, czy takie manifestacje były wyrazem wzruszeń całego

⁷ Pełniej o tym zob. W. Krawczyński, *Lwów opiekunem sybiraków*, „Zesłaniec”, 2002, nr 10, s.87-95.

ówczesnego społeczeństwa, sądzą jednak, że w łonie Związku Sybiraków mit i kult ten był autentyczny.

Kolejny przewidziany statutem VIII Zjazd obradował w dniach 23-30 czerwca 1937 roku w sali Białego Pałacu w Twierdzy w Brześciu n. Bugiem. Na Zjeździe tym wybrano na prezesa Związku płk. J. Skorobohatego-Jakubowskiego. Dyskutowano także wówczas między innymi nad problemem przyścia z pomocą Sybirakom w znalezieniu pracy oraz dalszym finansowaniu edycji czasopisma „Sybirak”, głównego organu wydawniczego Związku, informującego o jego działalności oraz krzewiącego wiedzę o związkach polsko-syberyjskich. Ponadto podjęto ustalenia związane z organizowaniem ogniw Związku Młodzieży Dalekiego Wschodu a także przygotowanie w 1938 roku Ogólnego Zjazdu byłych żołnierzy 5. Dywizji Syberyjskiej, połączonego z kolejnym Walnym Zjazdem delegatów Związku Sybiraków. Rok ten wyznaczał bowiem jubileusz 10-lecia Związku Sybiraków co skłaniało do nadania tym obchodom szczególnego charakteru, cel godny uznania, a konsekwencja zasługująca na szacunek. Zjazd ten na wniosek Oddziału Poleskiego podjął następującą uchwałę:

W celu przekazania potomności pamięci o czynach zbrojnych żołnierza polskiego na Syberii w walkach o niepodległość Ojczyzny, oraz dla nawiązania szczytnych tradycji bojowych formacji polskich związanych na Syberii, a znajdujących się obecnie w składzie 30 Dywizji Piechoty, Zjazd Delegatów Związku Sybiraków obradujący dziś w siedzibie 82 pp. byłego pierwszego pułku strzelców polskich im. Tadeusza Kościuszki na Syberii, wzywa Zarząd Główny do podjęcia starań w celu nazwania 30 Dywizji Piechoty – Dywizją Syberyjską, a 82 pp., 83 pp., 3 p.a.l. i Kompanii Telegraficznej oddziałami syberyjskimi.

Wspomnieć bowiem trzeba, że w pejzażu działań społecznych i patriotycznych, zwłaszcza w szeregach armii polskiej mit syberyjski tkwił mocno i kształtował charakter patriotycznych działań. Zgodnie z postanowieniami VIII Zjazdu jego kolejne obrady odbyły się w dniach 2-3 października 1938 r. w Warszawie, a ich główny akcent skierowany był na jubileusz 10-lecia Związku Sybiraków i 20-lecia V Dywizji Syberyjskiej. Na Zjeździe tym zapadła ostateczna decyzja o scaleniu Związku Sybiraków z innymi organizacjami wchodzącymi w Związek Byłych Żołnierzy na Wschodzie i przyjęto projekt statutu tego Związku, z tym, że miały się w nim znaleźć gwarancje, że Związek Sybiraków zachowa swoją pełną autonomię. Zbliżający się czas II wojny światowej a później jej rozpoczęcie zniweczyły jego działania. Cezura historyczna roku 1939 stała się okresem kończącym na długie lata działalność Związku Sybiraków. Niektórzy jego członkowie zginęli na frontach II wojny światowej, inni zostali zamordowani w Katyniu, jeszcze inni brali udział w działalności konspiracyjnej w okresie okupacji niemieckiej naszego kraju a nieliczni zagnani wichrami wojny do Francji czy Wielkiej Brytanii pozostali

tam po jej zakończeniu nie akceptując nowego porządku politycznego narzuconego Polsce przez Związek Sowiecki.

*

W tej próbie porządkowania dziejów przedwojennego Związku Sybiraków z konieczności fragmentarycznej, konstruowanej ze świadomością braku pełniejszych źródeł z tego zakresu przypomnieć jeszcze należy o tym, że od roku 1934 Związek wydawał kwartalnik o nazwie „Sybirak”. Sporą część ukazujących się na jego łamach artykułów poświęcono historii 5. Syberyjskiej Dywizji. Były to wspomnienia jej uczestników oraz artykuły omawiające dzieje jej formowania oraz walki, artykułujące potrzebę dokładnego i wszechstronnego przedstawienia losów tej formacji. Zrealizowano nawet wówczas sfabularyzowany obraz filmowy o tej tematyce, w którym jako statyści występowali dawni żołnierze dywizji. Już sam fakt istnienia takiego filmu wystarczy by rekomendować postulat odszukania tego „obrazu”, wszakże pozostaje on w jakimś stopniu z historią Związku Sybiraków. Czy ten trud zostanie podjęty zobaczymy, w każdym bądź razie dedykuję go Związkowi Sybiraków i Ośrodkowi Karta. Gdy „Sybirak” zaczął ukazywać się przez 15 lat Polska była już państwem niepodległym, a wybitną rolę w tym dziejowym wydarzeniu odegrał niewątpliwie J. Piłsudski, którego określano częstokroć „Wielkim Sybirakiem”. Należy tu podkreślić, że na łamach pisma rozwijał się swoistego rodzaju kult Marszałka. Nie znaczy to jednak, że była to publicystyka hołdująca temu mitowi wszakże „Sybirak” jako jedyne nawiązujące swoim tytułem do syberyjskich doświadczeń Polaków podejmował różne kwestie związane ze związkami polsko-syberyjskimi, wypełniając założenia programowe sformułowane w jego pierwszym numerze, które podkreślały, że:

Kilkuwiekowe dzieje Polaków na Syberii wciąż czekają na historyka, któryby pozostawił dla potomności na podstawie jeszcze niewyzyskanych źródeł historycznych dokładny obraz ofiar, jakie Polacy złożyli w tym odległym kraju Azji.

W okresie ostatnich lat ukazywały się wprawdzie liczne artykuły i różne wydawnictwa książkowe, opisujące życie Polaków na Syberii i dzieje bohaterskiej dywizji syberyjskiej, ale materiały te, nieraz bardzo cenne, rozproszone w różnych periodycznych wydawnictwach, zazwyczaj giną bez echa.

Aby temu zapobiec, przystąpiliśmy do wydawania własnego czasopisma. Zdajemy sobie sprawę z tego, iż rozpoczęcie działalności wydawniczej w chwili obecnej wymaga dużego zbiorowego wysiłku. Wierzymy jednak, że zamierzenia nasze zostaną należycie zrozumiane i znajdą poparcie Sz. Kolegów. Oceniają je przede wszystkim ci, którzy nie tylko jedli chleb syberyjski – często tak gorzki! – ale i ci, którzy swą ofiarną pracą i krwawym wysiłkiem kładli cegiełki pod budowę gmachu Niepodległej Polski na obczyźnie i pragną, żeby owoce ich działalności oraz krwawe znoje tysięcy naszych Ojców i Dziadów znane były szerokiemu ogółowi i zajęły należne miejsce w historii walk o Wolność i Zjednoczenie Ojczyzny. **„Piszcie – powiedział Marszałek Piłsudski – niech inni nie fałszują naszej historii”.**

My właśnie pragniemy iść po linii tej wskazówki. Boć przecież mamy własną, chlubną, a jednak z naszej winy nieznaną szerokiemu ogółowi historii i chcemy ją wydobyć w światło dzienne sami.

Aby więc zapoznać społeczeństwo z tymi dziejami, przystępujemy do wydawania „Sybiraka”, który na razie ukazywać się będzie jako kwartalnik, poświęcony naszym wspomnieniom i przeżyciom w tej drugiej Polskiej Ojczyźnie.

Wierzymy, że materiału nam nie zabraknie, że Sybiracy poprą wydatnie własne czasopismo, wezmą żywy udział w pracach Komitetu Redakcyjnego i będą czynnie współdziałać z nami.

Mamy przecież tyle do powiedzenia o przełomach i przeobrażeniach historycznych, o wielkich burzach i wichurach, które szalały przed naszymi oczami na Dalekim Wschodzie. Mamy tyle ciekawych spostrzeżeń z codziennego życia wśród stepów i tajg, mamy tyle własnych wrażeń, które powinniśmy utrwalić dla potomności.

Musimy przytem dbać przede wszystkim o to, aby węzły koleżeńskie, jakie zadzierzgnęły pomiędzy nami wspólne przeżycia na tych dalekich ziemiach, trwały zawsze i zacieśniały się coraz bardziej. Musimy nadal brać czynny udział w wielkiej pracy państwowo-twórczej nad utrwalaniem i umacnianiem podstaw naszej Niezależności politycznej i gospodarczej, nad rozszerzeniem wpływów Polski Mocarstwowej na cały świat i poświęcić jej wszystkie swoje siły.

Pragniemy uzewnętrznić i wykorzystać w należyty sposób nasze doświadczenie, zdobyte w nader trudnych warunkach, chcemy zespolić rozproszone myśli w jedno ognisko, zachęcić się wzajemnie do twórczej pracy i dzielić się swymi uwagami w sprawach bieżących.

W tym miejscu rozpoczęliśmy wydawanie naszego kwartalnika. Wierzymy, że cel ten osiągniemy. Spoistość naszego Związku zostanie przez tę wymianę myśli wzmocniona i utrwalona, a nasza praca zbiorowa będzie skromnym, ale wartościowym wkładem do dziejów walk o Niepodległość Narodu Polskiego – ku podniesieniu ducha nas samych do czynu oraz pracy młodego pokolenia.

Komitet Redakcyjny
Zarząd Związku Sybiraków

Te proste informacje o formalnym i patriotycznym zabarwieniu wskazują wyraźnie, że mieliśmy do czynienia z czasopismem poszukującym form scalenia sybirackiej społeczności i popularyzującym wiedzę o związkach polsko-syberyjskich, zorientowanym w swej formule edytorskiej na szeroką komunikację społeczną. Deklaracje programowe i praktyka wykazały, iż „Sybirak” nie sprzeniewierzył się tym zamierzeniom. Autorzy drukowanych w nim artykułów mieli bowiem wiele do powiedzenia o wydarzeniach, które działy się na ich oczach, w których uczestniczyli wśród stepów, tundr i tajg Sybiru. Psychiczna wspólnota tej idei wykreowała kwartalnik na ważne pismo informujące o polskich dziejach za Uralem. Do 1939 roku ukazało się 19 numerów tego pisma drukowanego w Drukarni Bankowej w Warszawie, a jego redaktorem naczelnym był Maciej Poznański. Pismo przedstawiało rozmaite problemy związane z dziejami Polaków na Syberii, publikowało artykuły rejestrujące różne wydarzenia z tym związane, podejmowało problematykę patriotyczną odnoszącą się do konkretnych warunków w kraju. i omawiało sprawy organizacyjno-programowe Związku. „Sybirak” był centralnym organem prasowym Związku odzwierciedlającym życie społeczności sybirackiej

w Polsce. Jego tematyka dotyczyła różnych wątków polskiego życia za Uralem, a lektura pisma jest obecnie wartościowym przewodnikiem bibliograficznym dla tych, którzy w przyszłości zechcą napisać monografię Związku Sybiraków. Są to informacje, którymi żaden badacz nie pogardzi, co więcej mogą one mieć kluczowe znaczenie interpretacyjne ludzkich postaw, sposobów myślenia i więzi grupowej Sybiraków tamtych lat. Jako członkowie Związku kładli oni zawsze cegiełki pod budowę gmachu Niepodległej Polski uczestnicząc aktywnie w akcjach społecznych mających służyć krajowi. Zawsze pamiętali o swojej syberyjskiej udręce, niewoli, poniżeniu, więzieniach i katordze. W numerze 3/15 (1938) „Sybiraka” jeden z założycieli Związku S. Wojstomski napisał:

Nikt nie zaprzecza Związkowi Sybiraków honoru pielęgnowania tradycji powstańczej i zesłańczej. Wręcz odwrotnie. Związek Sybiraków jest mile widziany przez wszystkie bez wyjątku warstwy i orientacje naszego społeczeństwa, gdyż każdy Polak rozumie potrzebę i znaczenie kultywowania pięknych i szczytnych tradycji syberyjskich, mogących być jeszcze niejednokrotnie drogowskazem w przyszłość.

Kult pokojowej pracy na rzecz niepodległej Ojczyzny podnosił wieloletnie doświadczenia Polaków na Syberii do rangi patriotyzmu podkreślając zarazem, że „nazwy Syberia nie wymawiamy już z przekleństwem, ale dalecy jesteśmy od zapomnienia tego cośmy w niej i przez nią przeżyli.” Związek Sybiraków przystąpił do Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, która jednoczyła pod wspólnym sztandarem i konsolidowała siły polityczna związane z Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem (BBWR). Kiedy zbliżało się zagrożenie wojną w 1939 roku Związek Sybiraków wydał specjalną odezwę, w której deklarował iż „Niepodległości i całości obszarów Państwa Polskiego, bronić jesteśmy gotowi nieuleknie i oddamy radośnie – w razie potrzeby – krew swą, mienie i wysiłek bez granic”. Potem istotnie nastał długi czas wojny, i tak jak deklarowano Sybiracy stanęli w obronie Ojczyzny. Niektórzy zginęli na froncie, inni w lasach Katynia, a Ci którzy przeżyli czas walki nie zaakceptowali okupacji narzuconej Polsce przez Związek Sowiecki.

*

W Polsce Ludowej przez wiele lat nie było politycznego przyzwolenia na krzewienie naszych sybirackich tradycji. Z losu zesłanych na Syberię uczyniono białe plamy. Zanim powstał Związek Sybiraków, a właściwie wznowił swoją działalność, społeczeństwo polskie przeszło długą drogę komunistycznej indoktrynacji. Zesłania i deportacje z okresu drugiej wojny światowej oraz pierwszych lat po jej zakończeniu okrywała czarna księga zapisów cenzury. Poprawność polityczna rządców Polski Ludowej nakazywała milczeć o tym, że w okresie II wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu wiele setek tysięcy Polaków wywiezionych zostało na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i

w inne rejony Związku Sowieckiego. A o pobycie na zsyłce w ZSRR, mówiono propagandowym slangiem, używając określenia „w czasie wojny przebywali na gościnnej ziemi radzieckiej”, a bywało i tak, że okres na zesłaniu w ZSRR kwitowano stwierdzeniem w pisanych życiorysach lub w tzw. ankietach personalnych określeniem „przebywałem na terenie ZSRR, gdzie pracowałem w przemyśle drzewnym”, co oznaczało, że na zesłaniu karczował tajgę. Inni znowu pisali, że w okresie tym pracowali w „kopalniach w Karagandzie” itp.

Przez długie lata PRL-u nie było takich okoliczności by wznowić działalność Związku Sybiraków, mimo iż pamięć zesłańczego Sybiru była wśród ludzi żywa i nader bolesna. Presje polityczne ukierunkowane na „przyjaźń polsko-radziecką” oraz cenzura „prasy, publikacji i widowisk” skutecznie tłumiły idee historyczne mające upowszechniać dzieje związków polsko-syberyjskich. Przyszły jednak czasy, gdy można było reaktywować Związek Sybiraków i szansę tę szybko urealniono. W roku 1988 gdy Polska Rzeczpospolita Ludowa chyliła się ku upadkowi, a ruch solidarnościowy krzepł mimo prześladowań, niemal równocześnie w Warszawie i we Wrocławiu ożyła idea wznowienia działalności Związku Sybiraków. Na gruncie warszawskim zabiegi na rzecz powstania, a właściwie reaktywowania Związku Sybiraków podjęła latem 1987 roku Irena Głowacka, wówczas kustosz dyplomowany Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. To właśnie w jej zbiorach odnalazła statut przedwojennego Związku Sybiraków. Jego postanowienia sprzed lat (1928 rok) odpowiadały jedynie idei integracji społeczności sybirackiej, natomiast wiele poszczególnych paragrafów wymagało modyfikacji lub wręcz sformułowania ich od nowa. Podjęte w tym zakresie starania w niektórych zespołach adwokackich w Warszawie nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, bowiem nie chciały one podjąć się takiego zadania.

Wspomnijmy, że były to jeszcze czasy PRL-u, wprawdzie już schyłkowe, ale tak generalnie ówczesna władza trzymała się jeszcze mocno i skutecznie kontrolowała wszelkie, nieprawomyślne wedle niej działania. Wszystko to stawało się dla wspomnianej już z inicjatorce reaktywowania organizacji sybirackiej czymś nieznośnym i zasmucającym, podobnie jak i dla bliskich jej osób, które dołączyły do tych starań. Czuły się one mało usatysfakcjonowane, istniejącym stanem rzeczy. I jak to często bywa w takich okolicznościach o urealnieniu danego pomysłu decyduje przypadek. Tak też było i tym razem gdy I. Głowacka w dniu 22 listopada 1987 roku spotkała prof. Andrzeja Stelmachowskiego uczestniczącego w odsłonięciu w Zezuli pomnika Prymasa Tysiąclecia księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego. A gdy nadarzyła się sposobność rozmowy z profesorem przedstawiła mu kłopoty związane z przygotowaniem statutu mającego powstać Związku Sybiraków. W niespełna miesiąc od tego spotkania statut był gotowy, a w dopracowywaniu jego szczegółów uczestniczył także znawca problemów prawa o stowarzyszeniach prof. Wiesław Chrzanowski, *nota bene* były więzień komunistycz-

nego reżimu w Polsce. Tak więc inicjatywa odrodzenia Związku Sybiraków zaczęła nabierać realnych kształtów. A więc zdarzenia, kontakty i rozmowy z tym związane poszerzały krąg zainteresowanych utworzeniem sybirackiej organizacji. Konkretyzm działań wyznaczał dalszą drogę i zakładał oparcie działań organizacyjnych we współpracy z Kościołem, „gdyż jak większość sybiraków uważałam – napisała po latach I. Głowacka – że przeżyliśmy dzięki Opatrzności Bożej.” W skompletowanej przez I. Głowacką grupie inicjatywnej podejmującej starania o utworzenie Związku Sybiraków było 21 osób reprezentujących przedwojennych członków Związku Sybiraków, osoby wywiezione na Sybir w ramach czterech masowych deportacji w latach 1940-1941, żołnierze Armii Krajowej więzieni w ZSRR i przedstawiciele arystokracji polskiej wywiezieni w roku 1945.

Ze względu na historyczny już charakter tego wydarzenia odnotować należy, iż w skład tej grupy inicjatywnej weszli: Krystyna Znosko, wywieziona w roku 1940 do Altajskiego Kraju; Teresa Tomczyszyn-Wiśniewska, żołnierz Armii Krajowej, więziona od roku 1944 w obozie w Stalinogorsku; Bolesław Ekes, syn żołnierza 5. Dywizji Syberyjskiej, mieszkający w latach 1915-1920 w Tomsku; Jan Sobieszczański, sybirak który w roku 1922 powrócił z transportem polskich dzieci z Syberii; Anna Branicka-Wolska, wywieziona wraz z rodziną w 1945 roku do Moskwy, początkowo przebywająca w więzieniu na Łubiance, a potem w łagrze w Krasnogorsku, do Polski powróciła w 1945 roku; Irena Danowska, aresztowana w 1944 roku żołnierz Armii Krajowej, więziona w Ostaszkwie i w innych obozach sowieckich; Barbara Drzewińska, wywieziona w 1940 roku do Kazachstanu; Józef Esman, sybirak, ewakuowany z Armią Polską pod dowództwem gen W. Andersa, przebywał w Indiach, skąd w roku 1947 powrócił do Polski; Irena Korszyńska, wywieziona do Kazachstanu w roku 1940; Gabryela Krasicka i Jerzy Krasicki, wywiezieni w 1945 roku do Moskwy i więzieni na Łubiance; Halina Głowińska, wywieziona w 1941 roku do Altajskiego Kraju; Barbara Grabowska, przebywająca na zesłaniu w Kazachstanie; Stanisław Grodzki, wywieziony w 1940 roku do Republiki Komi; Wiktoria Łukaszewicz-Meloni, przebywająca na zesłaniu w Altajskim Kraju; Grzegorz Nawarycz, zesłaniec do Kazachstanu; Tekla Piotrowska, przebywająca na zesłaniu w Altajskim Kraju Zofia Koreywo-Prusakowska, zesłana do Kazachstanu; Barbara Rzepecka, wywieziona w 1944 roku do Republiki Komi oraz Zofia Szelengowicz, wywieziona w 1941 roku z Białegostoku do Altajskiego Kraju.

Wspomnieć jeszcze należy o mechanizmie rejestracji Związku. Wniosek w tej sprawie złożony został w imieniu grupy inicjatywnej przez Krystynę Piotrowską-Znosko i Teresę Tomczyszyn-Wiśniewską w czerwcu 1988 roku w Wydziale Społeczno-Administracyjnym Miasta Stołecznego Warszawy. Mimo trwających trudności z formalnym zareje-

strowaniem Związku Sybiraków rezonans czynionych starań stał się dość głośny w środowisku warszawskim. Mówił nawet na ten temat enigmatycznie ówczesny rzecznik prasowy rządu PRL-u red. Jerzy Urban, o czym warto wiedzieć uważając historię utworzenia/reaktywowania Związku Sybiraków za ważny powiew ducha odnowy w czasach doktrynalnych rządów komunistycznych w naszym kraju.

Wreszcie po wielu pertraktacjach i poprawkach w statucie 17 grudnia 1988 roku Związek Sybiraków został zarejestrowany. Jeszcze przed I Walnym Zgromadzeniem ukonstytuował się jego tymczasowy zarząd w składzie: Janusz Przewłocki, wiceprezes ds. dokumentacji, Antoni Komorowski, wiceprezes ds. terenu, sekretarz Elżbieta Sidorkiewicz, skarbnik Andrzej Pawlicki, członkowie zarządu Krystyna Bogucka, Anna Branicka-Wolska, Irena Głowacka, Stanisław Mościcki. Tymczasową siedzibą Związku był udostępniony przez ks. prałata Tadeusza Uszyńskiego lokal przy parafii św. Andrzeja Apostoła przy ul. Chłodnej 9 w Warszawie, dzielony wspólnie z weteranami Kawalerii Polskiej oraz organizującymi się w formę stowarzyszenia żołnierzami Armii Krajowej. Tak zwięźle przebieżenie pierwszych działań organizacyjnych na rzecz utworzenia Związku Sybiraków nie mówi wszystkiego o czynionych wówczas działaniach.

W dość obszernej warstwie tych zabiegów wspomnieć jeszcze trzeba o tym, że zanim utworzona została wspomniana grupa inicjatywna trzeba było się wiele natrudzić by przekonać ludzi do tej idei. Rzecz można, że odnosili się oni z szacunkiem do czynionych starań, nie wierzyli jednak w pozytywne ich załatwienie. Bali się składać swe podpisy pod wnioskiem o rejestrację, a byli nawet i tacy, którzy sugerowali aby wśród założycieli znalazł się gen. Wojciech Jaruzelski, który również był więźniem Sybiru. 13 stycznia 1989 roku odbyło się pierwsze oficjalne zgromadzenie reaktywowanego Związku Sybiraków, na którym wyłoniono statutowy skład pierwszego Zarządu Głównego, w skład którego weszli: Ryszard Reif – prezes, Antoni Komorowski – wiceprezes, Elżbieta Sidorkiewicz – sekretarz, skarbnik – Andrzej Pawlicki, członkowie – Krystyna Bogucka, Anna Branicka-Wolska, Irena Głowacka, Stanisław Mościcki. Natomiast skład Komisji Rewizyjnej stanowili: Ryszard Kwieciński – przewodniczący oraz członkowie: Anna Czarnocka, Bogdan Ejmont, Tadeusz Kowalski, Olgierd Poważyński.

Tu wspomnieć należy, że kandydaturę Ryszarda Reiffa na prezesa zaproponowała Anna Branicka-Wolska, która знаła go osobiście od szeregu lat. Urodził się on 4 lipca 1923, zmarł w Warszawie 9 grudnia 2007 roku – był prawnikiem, politykiem i publicystą, przez pewien czas pełnił funkcje prezesa Stowarzyszenia PAX, wybierany był na posła w IV i VIII kadencji Sejmu PRL oraz senatora I kadencji III RP. Podczas II wojny światowej działał w ruchu oporu. Był członkiem Konfederacji Narodu, dowódcą jednego z pierwszych oddziałów partyzanckich Uderzeniowych Batalionów Kadrowych. Po scaleniu z Armią Krajową dowodził

kompanią w 3. Batalionie 77 Pułku Piechoty Armii Krajowej walczącym na Nowogródczyźnie. W latach 1944-1946 więziony w ZSRR. Po ucieczce z obozu przedostał się do kraju gdzie rozpoczął pracę jako dziennikarz w tygodniku „Dziś i jutro” wydawanym przez Stowarzyszenie PAX, a w latach 1950-1953 był redaktorem naczelnym „Słowa Powszechnego”. Kierował pracą organizacyjną Stowarzyszenia PAX na terenie całego kraju, a w latach 1976-1979 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego, natomiast w latach 1979-1982 był przewodniczącym. Od roku 1981 do 1982 był członkiem Rady Państwa. 13 grudnia 1981 roku jako jedyny z 14 jej członków obecnych na posiedzeniu sprzeciwił się zatwierdzeniu uchwały o wprowadzeniu stanu wojennego i dekretu o stanie wojennym, za co został odwołany z tej funkcji. W latach 1989-1991 był senatorem z ramienia Komitetu Obywatelskiego i przewodniczącym Senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą a od 1989 roku prezesem Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

Kolejne Walne Zgromadzenia Związku Sybiraków dokonywały zmian we władzach naczelnych Związku Sybiraków, któremu przez kolejnych 15 lat prezesował R. Reiff przyczyniając się do jego wewnętrznej spójności. Zjazdy te odbywały się zgodnie z czasookresem sformułowanym w statucie: w Modlinie w dniach 19-21 stycznia 1991 roku, w Częstochowie w dniach 11-12 listopada 1993 roku, w Jeleniej Górze w dniach 17-18 października 1998 roku, w Rogowie w dniach 22-23 marca 2002 roku oraz ponownie w Rogowie w 2006 roku. Od chwili powstania Związku, aż do roku 2006 funkcję prezesa sprawował Ryszard Reiff, powoływany jednogłośnie na te stanowisko w demokratycznych wyborach. V Zjazd (2006) w Rogowie przyjął jego rezygnację z kandydowania w kolejnych wyborach i powierzył mu godność Prezesa Honorowego, natomiast na prezesa Zarządu Głównego wybrano Tadeusza Chwiedzia z Oddziału Związku Sybiraków w Białymstoku. Mimo różnicowań pokoleniowych, socjologicznych i regionalnych twórcy odrodzonego Związku są ze sobą powiązani zesłańczym losem, często też osobistą znajomością lub wspólnymi znajomymi. W takich też właśnie kręgach formowały się cele i zadania reaktywowanego Związku, którego statut przygotował wspomniany już prof. dr Andrzej Stelmachowski, późniejszy Marszałek Senatu Rzeczypospolitej Polskiej oraz wieloletni prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”.

W swoim apogeum Związek liczył 96 tysięcy członków, posiadał 46 oddziałów i ponad 460 kół terenowych. Wszystkie one w zależności od możliwości organizacyjnych i we współpracy z samorządami lokalnymi prowadziły i prowadzą działalność charytatywną na rzecz swoich członków, świadczą pomoc Polakom mieszkającym na terenach byłego Związku Sowieckiego, upamiętniają zesłańczą przeszłość oraz wkład Polaków w badania naukowe na Syberii, jej gospodarkę i cywilizację. Wznoszą też pomniki, obeliski, tablice memoratywne, fundują witraże w

kościółach oraz przekazują młodemu pokoleniu wiedzę o swoich syberyjskich losach i zesłańczych dziejach Polaków, ogłaszają konkursy wiedzy o Polakach na Syberii, publikują wspomnienia z pobytu na zesłaniu, gromadzą eksponaty dla lokalnych muzeów, czyniąc to wszystko zgodnie ze stałą dewizą Związku Sybiraków „Umarłym pamięć, żyjącym pojednanie”. Wraz z reaktywowaniem Związku Sybiraków w kraju (1988) ujawniła się działalność inicjatywna naszych rodaków mieszkających poza Polską, mających w swoich życiorysach syberyjskie doświadczenia zesłańcze. Są wśród nich byli zesłańcy, żołnierze Armii Polskiej dowodzonej przez gen. W. Andersa, którzy szczęśliwie opuścili ZSRR i walcząc na różnych frontach II wojny światowej pozostali na obczyźnie, rozchodząc się szeroko po świecie. W różnych jego zakątkach szukali możliwości życia i pracy na obcej ziemi. Sporą grupę tych „zagranicznych Sybiraków”, którzy wyszli z sowieckiego „domu niewoli” tworzą też zesłańcy, którzy jako cywile ewakuowali się wraz z wojskiem ze Związku Radzieckiego. Wśród nich była duża grupa dzieci, młodzieży i osób starszych, nie mogących podjąć żołnierskiego trudowi. Te grupy ludności cywilnej, np. dzieci zatrzymały się na pewien czas w Indiach, gdzie pod opieką polskiej pieśniarki Hanki Ordonówny (nota bene też byłej łagierniczki) leczyły fizyczne i psychiczne rany spowodowane sowiecką niewolą. Spora grupa ludności cywilnej zamieszkała początkowo w Persji (dzisiejszy Iran) i z czasem zawędrowała do kolonii brytyjskich w Afryce Południowej, gdzie przebywała do czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Obecnie Sybiracy, byli mieszkańcy Czarnego Łądu posiadają swoją organizację istniejącą we Wrocławiu w strukturach Związku Sybiraków zwaną „Klub pod baobabem” i co jakiś czas organizują zjazdy a także dokumentują ten fragment swoich syberyjsko-afrykańskich losów. Szczególną aktywność w tym względzie przejawia Oddział Związku Sybiraków w Katowicach i kierująca nim Danuta Sedlak oraz mieszkająca w Krakowie Krystyna Pryjomko-Serafin, dawna mieszkanka kolonii polskich Sybiraków w Tangeru (dzisiejsza Tanzania). To właśnie jej udało się utworzyć Fundację „Przytulisko” by w ten sposób podziękować Tanzanii za gościnę sprzed lat. Fundacja utworzyła w Tanzanii dom opieki dla biednych dzieci zwany Domem św. Gabriela, prowadzonym przez misjonarki tanzańskie, pod czułym okiem werbisty ojca Jacka. Dom ten będący przystanią spokoju i bezpieczeństwa dla biednych dzieci tanzańskich znajduje się w pobliżu uczęszczanej trasy na Kilimandżaro, w miejscowości Mateves, niedaleko Arushy. Przy sposobności dodajmy, że K. Pryjomko-Serafin za pełne oddanie się idei tej fundacji i jej działalności w dniu 18 października 2008 roku otrzymała prestiżową Nagrodę im. Sergia Vieira de Mello, ustanowionej ku czci komisarza ONZ do Spraw Człowieka, za-

bitego w Iraku w 2003 roku. Wzruszona tak wysokim uznaniem za jej humanitarny trud powiedziała wówczas:

[...] dzieci, które po raz pierwszy wkraczają w progi schroniska św. Gabriela są milczące, bojaźliwe, do głębi skrzywdzone. Wyraz ich oczu odzwierciedla doznane cierpienia, trudne do opisanie. Ale z czasem, powoli, może już po paru tygodniach jesteście świadkami jakby cudownej przemiany. Te pomimo wszystko odporne dzieciaki, malutkie ale pełne niezłomnego ducha przechodzą jakby metamorfozę. Już niebawem słycać ich śmiechy, szczebiotanie, gonitwy i zabawy. Jednocześnie garną się do nauki. Są niejako odrodzone, odzyskawszy drogocenne, wszechludzkie prawo do bezpieczeństwa i godziwego dzieciństwa.⁸

Po zakończeniu drugiej wojny światowej tylko nieliczni syberyjscy zesłańcy, którzy opuścili ZSRR wraz z Armią Polską gen. W. Andersa powrócili do kraju. Większość z nich wybrała na miejsce swego osiedlenia różne kraje świata. Mieszkają oni bądź ich dzieci w Australii, Brazylii, Kanadzie, Nowej Zelandii, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii tworząc tam sybirackie organizacje pozostające często w kontaktach ze Związkiem Sybiraków działającym w Macierzy. Wspomnieć tu także należy o innej kategorii syberyjskich zesłańców, którzy po roku 1945 zesłani zostali z dawnych terenów wschodnich II RP po włączeniu tych ziem do radzieckich republik Białorusi, Litwy, Ukrainy – na Syberię czy do Kazachstanu. Działo się to w ramach wynarodowiania Polaków zamieszkałych w tych republikach i ich walki o utrzymanie i możliwość przekazywania kolejnym pokoleniom narodowej tożsamości. Zesłańcy z tamtej fali represji powrócili częściowo do Polski w ramach repatriacji w latach 1956-1957, a często powracają i dzisiaj!

*

Patronem Związku Sybiraków jest św. Rafał (Jan Kalinowski), porucznik w powstaniu styczniowym zesłany na Syberię. Po powrocie z zesłania wstąpił do Zakonu Karmelitów Bosych w Czernej opodal Krakowa i przybrał imię zakonne Rafał. Zmarł w opinii świętości 15 listopada 1907 roku i został pochowany na przyklasztornym cmentarzu. Beatyfikowany przez Ojca Świętego Jana Pawła II w Krakowie w dniu 23 czerwca 1983 roku, kanonizowany był w Rzymie dnia 17 listopada 1991 roku. W Usolu na Syberii gdzie św. Rafał odbywał katorgę w warzelniach soli, jest dzisiaj klasztor Sióstr Karmelitanek Bosych z Polski.⁹ Chcą one przeschęcić na tamten grunt idee i duch św. Rafała, którego marzeniem

⁸ D. Sedlak, *Tułacze szlaki*, „Zesłaniec”, 2008, nr 37, s. 93-100; tejsze, *Sybiraczka-Afrykanka Krystyna Pryjomko-Serafin laureatką Nagrody im. SergiaVieira de Mello*, „Zesłaniec”, nr 38, s. 107-108.

⁹ A. Kuczyński, *Syberia. 400 lat polskiej diaspory. Zesłania, martyrologia i sukces cywilizacyjny Polaków*, Krzeszowice 2007, a w niej rozdział pt. *Józef Kalinowski (1835-1907). Powstaniec styczniowy na zesłaniu: 1864-1874. Przez Sybir ku ołtarzom*, s. 270-284.

było, by kiedyś w przyszłości karmelitański karmel powstał także na Syberii. Na sztandarach niektórych organizacji terenowych Związku Sybiraków widnieje postać św. Rafała, a we Wrocławiu w Kościele Garnizonowym znajduje się Kaplica Zesłańców Sybiru im. św. Rafała. Zdobą ją Chrystus ukrzyżowany z rozłożonymi w błogosławieństwie rękami, pochylony nad wiernymi skupionymi w błagalnej modlitwie. Na witrażu z postacią św. Rafała, są sceny obrazujące pracę zesłańców na Syberii z okresu II wojny światowej. Widzimy też na nim układanie torów kolejowych, wycinkę drzew w tajdze, pracę w kopalniach oraz obrzęd pogrzebowy, jeden z dziesiątków tysięcy, jakie miały miejsce na zesłaniu. Umieszczone w kaplicy reliefy z brązu przedstawiające sceny z życia św. Rafała są replikami reliefów umieszczonych na ołtarzu kościoła klasztornego w Czernej k/Krakowa, autorstwa Bronisława Chromego z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Poświęcenie kaplicy odbyło się 13 kwietnia 2008 roku. Na uroczystość tę przybyli Sybiracy z całej Polski, a serdeczne posłanie do zgromadzonych skierował Jego Ekscelencja Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Kaczyński pisząc:

Serdecznie pozdrawiam wszystkich Państwa, zgromadzonych we wrocławskiej Bazylice Mniejszej pw. św. Elżbiety Węgierskiej z okazji poświęcenia Kaplicy Zesłańców Sybiru [...] 13 kwietnia to dzień nabrzmiały bólem całego narodu i brzemienno pamięcią o ofiarach, poniesionych przez naszą Ojczyznę. W tym dniu co roku pochylamy się nad mogiłami naszych rodaków – zarówno nad rzeczywistymi, jak też symbolicznymi, bo przecież tak wielu z nich do dzisiaj nie ma własnego grobu, a miejsca ich wiecznego spoczynku pozostają nieznane. W imieniu całego narodu składam dzisiaj wyrazy serdecznego współczucia dla rodzin, przyjaciół i sąsiadów, którzy doświadczyli cierpienia utraty bliskich.

W dniu zadumy nad polskim losem, nad całym bohaterskim i tragicznym wiekiem XX, niepodległa i demokratyczna Rzeczpospolita pragnie oddać hołd tym wszystkim, którzy dla niej ponieśli najwyższą ofiarę, oddając swoje życie. Dzisiaj w sposób symboliczny cała Polska spotyka się właśnie tutaj – w odrestaurowanej Kaplicy Zesłańców Sybiru, poświęconej patronowi polskich zesłańców, św. Rafałowi Kalinowskiemu. Niech w tym miejscu odtąd donośnie rozbrzmiewa modlitwa: pokój wieczny w niebie, a na ziemi chwała bohaterom!

Patronką Sybiraków jest Matka Boska Białecka, której obraz z Biłki Szlacheckiej na Ziemi Lwowskiej znajduje się obecnie w Sanktuarium w Grodźcu koło Opola, nad którym sprawuje opiekę krajowy kapelan Sybiraków. Corocznie pielgrzymują do niej rzesze byłych zesłańców by prosić o wstawiennictwo, pomoc i przebaczenie oraz dziękować za otrzymane łaski.¹⁰ Do tradycji należą już pielgrzymki Sybiraków do Klasztoru na Jasnej Górze w Częstochowie najważniejsze w rozlicznych dziękczynieniach składanych Matce Boskiej za ocalenie i powrót do Polski z „domu niewoli”, jakim była dla setek tysięcy Polaków syberyjska ziemia. W Sanktuarium Maryjnym w Licheniu k/Konina, do którego corocznie w czerwcu odbywają się pielgrzymki Sybiraków został wzniesiony w 2001

¹⁰ E. Dworzak, *Matka Boska Sybiraków w Grodźcu koło Opola*, „Zesłaniec”, 2006, nr 24, s. 3-30.

roku Monument Sybirackiego Znak Pamięci, który jest miejscem spotkań i dialogu syberyjskich zesłańców z młodzieżą.

*

Do stałych spotkań Sybiraków należy już Marsz Żywej Pamięci czczący pamięć o zesłaniach i deportacjach na Syberię w okresie II wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu organizowany corocznie we wrześniu w Białymstoku, w którym uczestniczą tysiące Sybiraków w tym również z zagranicy (Białoruś, Litwa, Ukraina) a zakończenie tej patriotycznej manifestacji odbywa się zawsze przy Grobie Nieznanego Sybiraka, znajdującym się w tym mieście. Problem zachowania wiedzy o martyrologii Polaków na zesłaniu i wynikające z tego obowiązki by pamięć ta trwała i była stałą przestrożą przeciw wszelkim przejawom totalitaryzmu i nietolerancji jest osią przewodnią działalności Związku Sybiraków, który wnosząc mające różną formę znaki pamięci (np. pomniki, obeliski, tablice memoratywne), czyni to z myślą by pamięć o zesłaniach na Syberię przetrwała, rzecz można na wieki, zapisana między innymi na granitowych tablicach w kościołach, na cmentarzach oraz wielu innych miejscach. Rejestrując uważnie tę faktografię dotyczącą owych znaków pamięci wydaje mi się, że działaniom tym przydałoby się jej trochę więcej historycznej głębi – profesjonalnych opracowań historycznych, takich samych audycji radiowych i telewizyjnych, na wysokim poziomie artystycznym filmów fabularnych, literatury faktu i takich utworów literackich, których lektura pozostawiałaby trwały ślad w naszej świadomości. A bywa tak, że w powszechnym myśleniu i działaniu odwołujemy się do doświadczeń najbliższych rzec można martyrologicznych a więc takich, które sami przeżyliśmy na zesłaniu i o których opowiadamy młodzieży zapraszani do szkół. Tymczasem nasze przeżycia są mozaiką wielu zdarzeń, bardzo nieraz złożonych politycznie, psychicznie i społecznie i o tym trzeba mówić i pisać. Póki co, poza Anatolem Krakowieckim (*Książka o Kołymie*, Londyn 1950), Zygmuntem Herling-Grudzińskim czy Jerzym Krzysztoniem, który wykorzystując osobiste wspomnienia z tamtych czasów pogardy, w dwu powieściach (*Wielbłąd na stepie* i *Krzyż Południa*, Warszawa 1987) zawarł zbeletryzowany obraz mało znanego fragmentu losów Polaków zesłanych przez Sowietów, w dalekie azjatyckie strony, ich upartych nadziei, trudnych przeżyć i dramatycznych losów, nasza tzw. literatura wysoka pomijała tematy syberyjskie, niestety stronią też od niej dzieła filmowe.

Dotyczy to także polskiej twórczości filmowej i stanowczo za małej tematyki syberyjskiej w mediach elektronicznych. Może zatem warto zapytać dlaczego tak było i dlaczego tak jest! Natomiast popularnym

układem odniesienia do tych wydarzeń są różne rytuały związkowe, takie jak msze święte, pielgrzymki, marsze pamięci, obchody rocznicowe (często zwane akademiami) połączone nieraz z tzw. częściami oficjalnymi, zwanymi akademiami w oprawie z żołnierskimi wartami honorowymi oraz występami artystycznymi, najczęściej chórów wojskowych i szkolnych. Z rozmów i obserwacji uczestniczącej wynika, że takie właśnie czczenie rocznicowych wydarzeń ma charakter swoistego spektaklu społecznego, którego forma jest jakby przeniesieniem z czasów PRL, tylko ze zmianą ich treści – msze święte, wzruszające przemówienia o patriotyzmie w których roi się od określeń: Golgota Wschodu, nieludzka ziemia, polski Sybir, i to wszystko w odpowiedniej scenerii pocztów sztandarowych, nadawania odznaczeń itp. Ale wynika z tych obserwacji i sondujących rozmów jeszcze jeden znamieny fakt potwierdzający, że odbiór tych „spektakli społecznych” przez młodzież, a także przez nieco starsze od niej pokolenie nie jest niestety adekwatny do zamierzeń ich organizatorów. Być może to właśnie powinno być powodem do wyznaczenia jeszcze innych form zapelniania dzisiaj i w przyszłości przestrzeni pamięci o dziejach Polaków na Syberii.

Myślę, że jedną z takich form byłoby uzupełnienie podręczników szkolnych o fakty wskazujące na to, że Polacy nie tylko cierpieli na Syberii, ale dali tej ziemi także swój trud, wiedzę i umiejętności gospodarcze. Bo kto dzisiaj z uczniów wie dlaczego w różnych rejonach Syberii są nazwy gór i pasm górskich związane z zesłańcami z okresu powstania styczniowego, np. Jana Czernieckiego, Aleksandra Czekanowskiego czy Benedyka Dybrowskiego? Odpowiadam: nikt! Świadczy mój sondaż wśród licealistów, a także studentów, z którymi prowadzę zajęcia. Polacy w nauce, cywilizacji i gospodarce na Syberii, to temat mający wiele kontekstów historycznych, kulturowych i ekonomicznych. Łączy się on z badaniami etnograficznymi i przyrodniczymi za Uralem, z różnymi przedsięwzięciami gospodarczymi jak np. prowadzenie żeglugi na rzekach syberyjskich, budowa kolei transsyberyjskiej, eksploatacja węgla, pozyskiwanie niektórych rud metali czy złoto-nośnego kruszcu. W skali globalnej nie jest to z pewnością wkład olbrzymi, natomiast w odniesieniu do naszego dziedzictwa w tym zakresie jest to powód do dumy. Dopiero w ostatnim okresie zaczęły coraz częściej pojawiać się artykuły na ten temat oraz konferencje naukowe. W sumie trzeba stwierdzić, że jest to działalność cenna, a co najważniejsze inspirująca nie tylko historyków lecz także publicystów.

Cała wartość tego nowego zjawiska, ma siłę przykładu skłaniającego do pogłębiania wiedzy z tego zakresu i inspirowania nowych przedsięwzięć badawczych i popularyzatorskich, np. poprzez film i telewizję.

Pod adresem Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej adresuję też potrzebę przygotowania pakietu edukacyjnego pod nazwą „Zesłania i deportacje Polaków do ZSRR, w okresie II wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu” dla nauczycieli i różnych placówek oświatowych organizujących kursy metodyczne w zakresie nauczania historii. W pakiecie tym zostały by pokazane losy niektórych rodzin, obwieszczenia Armii Czerwonej po wkroczeniu na tereny wschodnie II RP po 17 września 1939 roku, fotografie, mapy, reprodukcje dokumentów itp. Mamy tu więc do czynienia z pilną potrzebą pełniejszych ujęć tego zagadnienia i odniesień do konkretnych faktów z tym związanych. W takim przypadku będzie to oznaczać usytuowanie tego fragmentu naszej historii w procesie szkolnej edukacji. Powszechnym jest przecież pogląd, że najważniejszym elementem wszelakich form historii jest walka o jej upowszechnianie wśród społeczeństwa, której nie powinny przeszkadzać bieżące przemiany cywilizacyjne epoki elektroniki. Ba, to właśnie ona może być pełniejszym nośnikiem naszych historycznych tradycji w tym również wiedzy o Polakach na syberyjskim zesłaniu.

Odrębny problem, zresztą ostro sygnalizujący swoją obecność w działalności Związku Sybiraków, stanowi udział jego wydawnictw w ogólnym wolumenie krajowych publikacji opisujących pobyt Polaków na zesłaniu. Rozpocząć przegląd ten należy od czasopisma „Sybirak”, nawiązującego nazwą do przedwojennego periodyku. Zaczął on ukazywać się jako czasopismo Związku Sybiraków Oddziału w Białymstoku z inicjatywy i pod red. Roberta Tomczaka, tuż po reaktywowaniu Związku. W pierwszym numerze (1/1989) zamieszczono „Apel Związku Sybiraków”, sygnowany przez Oddział Wojewódzki Związku Sybiraków w Białymstoku. w którym czytamy:

Kierujemy nasze słowa z prośbą o zapoznanie się z celami i zadaniami organizacji, która powstała niedawno – a czekało na nią społeczeństwo od wielu lat.

Związek Sybiraków Oddział Wojewódzki w Białymstoku powołano 16 maja 1989 roku – jest to stowarzyszenie zarejestrowane i posiadające osobowość prawną. Właściwszym niż powołanie może tutaj być słowo reaktywowanie – Związek Sybiraków istniał od roku 1928 do 1939. 60 lat od założenia i 50 lat od przerwania jego działalności ponownie podjęto – uwieńczone sukcesem – wysiłki mające na celu wznowienie istnienia Związku.

Podstawowymi celami, jakie zgodnie ze statutem spełnia Związek Sybiraków, to: świadczenie pomocy swym członkom, roztaczanie opieki nad inwalidami i członkami rodzin po zmarłych i poległych Sybirakach, upamiętnienie losów zesłańców polskich.

Oczekujemy i liczymy na Waszą pomoc. Związek Sybiraków wspierany jest przez grono życzliwych i społecznie oddanych ludzi. Napływ osób, które w przeszłości były prześladowane, deportowane na Syberię, jest ogromny.

Przez wiele lat temat Sybiraków był tematem tabu. Ograniczano wiadomości, zniekształcano historię. Podręczniki milczały, ludzie bali się cokolwiek mówić.

Teraz mamy swoją organizację, możemy domagać się słusznych spraw, głośno wyrażać opinie i sądy o tych strasznych czasach.

Lata wygnania, ciężkiej pracy w lodach Syberii, kopalniach Workuty, przy budowie kolei czy wyrębie tajgi pozostawiły niestety trwałe ślady wśród żyjących jeszcze Sybiraków. Często ludzie ci wymagają pomocy, żyją na granicy ubóstwa. Nikt się nimi dotychczas nie interesował. To co przeszli – jest nie do opisanego, chwytają za serce, wyciskają łzy z oczu.

Prosimy serdecznie o życzliwość i zrozumienie. Środki materialne jakie posiadamy są symboliczne. Rozwinięcie jakiegokolwiek pomocy społecznej wymaga wsparcia ze strony zasobniejszych sponsorów, a nawet prywatnych osób. – spodziewamy się, że apel niniejszy znajdzie szeroki oddźwięk.

Z góry za to w imieniu Zarządu Związku Sybiraków oraz licznych jego członków serdecznie z całego serca dziękujemy.

Podobny charakter nosiła nota redakcyjna Zespołu Redakcyjnego „Sybiraka” zatytułowana „Do Wszystkich... Do Wszystkich”. Od pierwszego numeru pismo cieszyło się zainteresowaniem czytelników. Wartość poznawcza i popularyzatorska pisma była ogromna. Publikowało ono artykuły problemowe wspomnienia, poezję, dokumenty, informowało o ważniejszych wydarzeniach w Związku i kierunkach jego działalności. Tak zwięźle przebieżenie jego treści nie mówi wszystkiego o „Sybiraku”. Ale warto podkreślić, że w swej warstwie znaczeniowej było ono ważnym czasopismem i można powiedzieć ogniwem scalającym ruch sybiracki w Polsce. Skoro już nazwano rzecz po imieniu, wypada powiedzieć jakie były źródła popularności tego czasopisma.

Najkrócej ujmując, wystartowało ono w czasie gdy po latach milczenia o zesłaniach na Syberię zaczęto o tym pisać oficjalnie, wkroczone więc w obszar, który przez wiele lat PRL był zakazany historykom do poruszania się po nim, a i w publicystyce temat ten był skwapliwie pomijany. Stąd z chwila powstania Związku Sybiraków, a właściwie jego reaktywowania każda informacja pisana na ten temat pojawiająca się w oficjalnym obiegu czytelniczym cieszyła się wielką popularnością. Co, rzecz jasna, budziło wielkie zainteresowanie i wychodziło naprzeciw oczekiwaniom czytelniczym. Dobrze więc, że inicjatorzy utworzenia pisma potrudzili się o taką jego tematykę, która pozwalała bardziej poznać ten do niedawna deficytowy temat w publicystyce, mediach i literaturze historycznej. Pierwsze poszczególne zeszyty „Sybiraka”, choć stosunkowo niewielkie objętościowo nasycone były relacjami z zesłania, na które długo czekał polski czytelnik, zwłaszcza taki, który miał za sobą pobyt na Syberii lub też taki, w którego tradycji rodzinnej Sybir mocno rezonował w pamięci i był odbiciem zesłańczej klęski. Z czasem „Sybirak” utracił płynność w ukazywaniu się, a jego ostatni 34 numer ukazał się w roku 2004, mimo pewnych form pomocy udzielanej redakcji przez Zarząd Główny Związku Sybiraków. W decydującym momencie o zaprzestaniu ukazywania czasopisma zdecydowały różne, często subiektywne kłopoty, a ponieważ w świecie porażek są wielorakie drogi prowadzące do nich, przeto i pismo zabłądziło na jednej z nich! Na szczęście po paru

latach jego nieobecności redakcja wznowiła w październiku 2008 roku edycję „Sybiraka”, w zmienionej jednak formule wydawniczej, z podtytułem „Edycja dla młodzieży”. Jego wydawcą jest Fundacja Dziedzictwa Polskiej Golgoty Wschodu im. św. Rafała Kalinowskiego, która powstała w Białymstoku.

Ważną i rozległą tematykę sybiracką prezentuje również czasopismo „My Sybiracy” wydawane od roku 1990 przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Prezentowana w piśmie wielostronna tematyka starannie dobranych tekstów pozwala czytelnikom zorientować się w skomplikowanej problematyce związków polsko-syberyjskich, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej. Tak więc różnorodne materiały składają się na interesującą tematykę tego pisma i powiększają w znaczny sposób wiedzę szerokich kręgów społeczeństwa o dziejach Polaków za Uralem. Należy też podkreślić, że częstokroć jego tematyka stanowi punkt odniesienia do prac badawczych podejmowanych przez polskich historyków nad dziejami zesłań i deportacji Polaków głąb Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Myślę, że wśród wielu zabiegów podejmowanych przez Związek Sybiraków dotyczących funkcji dydaktycznej szkoły w zakresie nauczania historii, problematyka związków polsko-syberyjskich prezentowana na łamach periodyku „My Sybiracy” może być wielce przydatna dla nauczycieli w pogłębianiu wiedzy o polskich losach na Syberii.

Problematykę związków polsko-syberyjskich krzewi także kwartalnik „Zesłaniec” wydawany z mozołem od roku 1996 przez Radę Naukową Zarządu Głównego Związku Sybiraków, który zjednał już sobie szerokie grono czytelników. Publikowane na jego łamach artykuły są znakomicie udokumentowane wynikami różnorodnych badań prowadzonych w archiwach krajowych i w Federacji Rosyjskiej, zwłaszcza w jej syberyjskiej części – Abakan, Barnauł, Czyta, Irkuck, Jakuck, Krasnojarsk, Omsk, Tomsk, Ułan Ude. Tak zwięźle zaprezentowanie treści kwartalnika nie mówi wszystkiego o nim. W swej głębszej warstwie znaczeniowej jest on bowiem czymś więcej aniżeli propagatorem idei Związku, jest ciągle pisaną historią różnych kontaktów Polaków z Syberią. A pisać jest o czym, bowiem niepamięć czasów PRL-u kładzie się tutaj ponurym cieniem. Dlatego też konieczne jest odtwarzanie i odnawianie świadomości historycznej związanej ze stosunkami polsko-syberyjskimi. Pod piórem autorów czasowo nieraz odległe problemy z tego zakresu stają się bliższe, powiedziałbym więcej, nie tylko problemy, ale również mniej znane fakty. W tekstach drukowanych w dziale „Relacje z zesłania” ukazywane są codzienne warunki bytowania zesłańców, przejawy życia religijnego, wychowania rodzinnego i wielkie poświęcenie matek-sybiraczek, które w specyficznych warunkach zesłania pełniły misję ratowania dzieci przed ateizacją, dbały o trwanie mowy ojczystej i patriotyzm. W tekstach tych jawi się wyraźnie zwyczajne surowe życie zesłańców, ze wszystki-

mi jego odmianami wyznaczanymi przez rytm zesłańczej codzienności, jaką wypełniała ciężka niewolnicza praca, przy całym wzajemnym bogactwie rodzinnych uczuć, zwłaszcza biednych dzieci czekających na kęs chleba i matczynej miłości, biednych a uczciwych w bogactwie żywionych uczuć.

Relacje te są częstokroć wstrząsającym opisem niestrudzonej walki zesłańców o przetrwanie, opisem marności wysiłków z tym związanych i ciągle odradzającej się w nich wiary, że przetrwają, co nie pozwalało im do końca pogodzić się z utratą nadziei. Tematyka artykułów publikowanych w kwartalniku, to szeroka, choć oczywiście nie pełna panorama polskich spraw za Uralem, dająca jednak znaczący sygnał o Syberii w historii i kulturze narodu polskiego. Oprócz tego w publikowanych tekstach można było wyczytać o przerażającym zniewoleniu, jaki wytwarza system totalitarny, choć oczywiście nie była to panorama wszelkich jego przejawów. I to właśnie, wydaje się, stanowi o tym, że lektura „Zesłańca” interesuje nie tylko Sybiraków lecz również studentów, nauczycieli historii, pracowników naukowych badających problem relacji Polska-Syberia. Trzeba także koniecznie powiedzieć, że cztery jego zeszyty miały charakter monotematyczny i poświęcone były Matkom Sybiraczkom, dziejom Polaków w Kazachstanie, postaci gen. W. Andersa oraz jubileuszowi 80-lecia Związku Sybiraków. Redakcja kwartalnika wpisuje się realnie w problem sybirackiej świadomości i wynikających z niej obowiązków. Od pierwszego numeru, który ukazał się w roku 1996 z powodzeniem podejmowano ten obowiązek poprzez publikowanie tekstów na ten temat. Ich autorami byli pracownicy naukowcy, z różnych ośrodków akademickich w kraju i osoby związane pracą zawodową z Instytutem Pamięi Narodowej, często historycy z Rosji i pracownicy tamtejszego „Memoriału.” Ten alians trwa nadal i rzec można, że „Zesłańcie” zadomowił się już w literaturze ukazującej związki polsko-syberyjskie. Piszemy o tym wszystkim bez emocji, w tonie kronikarskiej relacji i na potwierdzenie tej być może subiektywnej oceny przytoczymy fragment ostatniej recenzji jaka ukazała się o „Zesłańcu” w prestiżowym roczniku etnologiczno-antropologicznym, „Lud” (2008, tom 92) w którym Grzegorz Pełczyński napisał:

Redakcja „Zesłańca” bardzo skrupulatnie przestrzega właściwych proporcji między emocjami a intelektem. Zajmując się tematyką wschodnią, bardzo łatwo o cierpiętnictwo, o oskarżanie wszystkiego i wszystkich. Teksty publikowane we wrocławskim periodyku nacechowane są jednak trzeźwością, wynikającą ze stosowania metody naukowej. Większość artykułów spełnia wymagania stawiane pracom naukowym, wprawdzie z dziedziny często literaturopodobnej humanistyki; jest to jednak piarstwo posługujące się starannie opracowanymi materiałami źródłowymi.

Na kartach redagowanego przez Antoniego Kuczyńskiego czasopisma spotykam naukowców i świadków wydarzeń historycznych, Polaków i przedstawicieli narodów zamieszkujących ongiś carskie czy sowieckie imperium, spotykam lu-

dzi różnych pokoleń. „Zesłaniec” jawi się jako miejsce ważnego dialogu. Z pewnością można go uprawiać z powodzeniem również w formach internetowych. Kiedyś rozmawiało się na rynku albo konwersowało w salonie. Konwersacja w salonie Kuczyńskiego jest zawsze pouczająca, choć nie wszyscy z interlokutorów przypadają nam do gustu. Nigdy jednak nie jest czasem straconym.[...] Recenzowany periodyk jest nie tylko przejawem działalności pewnego stowarzyszenia. Jest to czasopismo, w którym znaleźć mogą wartościowe artykuły wszyscy, których interesują stosunki polsko-rosyjskie, dzieje Kresów Wschodnich, rodzime kultury Syberii, problem totalitaryzmu. Publikowane są także wstrząsające wspomnienia osób, które przeżyły zesłanie.¹¹

Dalszą próbę prezentowania działalności wydawniczej Związku Sybiraków rozpocząć należy od tzw. „Komunikatów” ukazujących się od momentu reaktywowania jego działalności. Posiadają one charakter biuletynu informacyjnego upowszechniającego działalność władz naczelnych Związku oraz innych jego struktur i jest swoistego rodzaju elementem komunikacji wewnętrznej, wzbogacanej często przez różnego rodzaju lokalne inicjatywy z tego zakresu. Przejdźmy następnie od tej organizacyjnej formy wypowiedzi władz związkowych orientującej członków o jego działalności do bardziej znaczących publikacji. Bez wątplenia należy do nich *Księga Sybiraków 1928-1988-1998-2000*, autorstwa K. B. Grenzaka oraz I. Tańskiej, Warszawa 2001 i kolejne jej części I oraz II autorstwa J. L. Rossowskiego i część III, autorstwa K. B. Grenzaka, Warszawa 2006. Jest to publikacja w pewien sposób szczególnie charakterystyczna, a przez to ważna dla dziejów Związku i ludzi z nim związanych. Nie jest to wprawdzie monografia Związku Sybiraków ale wiele jej elementów nawiązuje do tego charakteru opracowania, które przynosi sporo wiadomości na ten temat. Są w niej bowiem liczne odniesienia do spraw genezy Związku, jego reaktywowania, omówienia kolejnych Walnych Zgromadzeń, prezentacje terenowych Oddziałów i Kół Związku oraz inne informacje wypełnione treścią aktualną, czasem publicystyczną, a czasem historyczno-emocjonalną, przy dość obfitej dokumentacji fotograficznej – pomniki, obeliski, tablice pamiątkowe, witraże, książki, odznaki itp. Taka bowiem treść tworzy klimat tej estetycznie wydanej *Księgi*, ubarwiającej i nadającej większego znaczenia informacyjnego o działalności Związku, rzecz można tworzacej jego pozytywny mit przesycony nieraz subiektywnymi opiami autorów.

Problematyka zesłań i deportacji Polaków na Syberię w okresie II wojny światowej, tak skutecznie pomijana w polskiej historiografii do roku 1989 obfituje już w szereg opracowań. Wcześniej jawiła się ona w różnego rodzaju opracowaniach ukazujących się w polskich środowiskach w Wielkiej Brytanii oraz w wydawanych tam książkach wspomnieniowych. Na polskim rynku wydawniczym obfita literatura wspo-

¹¹ G. Pełczyński, *Zesłaniec. Pismo Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków*, red. nac. Antoni Kuczyński, nr 1-31, Warszawa: ZG ZS 1996-2007. ISSN: 1426-21-2126, „Lud”, 2008, t. XCII, s. 332.

mnieniowa na ten temat zaczęła ukazywać się z początkiem lat 90-tych XX wieku. W Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, które wspólnie z dwumiesięcznikiem literacko-naukowym „Literatura Ludowa” ogłosiło w roku 1989 konkurs na wspomnienia Polaków z pobytu na zesłaniu, powstała seria wydawnicza pod nazwą „Biblioteka Zesłańca”, w której ukazało się 20 tomów wspomnieniowych oraz kilka staropolskich pamiętników syberyjskich i monografie biograficznych polskich badaczy Syberii, np. B. Dybowskiego i K. Bohdanowicza.

Związek Sybiraków powodowany troską o stan świadomości historycznej naszego społeczeństwa dotyczącej polskich losów na Syberii wydał dziewięć tomów „Wspomnień Sybiraków” wypełnionych relacjami zgromadzonymi w archiwum przy Zarządzie Głównym, założonym i prowadzonym przez wiele lat przez Janusza Przewłockiego. Obecnie zbiory te zostały przekazany w depozyt do Ośrodka „Karta” w Warszawie a o ich unikatowej wartości naukowej świadczy wydany ostatnio katalog za wartości tego zespołu archiwalnego.

Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było...Sybiracy”, realizowanej przez oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Często też inne oddziały terenowe gromadzące wspomnienia zesłańcze publikują je w lokalnych wydawnictwach. Na podstawie tych poszczególnych przykładów można je uznać za typowe i charakterystyczne dla całości działań edytorskich obejmujących często obleczoną w patos tzw. literaturę łagrową dotyczącą lat 40. XX stulecia. W oparciu o tę literaturę mamy do czynienia w praktyce z ogromnym poszerzeniem pola widzenia zesłańczych losów, ale aby tego typu działania były efektywne, muszą być poddane historycznej ocenie, a jej wynik to konkluzja zrodzona w toku żmudnych historycznych badań i naukowych weryfikacji. Częstokroć, a właściwie prawie zawsze książki wspomnieniowe o zesłaniu publikowane sumptem terenowych oddziałów Związku Sybiraków nie podlegają przed ich ukazaniem się merytorycznej ocenie wydawniczej, nic więc dziwnego, że ich faktografia musi być weryfikowana jeśli ma służyć za obiektywne źródło historyczne. Pozytywne wyniki takiej weryfikacji znalazły już swój wyraz w pracach historyków. Ta skrócowa refleksja nad polską literaturą zesłańczą powinna pokazać jej znaczenie dla większego rezonansu społecznego nad polskimi związkami z Syberią w XIX i XX wieku. Chciałbym tu odnotować i ten fakt, że w ostatnich latach wzmożła się zauważalnie potrzeba dyskusji o miejscu tej literatury w monograficznym ujęciu Syberii w historii i kulturze narodu polskiego, wpisanej w różne poziomy tamtejszej rzeczywistości.

Tak więc przykłady z rozmaitych obszarów działalności Związku Sybiraków dowodzą jego troski o to by wiedza o 400-tu latach polskiej diaspory na Syberii, nie nosiła tylko martyrologicznego charakteru, by przyobleczona też ona została w jaśniejsze pejzaże pokazujące trud badawczy Polaków za Uralem dotyczący kultury autochtonicznych miesz-

kańców, eksploracji przyrodniczych, działalności gospodarczej i humanitarnej. Właśnie w roku Jubileuszu 80-lecia Związku Sybiraków i 20-lecia reaktywowania jego działalności we wszystkich oddziałach i kołach odbywały się spotkania i uroczystości poświęcone tym rocznicom, których apogeum przypadło na obchodzony 17 września Dzień Sybiraka.

*

W roku 2008 miały też miejsce dwa spektakularne wydarzenia numizmatyczne uświetniające wspomniany jubileusz Związku Sybiraków. W marcu odbyła się w siedzibie Narodowego Banku Polskiego w Warszawie uroczysta promocja trzech monet z cyklu Sybiracy.¹² Z okazji Jubileuszu 80-lecia Związku Sybiraków założonego w 1928 roku i reaktywowanego w roku 1988 Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu dnia 26 marca 2008 roku 3 monety upamiętniające zesłania i deportacje Polaków na Syberię. Na emisję składają się: moneta 100 złotowa – bita w złocie, 10 złotowa bita w srebrze oraz 2 złotowa wykonana ze stopu Nordic Gold. Wszystkie projektowała Ewa Tyc-Karpińska, a na każdej oprócz zdobniczych elementów znajduje się napis „Sybiracy”. Nie bez znaczenia dla ich wizualnego odbioru jest kompozycja artystyczna, powiedziałbym więcej: symboliczna i nostalgiczna w odbiorze, budząca refleksję, zadumę i chęć poznania sybirackich losów. Chwała artystce za to, że potrudziła się o takie skomponowanie wizerunków na monetach, dotyczących spraw nie zawsze łatwych do uchwycenia ich istoty! Toteż właściwie, oceniane w ramach czysto estetycznych, są to monety piękne i bez trudu można zaliczyć je do ozdoby numizmatycznych kolekcji. W takiej koncepcji uczczenia jubileuszu Związku Sybiraków zawiera się jednocześnie wyraźnie odczuwalna historia związków polsko-syberyjskich z czasów drugiej wojny światowej oraz pierwszych lat po jej zakończeniu. Cezura czasowa jaką był upadek komunizmu w Polsce (1989) dokonała rozbudzenia badań historycznych dotyczących zesłań Polaków w głąb Związku Radzieckiego w ramach czterech masowych deportacji przypadających na lata 1940-1941. Problemy te wyraźnie cierpiały na brak możliwości zajmowania się nimi wskutek zakazów cenzury. Powoli zaczynamy jednak odrabiać te zaległości zmieniły się bowiem nasze kryteria oceny stosunków polsko-radzieckich. Powoli porządkuje się te dzieje, a Związek Sybiraków dba o to by w formie różnych tzw. znaków pamięci – pomniki, obeliski, tablice memoratywne, witraże w kościołach, sanktuaria, nazwy placów, ulic itp. syberyjskie dzieje Polaków pełniej rezonowały w ich świadomości.

¹² A. Kuczyński, „Umarłym pamięć, żyjącym pojednanie.” *Monety na Jubileusz Związku Sybiraków*, „Wspólnota Polska”, 2008, nr 5, s. 46-48; A. Kuczyński, *Monety czczące jubileusz Związku Sybiraków*, „Tygodnik Polonijny”, grudzień 2008, s. 52, 57-58; tenże, *Monety sybirackie*, „Zesłaniec”, 2009, nr 38, s. 105-107.

Właśnie w ten kanon owych znaków pamięci wpisuje się wydany przed laty znaczek poczty polskiej z wizerunkiem odznaki Związku Sybiraków a ostatnio trzy monety z napisem „Sybiracy”. Na awersie monety dwuzłotowej o średnicy 27 mm jest wizerunek orła ustalony dla godła Rzeczypospolitej Polskiej, natomiast po jego bokach podano rok emisji: 20-08, a pod orłem cyfra oznaczająca nominał: 2 zł. W otoku widnieje napis: RZECZPOSPOLITA POLSKA, poprzedzony oraz zakończony sześcioma perełkami. Pod lewą łapą orła jest znak mennicy: M/W. Rewers monety przedstawia zarysy sylwetek ludzkich na tle pni drzew, u dołu zaś znajduje się napis: SYBIRACY. Pnie drzew symbolizują prace przy wyрубie tajgi, którą często wykonywali zesłańcy. Bok monety posiada ośmiokrotnie powtórzony napis: NBP, co drugi odwrócony o 180 stopni, rozdzielony gwiazdkami. Wielkość emisji. 1.500.000 sztuk.

Moneta 10 zł o wielkości emisji 135.000 sztuk, bita jest w srebrze i posiada na awersie po lewej stronie wizerunek orła typowy dla godła Rzeczypospolitej Polskiej. Centralnie i z prawej strony widnieją na niej stylizowane sylwetki ludzkie, a z ich prawej strony ukośnie ułożony napis: *byliśmy tłumem bezimiennym*. Pod nim cyfra: 10 zł. Z lewej strony u góry napis: RZECZPOSPOLITA POLSKA zakończony oznaczeniem roku emisji: 2008. Pod lewą łapą orła znak mennicy: M/W. Rewers monety posiada centralnie umieszczony napis: SYBIRACY w tle natomiast jest stylizowany wizerunek lasu i jego odbicie.

Moneta o nominale 100 zł, bita jest w złocie. Na awersie posiada godło Rzeczypospolitej Polskiej, natomiast z prawej strony sylwetki ludzkie na tle pni drzew i z prawej strony tego wizerunku pionowo cyfrę 100 zł. Z lewej strony w otoku półkolisty napis RZECZPOSPOLITA POLSKA oraz oznaczenie roku emisji: 2008. Pod lewą łapą orła znak mennicy: M/W. Rewers posiada z prawej strony stylizowany wizerunek kobiety otulonej chustą i tulącą dziewczynkę, z lewej natomiast fragment chaty z oknem opatrzonym znanymi na Syberii nadokiennymi zdobieniami. Postać i chata rozdzielone stylizowanym ukośnie ułożonym pniem drzewa. Z prawej strony półkołem napis: SYBIRACY. Wielkość emisji monety: 12.000 sztuk.

Z okazji emisji ukazał się folder zawierający wizerunki monet i ich opis. Znajdujący się w nim okolicznościowy tekst prof. dr hab. Elżbiety Kaczyńskiej wyjaśnia określenie nazwy „Sybirak” oraz prezentuje etapy zesłań i deportacji Polaków w rozległy syberyjski kraj. Symboliczna wartość tych monet jest na pewno ogromna i niewątpliwie są one ważnym elementem motywującym do poznania dziejów Polaków na Syberii. Dają one bowiem skrótowy sygnał o tych dziejach i chwała NBP, że wprowadził je do obiegu. Wspomnę tu jeszcze tylko, że w roku 2004 Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu dwie monety o nominałach 2 i 10 złotych z wizerunkiem uczestnika powstania styczniowego, zesłańca i badacza Syberii A. Czekanowskiego, którego pa-

mięć utrwała także pasmo górskie w Jakucji nazwane jego imieniem. Oby co rychlej ukazały się monety z wizerunkami innych polskich zesłańców np. B. Dybowskiego, J. Czerskiego, W. Sieroszewskiego, którzy znani są w światowej nauce jako badacze Syberii – etnografowie, geografowie i geolodzy.

W ten cykl monetarny o szerokim rezonansie światowym, bo ruch numizmatyczny nie zna granic, wpisała się także emisja monet upamiętniających postać Bronisława Piłsudskiego, zesłańca i wybitnego badacza autochtonicznych etnosów wyspy Sachalin. Ich uroczysta promocja odbyła się 2 października 2008 roku w Centrum Techniki i Sztuki Japońskiej manghha w Krakowie. Emisja ta włączona została do znanej już w środowiskach numizmatyków serii monetarnej „Polscy podróżnicy i badacze” Narodowego Banku Polskiego w ramach której ukazują się monety o nominałach 2 i 10 zł stanowiące ważny element pamięci o postaciach związanych z polskim dziedzictwem naukowym na świecie. Dotychczas ukazały się one z wizerunkami: Pawła Edmunda Strzeleckiego (1797– 1873) - geologa i geografa, badacza Australii i kultury jej aborygenów (data emisji – 1997); Ernesta Malinowskiego (1815-1899) – budowniczego kolei transandyjskiej (1999); Michała Siedleckiego (1875-1940) – oceanografa, badacza przyrody Jawy i Sumatry (2001); Bronisława Malinowskiego (1884-1940) – etnologa, wybitnego badacza kultury ludów Wysp Triobrandy (2002); Aleksandra Czekanowskiego (1833-1876) – powstańca styczniowego, zesłańca na Syberię prowadzącego tam badania geologiczne, którego pamięć czci na mapie Syberii pasmo zwane Góry Czekanowskiego leżące na północy Jakucji (2004); Ignacego Domeyki (1802-1889) – geologa, mineraloga, etnografa i pedagoga pracującego w Chile, gdzie na centralnym placu w stolicy tego kraju stoi jego pomnik (2006); Henryka Arctowskiego (1871-1958) i Antoniego Dobrowolskiego (1872-1954) – uczestników belgijskiej wyprawy na Antarktydę (2007).

Monety z wizerunkiem B. Piłsudskiego są kolejnymi, czyli ósmymi w tej serii. Monetę o nominale 10 zł, wykonano stemplem lustrzanym w srebrze o ilości emisyjnej 99.000 szt. Projektowała ją Roussanka Nowakowska. Na awersie z lewej strony jest wizerunek orła, godła Rzeczypospolitej Polskiej. Pod jego lewą łapą znak mennicy: M/W. W środku monety na tle widoków gór są wizerunki trzech postaci Ajnów: z lewej strony kobiety trzymającej dziecko, z prawej mężczyzny, w ubiorach ajno-skich. Nie znam zamysłu twórczego artystki projektującej tę scenę, ale odbieram to jako nawiązanie do faktu ojcostwa dwojga dzieci B. Piłsudskiego zrodzonych ze związku z kobietą z plemienia Ajnów gdy przebywał on na Sachalinie. Ich potomkowie mieszkają do dzisiaj w Japonii. Obok postaci mężczyzny znajduje się pionowo ułożony ornament ajno-ski. Poniżej, na środku jest napis 10 zł i tuż obok z prawej strony oznaczenie roku emisji: 2008, z lewej zaś fragment ornamentu z ubioru ajno-

skiego. U góry i z prawej strony półkolem napis: RZECZPOSPOLITA POLSKA. Na rewersie monety jest stylizowany wizerunek B. Piłsudskiego. Z lewej strony postaci umieszczono ornament ajnoski, z prawej zaś w dwu kolumnach napis: BRONISŁAW PIŁSUDSKI oraz obok poziomo daty 1866-1918. Pod nimi jest stylizowany wizerunek sosny.

Na awersie monety 2 zł.(projekt Ewy Tyc-Karpińskiej) ze stopu Nordic Gold widnieje wizerunek orła zaś na wysokości jego łap rok emisji: 20-08, u dołu natomiast jest oznaczenie nominału. W otoku u góry napis: RZECZPOSPOLITA POLSKA, poprzedzony oraz zakończony sześcioma perełkami. Rewers monety (projekt R. Nowakowskiej) posiada z prawej strony wizerunek postaci B. Piłsudskiego. Z lewej strony jest postać Ajna w tradycyjnym ubiorze na tle stylizowanych zarysów gór. Poniżej postaci stylizowany fragment ornamentu z ubioru ajnoskiego. Na dole półkolem napis Bronisław Piłsudski 1866-1918. Na boku ośmiokrotnie powtórzony napis NBP, co drugi odwrócony o 180 stopni, rozdzielony gwiazdkami. Wybito ją w nakładzie 1 milion 100 tysięcy .

Emisję dopełnia folder zatytułowany „Polscy podróżnicy i badacze – Bronisław Piłsudski 1866-1918”, wydany w języku angielskim, niemieckim i polskim, w którym jest opis tych monet oraz interesujący szkic biograficzny postaci tego zesłańca. Jej zwięzła prezentacja wskazuje wyraźnie, że mamy do czynienia z osobowością wielce znaczącą w nauce. Charakter zawartych tam informacji zwraca uwagę na złożone losy B. Piłsudskiego, tego niesłusznie przez lata zapomnianego polskiego etnografa, zesłańca i wielkiego humanisty. Otrzymaliśmy w sumie ambitną w zamierzeniu notkę biograficzną, ciekawie napisaną, która – wolno mieć taką nadzieję - zachęci czytelników do dokładniejszego zapoznania się z dokonaniem tego zesłańca i etnografa. Był on o rok starszy od swego brata Marszałka J. Piłsudskiego. Na Uniwersytecie Petersburskim studiował prawo. Zamieszany w spisec na życie cara Aleksandra III, skazany został na karę śmierci, zamienioną w drodze łaski na 15 lat katorgi na Sachalinie (1887).

Gorzkie to były dla niego okoliczności, miał przecież zaledwie 21 lat gdy pod strażą jako katorżnik przybył uciążliwą drogą na Sachalin w sierpniu 1887 roku na statku „Niżny Nowgorod”, wśród różnego autoramentu skazańców, nierzadko morderców i innych złoczyńców. Literackie echo tej podróży „na kraj świata” zawarte jest w książce Stefana Żeromskiego pt. *Uroda życia*, w której nasz sachaliński zesłaniec występuje pod postacią Gustawa Bezmiana, opowiadającego współpasażerom na statku płynącym z Ameryki do Europy o Sachalinie i tamtejszych katorżniczych realiach. Był bowiem Sachalin w ówczesnym systemie penitencjarnym Rosji kolonią karną dla najgroźniejszych kategorii złoczyńców, rzec można prawdziwych demonów przestępczej recydywy, wśród których z premedytacją lokowano też więźniów politycznych oraz wrogów carskiego majestatu. Młodemu B. Piłsudskiemu, którego los tak nagle się odmienił

udało się tam na katordze przezwyciężyć jedną z największych trudności zesłańczego życia, jaką mogło być psychiczne załamanie i pogodzenie się z losem. Rzec można, że w jakimś stopniu zlikwidował wewnętrzny konflikt między wcześniej planowaną przyszłością, a nieprzewidzianą sytuacją losową o wymiarze daleko odbiegającym od młodzięcych planów bycia prawnikiem i różnych rodzinnych nadziei z nim związanych. Sam zresztą nie zaprzeczał tej sytuacji i w jednym z listów pisanych do ojca zapewniał go, że nie sprzeniewierzy się zasadom moralnym wyniesionym z rodzinnego gniazda. Niestety ojciec nie doczekał powrotu syna z zesłania i po rozstaniu się z nim w Petersburgu, gdy wyruszał na zesłanie nigdy się już nie zobaczyli, zmarł bowiem u progu XX wieku.

Tak więc w dojrzałość intelektualną oraz działalność naukową i społecznie użyteczną wchodził B. Piłsudski na zesłaniu ze świadomością wartości etycznych wyniesionych z domu rodzinnego oraz w warunkach pełnej odmiany wcześniejszych zamierzeń, to jest nie jako prawnik a jako potępiany przez nadzór katorżnik/zesłańiec. Zesłanie to stało się pochodną różnych wydarzeń w jego życiu. Początkowo tak jak inni skazańcy pracował fizycznie, potem, jako osoba wykształcona – a takich ludzi brakowało na Sachalinie – był pisarzem w biurze więziennym, udzielał też lekcji dzieciom służby więziennej. Szanowali go zesłańcy, bowiem w przestrzeni kolonii katorżniczej dał się poznać jako osoba wspomagająca innych, zyskująca szacunek i nie poddająca się trudnemu losowi. Biografowie przywołują nieraz te fakty podkreślając, że jako zesłańiec wypełniał różne obowiązki, np. gromadzenie eksponatów do muzeum w Aleksandrowsku na Sachalinie, założył szkoły elementarne dla tubylczych dzieci, prowadził obserwacje pogody i budował stacje meteorologiczne.

Nade wszystko jednak najbardziej znana jest działalność B. Piłsudskiego na niwie etnograficznej. Był on w zasadzie pierwszym na Sachalinie badaczem, który prowadził wnikliwe studia z tego zakresu. Wybór jakiego dokonał zjednywał mu miejscowe władze administracyjne, a także poprawiał egzystencję zesłańczej codzienności. Przede wszystkim miał stosunkowo dużą swobodę z przemieszczania się po okolicy, a z czasem i po całej wyspie jako osoba realizująca zlecenie naukowe Carskiej Akademii Nauk oraz gubernatora wyspy, na zlecenie którego opracował program ochrony języka i kultury Ajnów mający chronić ten lud przed akulturacją i depopulacją, a więc problemami, które dotknęły wiele małych autochtonicznych narodów wielkiej Syberii gdy stała się ona obszarem rosyjskiej ekspansji kolonialnej. Jako młody adept w dziedzinie ludoznawstwa/etnografii doceniał też B. Piłsudski wagę dokumentacji naukowej różnych zjawisk z tego zakresu (np. kultu niedźwiedzia, szamanizmu, antropologii fizycznej folkloru) i stosował nowatorką jak na owe czasy zasadę uznającą fotografię za skrótowy tekst kultury uzupełniający studia terenowe. Posługiwał się też fonografem utrwalając na woskowych walcach pieśni, modlitwy i legendy Ajnów. I tu pojawia się zako-

piańska historia tych fonograficznych nagrań, które B. Piłsudski przywiózł ze sobą gdy zamieszkał w Zakopanem. Pozostawił je tam gdy wyjechał po wybuchu pierwszej wojny światowej. Już ze Szwajcarii pisał do Juliusza Zborowskiego swego zakopiańskiego przewodnika po ludoznawstwie Podhala by ten zaopiekował się wałkami nie wskazując mu jednak miejsca gdzie je pozostawił. Szukano więc ich w domu Korniłłowiczów na Bystrem gdzie przemieszkiwał. Niestety na próżno! Przypadek sprawił, że jednak właśnie tam się odnalazły. Podczas remontu dachu tej willi w roku 1930, Tadeusz Korniłłowicz odnalazł skrzynkę z tymi wałkami. Przekazano je do Instytutu Wschodniego w Warszawie, potem były w Krakowie i na Uniwersytecie w Poznaniu. Tam je odnaleziono po wojnie, czyniąc próby odczytania zapisów, które niestety nie powiodły się. Potem to w latach osiemdziesiątych XX wieku przewieziono je do Japonii gdzie na Uniwersytecie Hokkaido w Sapporo przy zastosowaniu najnowszej laserowej techniki odczytu dźwięku „wałki przemówiły”. Ich treść zawierająca folklor ajnoski jest sukcesywnie opracowywana i przygotowywana do publikacji.

Sledząc z perspektywy lat minionych jakże powikłane życie B. Piłsudskiego stwierdzić trzeba, że w tym zesłańczym nieszczęściu los dał mu jednak siłę i talent. Pierwsze pozwalało mu iść na spotkanie tego katorżniczego życia, talent zaś i wychowanie jakie wyniósł z rodzinnego domu nakazywały mu dzielić się z innymi ludźmi, tym co miał w sobie najlepszego. I ten krąg wartości w zasadzie prowadził go przez całe życie. Takiego wspominali go Niwchowicze z Sachalinu, a gdy wyjechał z ich osad do Władywostoku ułożyli pieśni jemu poświęcone. Zakładał elementarne szkoły dla dzieci tubylczych, walczył o prawa autochtonicznej ludności i zdecydowanie przeciwstawiał się kolonistom rosyjskim rugującym ją z odwiecznych siedzib rodowych oraz walczył z pijaństwem i grubiaństwem w życiu codziennym. Ta postawa i wypełniające ją działania czynią z niego postać zaliczaną do osób szczególnych na katorżniczej wyspie reprezentującej krąg wartości w którym dopełniały się wspomniane już siła i talent. Powiedzieć trzeba więcej, nie tylko te przymioty charakteru, które trudno rozdzielić w jego życiu, ale również sposób włączenia ich w codzienny krąg wyznawanych wartości charakteryzują jego relacje z tubylcami wyspy, których kulturę poznawał i badał.

Zapoznając się z jego dorobkiem w tej dziedzinie zauważyć można, że sprawy te przejawiały się w każdym jego kontakcie z autochtoniczną ludnością. W jednym z artykułów napisał, iż pociągało go obcowanie z tubylcami, gdyż „było to jedyne na całej wyspie środowisko moralnie nie zepsute [...]. Zbliżyłem się więc do tych ludzi wymierających i krzywdzonych, leczyłem ich, szczepiłem ospę, uczyłem czytać i pisać, byłem ich tłumaczem i orędownikiem wobec władzy. Uznanie ich pozyskałem całkowite i zostałem przyjęty na członka jednego rodu.” To pozwoliło mu na głębsze poznanie tajników tubylczej kultury, więzi rodzinnych i

krewniaczych, obrzędowości, lecznictwa i szamanizmu, tego specyficznego fenomenu tamtejszej kultury. Dodajmy zaraz, że mieszkający na Sachalinie Niwchowowie nadali mu przydomek „Akan”, co oznaczało tyle co „starszy brat” i włączało go w krąg tej społeczności.

Pochłonięty poznawaniem autochtonicznej kultury nawiązał liczne kontakty z tubylczą ludnością. Z plemienia Ajnów wywodziła się jego żona, z którą miał dwoje dzieci – syna Sukezo (1903) i córkę Kiyo, (1905) która urodziła się już po opuszczeniu przez niego Sachalinu. Wspomnieć trzeba, że planując nielegalnie opuszczenie Sachalinu B. Piłsudski przybył do wsi Ai by zabrać brzemienną żonę i syna. Krewni żony odmówili jednak zgody na tę podróż. Matką dzieci była siostrzenica naczelnika wsi Ai. Mieszkali tam ze swymi rodzinami do okresu drugiej wojny światowej. W wyniku działań na Dalekim Wschodzie Związek Radziecki przejął południową część Sachalinu, a mieszkających tam Japończyków i Ajnów przesiedlił do Japonii. Tak więc potomkowie B. Piłsudskiego mieszkają do dzisiaj w tym kraju. Jego wnuk Kazujasu Kimura po dwakroć był już w Polsce. Pierwszy raz w roku 1999 uczestnicząc w międzynarodowej konferencji poświęconej B. Piłsudskiemu obradującej w Krakowie i Zakopanem. Przybył na nią dzięki staraniom prof. Koichi Inoue z Japonii, z którym odwiedził wówczas grób swego dziadka na cmentarzu Montmorency w Paryżu. We wspomnianej konferencji uczestniczyła też rodzina Marszałka J. Piłsudskiego i to właśnie tam doszło do spotkania obu gałęzi rodu Piłsudskich.. Było wzruszająco i uroczyste, łącznie z odwiedzeniem krypty grobowej Marszałka J. Piłsudskiego w Katedrze Wawelskiej. Potem Kazujasu Kimura był w Warszawie gdzie gościła go Jadwiga Piłsudska-Jaraczewska, córka Marszałka, i rzec można, że było to duże rodzinne spotkanie Piłsudskich. Będąc w Krakowie, Zakopanem, w Wilnie i Zułowie wnuk Bronisława odwiedził miejsca związane z życiem dziadka, co ukazuje japoński film telewizyjny noszący tytuł „Więzy krwi, które przetrwały sto lat.”, w którym jest też fragment dokumentujący członków dalszej rodziny Marszałka rewizytujących Kazujasu Kimurę w Jokohamie. Ale to już temat do większej rodzinnej sagi. Pamiętam też, że w roku 1971 gdy przebywałem w Japonii odwiedziłem jedną z miejscowości na wyspie Hokkaido, w której mieszkali Ajnowie. Tam mówiono mi o ajnoskiej rodzinie Bronisława, a i o nim wspomniano pamiętając, że pisał o ich zwyczajach i obrzędach. Odnalezienie tej rodziny zawdzięczamy uczonemu japońskiemu prof. Koichi Inoue, który z mozółem zgłębia wszystko co łączy się z życiem rodzinnym i naukowym naszego rodaka, którego zesłańczy los rzucił na Sachalin, a potem uczynił zeń etnografa. Niestety przez lata zapomnianego, którego podobnie jak i jego brata Marszałka J. Piłsudskiego dobieła cenzorska anatema czasów PRL-u.

B. Piłsudski rozstał się ze swoją ajnoską rodziną w 1905 roku gdy nielegalnie opuścił Sachalin i udał się do Japonii, a potem do Europy. Od

tego momentu nigdy już jej nie zobaczył. Z zesłania przybył przez Stany Zjednoczone do Francji i stamtąd jesienią w 1906 roku do Krakowa, gdzie wówczas mieszkał jego brat Józef. Przez pewien czas przebywał też w Zakopanem zajmując się etnografią i folklorem górali podhalańskich, działalnością organizacyjną na niwie ludoznawstwa i edytorską. Z tego okresu datują się jego kontakty ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem, słynnym „Witkacym” oraz Bronisławem Malinowskim, wybitnym polskim etnologiem badającym kultury ludów Oceanii, twórcą tzw. funkcjonalizmu w antropologii kulturowej. Pobyt B. Piłsudskiego w stolicy Podhala, tych „Polskich Atenach”, gdzie stale mieszkało lub czasowo przybywało wielu ludzi nauki i kultury to temat o bogatym zapleczu bibliograficznym. Budzi on zainteresowanie etnografów, historyków i pisarzy. Z tego okresu wiążą się jego kontakty z wieloma z nich, przede wszystkim zaś z Mistrzem Stanisławem Witkiewiczem, jednym z najlepszych znawców regionu i twórcy tzw. stylu zakopiańskiego w architekturze. Ten etap zakopiańskiego życia B. Piłsudskiego obejmuje z przerwami lata 1906-1914. Powołał on wówczas (1911) do życia Sekcję Ludoznawczą Towarzystwa Tatrzańskiego, zajmował się folklorem podhalańskim, zgromadził wiele przedmiotów codziennego użytku obrazujących życie górali oraz typowe dla tego regionu malarstwo ludowe na szkle przedstawiające najczęściej wizerunki świętych. Ekspozyty te znajdują się do dzisiaj w zbiorach Muzeum Tatrzańskiego im. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Ta forma jego kolekcjonerskiej działalności uczulała miejscowe środowisko na historyczne aspekty kultury podhalańskiej i konieczność jej opisu i dokumentacji. Założył także czasopismo „Rocznik Podhalański”, który ze zmiennymi planami edytorskimi wychodzi na szczęście do dzisiaj, odnoszę jednak wrażenie, że z małymi staraniami wydawcy o systematyczność jego ukazywania się. Warto także wspomnieć o tym, że na jego pobyt w Zakopanem, Krakowie i Lwowie przypada aktywna merytoryczna i organizacyjna działalność związana z muzealnictwem etnograficznym i śmiało można uznać go za prekursora tych działań na gruncie polskim. Tu próbował też ułożyć sobie życie z Marią Baniewicz koleżanką z lat szkolnych, która przybyła do niego z Petersburga. Jest to już jednak inny wątek jego osobistego życia z wybojami i zakrętami znanymi tylko dla nielicznych biografistów. Toteż myślę, że i o tym warto kiedyś będzie napisać, ukazując ten drugi wątek zdruzgotanego świata Bronisława, niestety unicestwionego przez los, bo śmiercią Maryni, jak nazywał ją w zachowanych na szczęście listach.

W celach naukowych i prywatnych wyjeżdżał B. Piłsudski z Krakowa do Anglii, Belgii, Francji, Niemiec, Szwajcarii, odwiedził Pragę i Wiedeń. Zamierzał też ukończyć w Szwajcarii studia etnograficzne by później podjąć pracę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z planów tych musiał jednak zrezygnować ze względu na trudności finansowe jakie go ciągle trapiły. Nie miał stałego zatrudnienia, a gdy uzyskał je będąc sekreta-

rzem Sekcji Etnograficznej Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie wkrótce wybuchła wojna i opuścił on Galicję. W jednym z listów pisanych do Juliana Talko-Hryncewicza, wówczas profesora antropologii na Uniwersytecie Jagiellońskim pisał, iż nie może mieć urzędowego statusu uczonego akademickiego bowiem nie posiada wyższego wykształcenia, żaląc się iż „formuły są ważniejsze od istoty rzeczy. Dla uczącego się jestem za stary, dla uczonego brak mi stopni naukowych. A jednak jestem jednym i drugim obecnie. Czuję się Polakiem, za granicą jestem nawet podziwianym Polakiem, a dla swoich jestem zupełnie niepotrzebną rzeczą, najwyżej żebrakiem, który kęs chleba może wyprosić.” Mimo tej gorzkiej prawdy, bo istotnie nie wiodło mu się w kraju najlepiej, a także zagranicą gdy wyjechał do Szwajcarii po wybuchu pierwszej wojny światowej opublikował wówczas parę artykułów związanych z tematyką etnograficzną dotyczącą Ajnów i Niwchów, pasterstwa na Podhalu, krzyży i kapliczek na Litwie oraz muzealnictwa etnograficznego.

Trwają obecnie prace nad scalaniem tego sachalińskiego i europejskiego dorobku przynoszące już widoczne rezultaty. Współpracują w tym zakresie badacze z Japonii, Rosji i Polski, tworząc solidny fundament do naukowych rozważań dotyczących jego wkładu w badania autochtonicznych etnosów Sachalinu, Pomorza Amurskiego i Ajnów z wyspy Hokkaido. W rezultacie tego trudu ukazały się już w anglojęzycznej wersji trzy tomy (na zaplanowanych 10) jego *Dzieł Zebranych (The Collected Works of Bronisław Piłsudski)* wydawanych przez prestiżową oficynę amerykańsko-niemiecką Mouton de Gruyter w Berlinie. Ich edycja, którą kieruje polski językoznawca Alfred Majewicz, stanowić będzie podstawę do podjęcia rozważań i wniosków o charakterze teoretycznym i metodologicznym dotyczącym badań terenowych prowadzonych przez B. Piłsudskiego obejmujących wiele zagadnień kultury autochtonicznych etnosów wyspy Sachalin oraz jej dokumentacji z zastosowaniem fonogramu i fotografii pojmowanej przez niego jako istotny element tekstu kultury. Już dzisiaj stwierdzić trzeba, że badania te poszerzyły znacznie pole widzenia na kulturę Ajnów i Niwchów, a w niektórych przypadkach są jedynymi udokumentowanymi jej rodzajami. Czas niewoli nie odgradził go jednak od żywych źródeł myśli i naukowego niepokoju, z których wyrosły jego osiągnięcia w dziedzinie poznania kultury ludów, wśród których wypadło mu żyć przez długie lata.

W Južno-Sachalińsku jest instytut naukowy jego imienia (Instytut Naukowego Dziedzictwa Bronisława Piłsudskiego) na dziedzińcu którego wzniesiono mu pomnik w roku 1991. Na Sachalinie jest też Góra Piłsudskiego. W Japonii ukazuje się specjalne pismo „Piłsudskiana de Sapporo”. Odbyły się trzy międzynarodowe konferencje jemu poświęcone (Sapporo 1985; Južno-Sachalińsk – 1991; Kraków-Zakopane 1999) oraz sympozja krajowe – Kraków, Poznań, Warszawa, Wrocław, Zakopane).

W roku 1998 w ukazała się dedykowana mu książka pod nazwą *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego, przygotowana przez Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego, której tłumaczenie na język rosyjski ukazało się w roku 2001 w Moskwie. Dodajmy, że była to pierwsza w Rosji książka dotycząca związków polsko-syberyjskich omawiająca także polskie dziedzictwo naukowe i cywilizacyjne za Uralem. Ponadto w roku 1999 (nr 4-5) ukazał się monotematyczny zeszyt dwumiesięcznika literacko-naukowego „Literatura Ludowa” jemu poświęcony. W rok później na pamiątkę sympozjum pod nazwą „Bronisław Piłsudski (1866-1918. Człowiek – Uczony – Patriotą”, zorganizowanego w dniach 20-21 października 2000 roku w Zakopanem i połączonego z poświęceniem jego symbolicznej mogiły na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku, nakładem Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego ukazała się praca zbiorowa pt. *Zesłaniec – Etnograf – Polityk. Bronisław Piłsudski*, pod red. nauk. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2000. Mam też nadzieję, że i Muzeum Tatrzańskie im. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem zdobędzie się na to by w jego gmachu zawisła tablica memoratywna czcząca pamięć B. Piłsudskiego. Zasłużył sobie na to, i przypomnijmy tu, że gdy trwały zakopiańskie spory o ostateczny projekt tego budynku on pozostawał w bieżących kontaktach z przebywającym wówczas w Lovranie Stanisławem Witkiewiczem informując go o przebiegu przygotowań do budowy i architektonicznych założeniach tej placówki.

Jak więc widzimy zakres różnych form zachowania pamięci o nim jest dość szeroki. Dodajmy tu jeszcze, że „Poczta Polska” wydała znaczek z jego wizerunkiem oraz okolicznościową kopertą ze stemplem pierwszego dnia obiegu, co w filatelistycznej praktyce ma charakter szczególny. W siedzibie Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie odsłonięto w roku 2003 tablicę jemu poświęconą. W zbiorach tej wielce zasłużonej dla polskiej nauki i kultury placówki znajduje się wiele jego rękopisów, fotografii i dokumentów dotyczących spraw naukowych oraz trudnych życiowych losów tego wiecznego tułacza. Wprowadzone ostatnio do obiegu monety z jego wizerunkiem są także wyrazem hołdu za jego etnograficzny trud i zarazem spłatą długu za wieloletnie zapomnienie. Gdy rozpoczęła się pierwsza wojna światowa opuścił B. Piłsudski Kraków i Zakopane. Udał się początkowo do Wiednia, potem do Szwajcarii, w której przebywał do 1917 roku, skąd przeniósł się do Paryża, gdzie pracował Komitecie Narodowym Polskim. Tam w dniu 17 maja 1918 roku oddał swe ciało nurtom Sekwany rzucając się weń z przęsła jednego z mostów. Pochowano go na Cmentarzu Montmorency, tam do dzisiaj jest jego mogiła. To właśnie z niej pobrano ziemię i przywieziono do Zakopanego gdzie na Pęksowym Brzyzku w cieniu krzyża na Giewoncie wzniesiono

mu symboliczną mogiłę, tuż przy grobie Mistrza Stanisława Witkiewicza, „Kochanego Wujaszka” jak zwykł go nazywać w swych listach.¹³

*

Na przykładzie bogactwa tych myśli, ustaleń i sądów wartościujących współczesny ruch sybiracki w Polsce, należy zaznaczyć, że jego idee nawiązują do tradycji Związku okresu międzywojennego. Nie zostały one zdradzone, ale ubogacone z biegiem lat. Nie osłabiła ich nawet chwilowa dążność do destrukcji jedności Związku, która miała miejsce w niektórych ośrodkach krajowych tej organizacji (np. Wrocław, Szczecin). Nie spowodowało to jednak osłabienia Związku mimo czasowej lokalnej schizmy. Można nawet zaryzykować tezę, że proces ten wzmocnił jedność organizacji, w łonie której szanowana jest autonomia jej lokalnych struktur. Na gruncie tam sformułowanej jedności celów, będących emanacją wspólnoty syberyjskich losów, Związek daje świadectwo o ich prawdzie, wspomaga swoich członków socjalnie, walczy o ich uprawnienia kombatanckie, krzewi ideę etosu sybirackiego, dba o dokumentację polskich losów za Uralem, a poprzez swoje wydawnictwa ukazuje prawdę o tamtych doświadczeniach, stojąc na stanowisku, że fragmentem porządku moralnego jest prawda, w tym przypadku prawda historyczna. Ważnym dokumentem upowszechniającym tę prawdę byłby film fabularny ukazujący wielowątkowe kwestie związane z życiem Polaków na zesłaniu wśród obcych im prostych ludzi, życzliwych i wspomagających ich w tym „domu niewoli”.

W ciągu 20-letniej działalności Związku Sybiraków wiele zamierzeń mających na celu utrwalenie w narodowej pamięci polskich losów na Syberii zostało spełnionych. Jest w tej chwili (2008 rok) 362 tablic umieszczonych w kościołach i innych miejscach ważnych dla narodowej tradycji, 278 ulic i placów nosi miano „Sybiraków”. Jest pięć ołtarzy i sześć witraży o tematyce syberyjskiej ulokowanych w kościołach, są sanktuaria i kaplice czczące pamięć syberyjskich losów Polaków.¹⁴ Coraz częściej też spotkać można na naszych nekropoliach groby z napisami epitafijnymi: Sybirak, więzień Kołymy, zesłaniec na Syberię itp. Nie często wprawdzie, ale bywa i tak, że w łonie Związku powstawały przedsięwzięcia związane z upamiętnieniem zesłańców Polaków poprzez wznoszenie na Syberii

¹³ (Mbk), *Monety czczące pamięć Bronisława Piłsudskiego*, „Przegląd Uniwersytecki.” Pismo informacyjne Uniwersytetu Wrocławskiego, 2008, nr 10, s.17; A. Kuczyński, *Bronisław Piłsudski na monetach Narodowego Banku Polskiego*, „Zesłaniec”, 2009, nr 38, s. 100-105; tenże, *By pamięć trwała. Monety z wizerunkiem Bronisława Piłsudskiego (1866-1918) „nasza Rota”*. Kwartalnik dla środowisk polskich i polonijnych w świecie, 2008, nr 4, s. 36-41.

¹⁴ E. Duchnowski, *Posiedzenie Zarządu Głównego Związku Sybiraków z okazji 80-lecia jego utworzenia (1928) oraz 20-lecia reaktywowania w roku 1988*, „Zesłaniec”, 2008, nr 37, s. 7.

krzyży, pomników lub tablic pamiątkowych, będące jakoby funkcją pamięci o tamtych złych czasach.

Tak więc pamięć trwa wzbogacana przez literaturę wspomnieniową, monografie historyczne i zbiory dokumentów. Wartości rocznic jubileuszowych nie mierzy się tylko walorami uroczystych obchodów. Dostarczają one bowiem bogatego materiału do własnych przemyśleń i refleksji. Ten nurt rozważań absorbuje każdego z członków Związku Sybiraków. Warto dodać, że mimo wielu tragedii i upokorzeń tam na syberyjskiej ziemi nie wynieśli oni z niej nienawiści do narodu rosyjskiego, do Jakutów, Kazachów, Kirgizów czy Buriatów, wśród których wypadło im żyć. Często we wspomnieniowych relacjach przywołują oni życzliwy stosunek tamtejszej ludności do nich, podkreślając iż to nieraz dzięki niej przeżyli oni trudny okres zesłania. Te wspomnieniowe refleksje wielu sybiraków z czasów masowych zsyłek z lat 40-tych XX stulecia przypominają wyznanie M. Sabatowicza, który na łamach przedwojennego „Sybiraka” napisał:

My Sybiracy, choć Rosja i Sybir były dla nas synonimem katorgi, choć straciliśmy tam najlepsze, najpiękniejsze w życiu lata nie wynieśliśmy z tej ziemi wygnania uczucia nienawiści do tamtejszej ludności – przeciwnie – szczerą sympatię.¹⁵

¹⁵ M. Sabatowicz, *Znaczenie wychowawcze tradycji sybirackiej*, „Sybirak”, 1934, nr 2, s. 3.

Jakże wymownie słowa te nawiązują do jednego z podstawowych poglądów współczesnego Związku Sybiraków i jego członków, stojących na gruncie idei: „**Umarłym pamięć, żyjącym pojednanie**”. Idea ta podnosi tradycję syberyjskiego zesłania wielotysięcznych rzesz Polaków do rangi wyrzeczenia się nienawiści na rzecz dobra ogólnego. Dzisiaj zesłańczego Sybiru nikt nie każe nam nienawidzić, ani też go kochać! Musimy jednak o nim pamiętać! Jest to więc Sybir bez przekleństw, gdzie jeszcze do dzisiaj w wielu jego regionach mieszka polska diaspora sięgająca swoimi korzeniami powstania styczniowego, rewolucji 1905 roku, do dobrowolnej emigracji na tę ziemię pod koniec XIX i w początkach XX wieku, wreszcie do tragicznych prześladowań stalinowskich lat terroru (lata 30-te XX wieku), a także do zesłań i deportacji z okresu drugiej wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu. W łonie Związku Sybiraków przewija się wspomaganie tej diaspory w różnych formach pamięci i odradzania się tam polskości.

W roku 2002 Zarząd Główny Związku Sybiraków ufundował sztandar dla Kongresu Polaków w Federacji Rosyjskiej, a w połączeniu z innymi organizacjami krajowymi np. z Fundacją Pomoc Polakom na Wschodzie doprowadził do edycji książki pt. *Sybir w historii i kulturze polskiego naroda*, pod red. A. Kuczyńskiego i P. Romanowa, Moskwa 2002. Związek wspiera też organizacje polonijne za Uralem w ich działaniach na rzecz dokumentowania polskich dziejów na tej ziemi. Do organizacji tych dociera kwartalnik „Zesłaniec”, który bez indoktrynalnych uprzedzeń pisze o polskiej martyrologii na Sybirze, ale także o wielkim wkładzie Polaków w dzieje zagospodarowywania tej krainy, jej cywilizowania i naukowego poznania. Z inicjatywy goszczących w Tomsku przedstawicieli Związku Sybiraków (A. Kuczyński, J. Przewłocki) przy wielkim zaangażowaniu lidera miejscowej Polonii Wasylego Chaniewicza wzniesiono tam w roku 2004 w obelisk poświęcony „Pamięci Polaków ofiar stalinowskich represji na ziemi tomskiej w latach 1930-1956”. Dzisiejsza polska diaspora w Tomsku ma świadomość swoich korzeni łączących ją z Macierzą, i to właśnie do niej w roku 400-lecia Tomska (2004) prezes Związku Sybiraków Ryszard Reiff napisał:

Miasto Tomsk, jego okolice i cała ziemia syberyjska była przez stulecia miejscem dokąd zsyłano Polaków za walkę o niepodległość przeciw tyranii i despotyzmowi. Nie ulegli oni niszczącym skutkom niewoli. Pracowali w ciężkich warunkach, wykorzystując swoje kwalifikacje, współkształtując kraj i społeczeństwo, w którym przyszło im żyć. Pozostawili trwałe ślady w historii, nauce i kulturze tej ziemi, których ślady pozostały do naszych czasów. Ich potomkowie zaludniają Syberię do dziś. Mimo represji stalinowskich pamiętają, skąd się wywodzą, gdzie są ich korzenie.

[...] Zwracam się więc do Was Panie i Panowie, Szanowni Rodacy, mieszkańcy Tomska – nie zapominajcie, skąd przybyli Wasi przodkowie, kultywujcie ich tradycje i obyczaje polskie. Bądźcie równocześnie lojalnymi obywatelami Rosji, która zmierza ku demokracji i w ten sposób staje się przyjazna dla demo-

kratycznej i niepodległej Polski. Niechaj więc nasze kultury przenikają się nawzajem, wzbogacając oba Narody.”¹⁶

Powyższa prezentacja wielorakich działań występujących w dziejach Związku Sybiraków na przestrzeni wielu lat jego istnienia wskazuje na wielorakie związki społeczno-polityczne w łonie tej organizacji. Wątków tych jest o wiele więcej, które czekają na rozwinięcie. Nie należy więc rezygnować z dalszych prób interdyscyplinarnego podejścia do omawianej problematyki. W ogóle trzeba by rzec, że w sferze tej wciąż są widoczne i odczuwalne braki w historii Związku Sybiraków okresu międzywojnia. Jakiegokolwiek więc udzielilibyśmy odpowiedzi na dalsze zapotrzebowania w tym zakresie, zawsze to co uczyniono dotychczas w sferze tzw. znaków pamięci staje się także niejako funkcją działalności Związku Sybiraków. Niech więc nadal trwa ta przestrzeń myślowa, wszakże nasza noblistka Wisława Szymborska napisała kiedyś, że **„Umarłych pamięć dotąd trwa, póki pamięcią im się płaci.”**

¹⁶ List w zbiorach Biura Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

EWA JACKOWSKA

DEPORTACJA NA SYBIR – WSPARCIE SPOŁECZNE JAKO MODERATOR STRESU¹

W łagodzeniu psychicznych następstw stresu największe znaczenie przypisuje się szczególnej formie wsparcia społecznego tzw. *wsparcia społeczno-emocjonalnemu*, czyli „środkom jakich dostarczają nam inni, komunikując nam, że jesteśmy kochani, otoczeni opieką, szanowani i powiązani z innymi ludźmi siecią porozumienia i wzajemnych zobowiązań”.² Ten rodzaj nieformalnego wsparcia społecznego jest najbardziej interesujący dla psychologa, gdyż zakłada bezpośredniość interakcji oraz funkcjonowanie więzi między osobą wspierającą a wspieraną, najczęściej wynikających z przynależności do tej samej wspólnoty lub społeczności. Należy jednak dopowiedzieć, że na terenie ZSRS istniały struktury formalne, które w pewnym zakresie wspomagały zesłańców. Po tzw. amnestii, przez krótki okres czasu, Sybiracy otrzymywali pomoc materialną i informacyjną ze strony delegatur ambasady polskiej działających przez mężów zaufania, a po roku 1943 pewne formy pomocy materialnej i prawnej np. w organizowaniu w akcji repatriacyjnej przejął dyspozycyjny wobec totalitarnego systemu sowieckiego Związek Patriotów Polskich. W niniejszym artykule wątki dotyczące wsparcia instytucjonalnego udzielanego przez wymienione placówki zostały pominięte, a treść artykułu ogranicza się do przedstawienia wsparcia emocjonalno-społecznego otrzymywanego od osób z najbliższego otoczenia – rodziny, ludności miejscowej i współzesłańców.

¹ Artykuł został napisany na podstawie pracy: E. Jackowska, *Psychiczne następstwa deportacji w głąb ZSRR w czasie II wojny światowej. Przyczyny, moderatory, uwarunkowania*, Szczecin 2004.

² P. G. Zimbardo, *Psychologia i życie*, Warszawa 1999, s. 502.

W poprzednim artykule przedstawiającym wyniki psychologicznych badań nad osobami deportowanymi w głąb ZSRR w latach 1940/1941 opisałam zasoby osobiste Sybiraków aktualizowane w warunkach syberyjskiej zsyłki.³ W rozważaniach terminologicznych zasoby osobiste zostały określone jako *wewnętrzne źródła podtrzymania* i przeciwstawione *zewnętrznym źródłom podtrzymania* odnoszącym się do formalnej i nieformalnej sieci struktur społecznych pełniących funkcje wspierające. Celem niniejszego artykułu jest skupienie uwagi Czytelnika na zewnętrznych źródłach podtrzymania, zwanych też *wsparciem społecznym*, odgrywającym zasadniczą rolę w walce o przeżycie.

Nawiązując do podstaw metodologicznych omawianych badań zaznaczę, że w związku z upływem czasu, który minął od wywózek, realizowana przeze mnie w ostatnim dziesięcioleciu praca badawcza nad psychologiczną problematyką deportacji obejmowała tylko te osoby, które były wywiezione w wieku rozwojowym, a więc okrucieństwa deportacji odczuwały wrażliwością dzieci lub adolescentów. Udział w badaniach zaproponowano osobom urodzonym w latach 1928-1934. Przeciętna wieku w momencie deportacji wynosiła 9,3 lat.

Dodam że materiał empiryczny został zebrany techniką ustrukturalizowanego wywiadu przeprowadzonego w 100-osobowej populacji Sybiraków (68 kobiet i 32 mężczyzn) zamieszkujących przed II wojną światową Kresy Wschodnie, wywiezionych w lutym 1940 roku (59 osób), kwietniu 1940 roku (27 osób), czerwcu 1940 (4 osoby) i różnych miesiącach 1941 roku (10 osób).

1. Wychowawcze funkcjonowanie rodzin przed deportacją

1.1. Struktura deportowanych rodzin – fundament wsparcia emocjonalnego

Poznanie losów kolejnych osób z badanej grupy Sybiraków potwierdziło przypuszczenie, że rodziny, w których wychowywali się badani do momentu wywózki, zaszczerpiły w nich siłę do przetrwania i załóżki umiejętności radzenia sobie z trudnościami, z którymi przyszło im się zmierzyć. Uzasadnione jest zatem, aby przed omówieniem wspierających starań członków rodziny w latach deportacji, scharakteryzować wybrane aspekty funkcjonowania rodzin przed deportacją, istotne z punktu widzenia tematyki badań.

Podstawowym atrybutem rodzin, które zostały deportowane był wysoki wskaźnik spójności (pełności). W zdecydowanej większości (93%) badani wychowywali się w rodzinach pełnych, w których powszechna była stała obecność matki i codzienny kontakt z ojcem. W rodzinach niepełnych lub zrekonstruowanych wychowywało się tylko 7 badanych. W sześciu przypadkach niepełność rodziny spowodowana była śmiercią jednego z rodziców (przed deportacją zmarły 3 matki i 3 ojców), a w jednym

³ E. Jackowska, *Deportacja na Sybir – źródła podtrzymania*, „Zesłaniec” 2008, nr 36, s. 49-70.

– od momentu narodzin matka samotnie wychowywała córkę, ale w opiece i utrzymaniu dziecka wspomagali ją rodzice i starsze siostry. Również w zdecydowanej większości badani mieli rodzeństwo, z którym wzrastali (94 osoby). Dodać trzeba, że w badanej populacji, przeważały rodziny z co najmniej trojgiem dzieci (67%). Według opinii 80% badanych rodzice żyli zgodnie, w 9% – zapamiętali, że „były okresy dobrych stosunków między rodzicami i okresy nieporozumień”, a w 4 przypadkach ocenili relacje między rodzicami jako konfliktowe.

Podsumowując zestawienie należy uznać, że struktura rodzin macierzystych badanych osób w zdecydowanej większości przypadków stanowiła niezwykle istotny czynnik ich prawidłowej socjalizacji, zaspokojenia potrzeby bezpieczeństwa, a przez to formowania się zrębów osobowości odpornej na stres. Słuchając wypowiedzi badanych odnoszących się do okresu sprzed wywózki, można wysnuć wniosek, że w ogromnej większości wzrastali w bezpiecznym środowisku rodzinnym, w którym ewentualny deficyt miłości i troski rodziców był rekompensowany przez kontakty z rodzeństwem i starszym pokoleniem krewnych (babcie i dziadków).

Z punktu widzenia licznych, prowadzonych w różnych dekadach XX wieku, a także obecnie badań, stała obecność ojca i matki we wczesnych latach życia dziecka jest nie do przecenienia jako czynnik prawidłowej socjalizacji. W zdrowej rodzinie rola ojcowska i macierzyńska uzupełniają się dostarczając dziecku bogatych i zróżnicowanych bodźców stymulujących rozwój emocjonalno-społeczny. Obserwacja zachowania się matki i ojca jest dla dziecka najważniejszym wzorcem do naśladowania i identyfikacji. Stanowi fundamentalny czynnik budowania wiedzy na temat zachowania się, a szerzej, roli społecznej kobiety i mężczyzny.⁴ Czynnikiem sprzyjającym socjalizacji jest też obecność rodzeństwa. Z badań psychologicznych wiadomo, że dzieci wyrastające w rodzinach zgodnych, wielodzietnych w porównaniu z jedynakami szybciej osiągają dojrzałość społeczną, lepiej przystosowują się do życia w grupie, są mniej zależne od rodziców, bardziej wdrożone do wypełniania obowiązków, łatwiej godzą się z tym, że nie są w centrum zainteresowania członków rodziny.⁵

1.2. Postawy wychowawcze

Nie rozwijając tematu zaznaczę, że współcześni psychologowie rozwojowo-wychowawczy wycofują się ze stwierdzeń, że ideałem wychowania jest wyłącznie okazywanie dziecku miłości i akceptacji (z pozostawianiem mu swobody wyborów), a w ogólnie uznawanych w środo-

⁴ E. Jackowska, *Środowisko rodzinne a przystosowanie społeczne dziecka w młodszym wieku szkolnym*, Warszawa 1980; E. Jackowska, *Psychiczne następstwa nieobecności ojca w wieku rozwojowym*, „Rodowód II”, nr 11, lipiec-wrzesień 2007, s. 4-7; M. Przetacznik-Gierowska, G. Makiełło-Jarża, *Psychologia rozwojowa i wychowawcza wieku dziecięcego*, Warszawa 1992.

⁵ E. Jackowska, *Środowisko...* op. cit.; J. Rembowski, *Więzi uczuciowe w rodzinie. Studium psychologiczne*, Warszawa 1972.

wiskach naukowych opracowaniach, przytaczane są reprezentatywne wyniki badań przeprowadzone w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku (m.in. w Stanach Zjednoczonych) na licznych wieloetnicznych grupach dzieci i adolescentów,⁶ z których wynika, że warunkami kompetentnego, adekwatnego do sytuacji zachowania się dziecka są, oprócz okazywania mu miłości i akceptacji, również wyraźne *zakreślone granice oraz wymagania* dojrzałego zachowania. Oparty na tych filarach efektywny styl wychowania rodzicielskiego został nazwany autorytatywnym (rodzice stanowią dla dziecka autorytet, są restryktywni, żądają poszanowania reguł, ale wyjaśniają dzieciom czego od nich żądają, a co najważniejsze – traktują je z miłością) i przeciwstawiony dwóm stylom nie dającym tak dobrych rezultatów wychowawczych – stylowi autorytarnemu (wymagania pod groźbą represji) oraz permissywnemu (niskie wymagania, pozostawienie dziecku swobody działania). Z referowanych w niniejszym artykule badań wynika, że w deportowanych rodzinach dominującym był styl autorytatywny lub styl zbliżony do autorytatywnego. Zarówno postawy wychowawcze ojców jak i matek znacznej większości badanych osób zostały ocenione jako korzystne dla rozwoju osobowości. Ich wyróżnikiem było poczucie silnego związku emocjonalnego z rodzicami z poszanowaniem wymagań, które badanym stawiali. W wywiadach sporadycznie pojawiały się wypowiedzi wskazujące na postawę odrzucenia emocjonalnego dziecka przez rodziców lub inne nieprawidłowości stylu wychowawczego.⁷

Ważne też było, że system rodzinny, w którym wzrastali badani wolny był od zjawisk, obserwowanych dosyć powszechnie współcześnie, w postaci indyferentyzmu lub autonomizacji w odniesieniu do spraw narodu, religii i społeczności lokalnej. Kształtowany przez rodziców, a szerzej, wychowanie rodzinne, system wartości w większym stopniu nastawiony był na wartości allocentryczne niż egocentryczne.

Rodzina przekazywała dzieciom wartości patriotyczne, wiarę w Boga, szacunek dla Dekalogu i tradycji. Uczyła szacunku dla obowiązków obywatelskich, uczestnictwa w obchodach uroczystości świąt państwowych, zaangażowania w akcje na rzecz społeczności lokalnej. Rodziny zamieszkujące blisko siebie łączyły silne więzi społeczne. Ożywione były kontakty między sąsiadami. Wymienione wartości i styl życia polskich rodzin żyjących na Kresach Wschodnich, w pewnych możliwych do realizacji ramach, ujawniał się również w latach deportacji i miał wpływ na przebieg procesu socjalizacji badanych nie tylko przed zesłaniem, ale również w latach jego trwania.

⁶ A. Rathus, *Psychologia współczesna*. Gdańsk, 2004, s. 171-172; H. Bee, *Psychologia rozwoju człowieka*. Poznań, 2004, s. 374.

⁷ Szczegółowy opis postaw wychowawczych rodziców osób deportowanych, a także systemu wartości przekazywanego dzieciom przedstawiony jest w pracy: E. Jackowska, *Psychiczne następstwa...* op. cit., s. 167-174.

Podsumowując ten fragment wyników badań nasuwa się wniosek, że stała obecność obydwójga rodziców, silna więź z rodzicami, a jednocześnie okazywanie im posłuszeństwa, dostosowywanie się do wymagań, które stawiają, musiała mieć istotne znaczenia dla budowania zdrowej struktury *ego*, poczucia własnej podmiotowości i tożsamości w latach poprzedzających deportację. Ten stan rzeczy zaowocował w czasie trudnych lat zesłania.

2. Rodzice jako źródło wsparcia

W wieku rozwojowym niezastąpionym moderatorem traumatycznego stresu osłabiającym jego destruktywny wpływ na psychikę dziecka, łagodzącym objawy lęku i niepokoju jest obecność rodziców lub innych bliskich dorosłych osób. W sytuacjach zagrożenia stanowią oni naturalną bazę, dzięki której może zostać przywrócone poczucie bezpieczeństwa. 99% badanych zostało wywiezionych przynajmniej z jednym z rodziców, z tego 59% z obydwójgiem rodziców. Nie znaczy to jednak, że rodzice byli ze swoimi dziećmi przez kolejne lata deportacji. Losy rodziców układały się różnie, nieraz tragicznie. Wielu rodziców nie przeżyło deportacji (34 rodziców zmarło w czasie zsyłki) lub zostało na długi okres rozłączonych ze swymi dziećmi na skutek – długotrwałej choroby, pobytu w szpitalu, uwięzienia, służby wojskowej, pracy poza miejscem zamieszkania, itp. Zatem tylko 31 badanych wracało do Polski z obydwójgiem rodziców, 56 z jednym z rodziców, a 13 osób wracało bez rodziców (w tej podgrupie 11 Sybiraków było pełnymi sierotami).⁸

Spośród tych badanych, którzy w czasie deportacji zamieszkiwali wspólnie z matkami, ojcami lub obydwójgiem rodziców (87 udzielających wywiad) zdecydowana większość (75 Sybiraków) wskazała na nich jako osoby, dzięki którym przeżyli zesłanie. Rolę rodziców eksponują podane niżej wartości liczbowe.

Tabela 1. Osoby, którym badani zawdzięczają przetrwanie

Osoby	Liczba wskazań
Obydwoje rodziców	31
Matka	39
Ojciec	5
Rodzeństwo	22
Inni z rodziny	5
Zesłani Polacy	10
Sierociniec	2
Rosjanie	9
„Inni miejscowi”	6
„Dobrzy ludzie”	3

⁸ E. Jackowska, *Deportacje na Sybir – doświadczenie śmierci*, „Zesłaniec” nr 33, 2008, s. 3-15.

Na podstawie wyników badań stwierdzono, że 31 badanych uważa, że przeżycie zawdzięcza obydwójgu rodzicom, 39 w odpowiedzi na pytanie o osoby, dzięki którym przetrwali zesłanie – wymienia matki, a 5 – ojców. W sumie daje to liczbę 75 wskazań.

W protokołach badań zamieszczone są wypowiedzi wskazujące na bohaterstwo matek i ojców, którzy chcąc uchronić swoje dzieci przed zagładą dokonywali nieludzkich wysiłków, aby zdobyć dla nich pokarm i dach nad głową, a w wielu przypadkach oddawali im swoje przydziały żywności. Z zestawień liczbowych wynika, że w większości przypadków matki same bez wsparcia ze strony mężów przyjęły na siebie rolę żywicieli odpowiedzialnych za przetrwanie swoich dzieci, gdyż ich mężowie już nie żyli (zostali zamordowani) lub z podanych wyżej przyczyn byli oddaleni od rodziny. Aż 70 badanych wskazuje na matki jako osoby dzięki, którym udało im się przeżyć zesłanie.

Pisząc o matkach-Sybiraczkach nie sposób nie zasygnalizować wybranych aspektów problematyki więzi między matką a dzieckiem. Wiąż matka – dziecko jest zupełnie wyjątkowym, niezwykle złożonym rodzajem więzi międzyludzkiej, której jakoś stanowi matrycę dla całego rozwoju osobowości, szczególnie w wymiarze emocjonalno-społecznego funkcjonowania.⁹

Sednem więzi jest macierzyńska miłość, której istotą jest bezwarunkowa afirmacja życia dziecka, jego potrzeb oraz wynikające stąd poczucie odpowiedzialności i troska o nie. Życie dziecka stanowi dla matki najważniejszą wartość, której ochrona motywuje ją do największych wysiłków i ofiar. Postawa matki kształtuje też u dziecka nastawienie, że „dobrze jest żyć, dobrze jest być małym chłopcem czy dziewczynką, dobrze jest być na świecie”.¹⁰ Używając wypracowanego współcześnie słownictwa psychologicznego można rzec, że matka przekazuje dziecku skrypt, że „warto jest żyć”. Im silniej matka zaszczepia dziecku ten skrypt i im silniej zostaje on nasycony wiarą religijną i nadzieją poprawy warunków bytowych – tym dziecko staje się silniejsze psychicznie do podjęcia wysiłku aby przetrwać.

Opisany fenomen miłości macierzyńskiej ujawnił się w całej rozciągłości w warunkach zsyłki syberyjskiej, w trakcie której matka zaspakajala potrzeby emocjonalne dziecka, rozpraszała jego lęki, snuła z dzieckiem plany, które będą realizowane po powrocie do Polski, pełniła funkcje edukacyjne (uczyła pisać i czytać po polsku), podtrzymywała poczucie tożsamości narodowej i religijnej, a przede wszystkim była żywicielką i opiekunką.

Profesor Kazimierz Obuchowski, wybitny psycholog zesłany wraz z matką do Kazachstanu w kwietniu 1940 roku zalicza „kobiety z Kresów” do „wspaniałego gatunku kobiet polskich, czułych, twardych, za-

⁹ D. Kornas-Biela, *Oblicza macierzyństwa*. Lublin 1999; B. Kozińska, *Typy przywiązania a zdrowie psychiczne*. „Psychoterapia” 2006, nr 3, s. 5-20.

¹⁰ E. Fromm, *O sztuce miłości*. Warszawa 1984, s. 56.

radnych i mocno związanych z tradycją pokoleń zesłańców syberyjskich.”¹¹ Walka o przeżycie dzieci była dla tych kobiet „najważniejszym sensem przetrwania, obok realizacji wartości wynikających z patriotyzmu i tradycji rodzin kresowych”.¹²

Dostarczanie dzieciom pożywienia wymagało wielkiego wysiłku i wyrzeczeń. Na podstawie zebranego materiału można było skategoryzować rodzaje aktywności, których podejmowały się kobiety, aby zdobyć minimalne środki materialne. Opracowana lista obejmuje szeroki wachlarz działań: Matki zatrudniały się do ciężkich prac fizycznych w przedsiębiorstwach państwowych – kołchozach, gospodarstwach leśnych, kopalniach, szpitalach, szkołach, fabrykach, itp. Były to z reguły prace cięższe i gorzej wynagradzane niż te, przy których zatrudniana była ludność miejscowa. Przy ich wykonaniu obowiązywał akord, a narzucone normy stawiały wymóg wydłużonych godzin pracy.

- ❖ Najmowały się do różnych prac szczególnie nieprzyjemnych i ciężkich u ludności tubylczej otrzymując za to wynagrodzenie w postaci produktów spożywczych.
- ❖ Opiekowały się dziećmi miejscowych kobiet, pilnowały też ich dobytku, nosiły wodę, rąbały drewno na opał, pracowały na działkach, stanowiąc bardzo tanią siłę roboczą opłacaną najczęściej produktami rolnymi.
- ❖ Pragnąc zdobyć jedzenie dla swoich dzieci niektóre matki dopuszczały się też czynów niezgodnych z ich systemem wartości – wróżyły z kart, oszukiwały, kradły jedzenie w trakcie prac polowych lub podczas pracy w magazynach.
- ❖ Wykorzystywały też swoje umiejętności manualne wyuczone w szkole lub przekazane przez matki: wyrabiały koszyki z wikliny, maty ze słomy, szyły odzież, szydełkiem wyrabiały z nici koronki, przędły wełnę, z której robiły na drutach chusty, sweterki, szaliki, rękawiczki, itp.
- ❖ Ważną formą zdobywania produktów spożywczych była wymiana ubrań, pościeli, przedmiotów gospodarstwa domowego przywiezionych z Polski z miejscową ludnością. Na tym wymiennym handlu cenne przedmioty, pamiątki rodzinne, np. bransolety, zegarki czy obrączki wymieniane były na wiadro ziemniaków lub kilka litrów mleka.
- ❖ Zajmowały się zbieractwem jagód, grzybów i ziół. Wyprawy w głąb tajgi, trwające 2-3 dni podejmowane w poszukiwaniu żywności, były niebezpieczne ze względu na dzikie zwierzęta i bandy uciekinierów z obozów pracy, które napadały na zbieraczy.

W związku z wymienionymi działaniami matki nawiązywały znajomości z miejscową ludnością, które szczególnie w sytuacjach krytycznych okazywały się bardzo pomocne. Będzie jeszcze o tym mowa.

¹¹ K. Obuchowski, *Przez galaktykę potrzeb. Psychologia dążeń ludzkich*. Warszawa 2000, s. 276.

¹² Ibidem, s. 272-273.

Zgodnie z opisanym w psychologii mechanizmem modelowania, aktywność matek była przejmowana i odzwierciedlana w zachowaniach dzieci, które czynnie współuczestniczyły w zdobywaniu środków koniecznych do przeżycia.¹³

Rozważając sytuację samotnych wywiezionych z dziećmi kobiet, należy dodać, że była ona szczególnie niekorzystna. Potrzeba poprawy losu dzieci motywowała je nie tylko do ciężkiej pracy, ale także do znoszenia niesprawiedliwego traktowania i poniżania oraz tolerowania zaczepek miejscowych mężczyzn. Były też zmuszone do wypraszenia u nieżyczliwych im funkcjonariuszy władzy sowieckiej niezbędnych środków ratujących życie dzieci, np. lekarstw czy transportu do szpitala.

Zdolności adaptacyjne, pracowitość, skłonność do poświęceń, hart ducha, różne inne walory postaw i charakteru matek zostały utrwalone we wspomnieniach ich dzieci. W protokołach badań można znaleźć wiele opisów różnorodnych, poprawiających warunki bytowe starań matek. Jeden z nich przytaczam:

Wszystko zawdzięczam mamie [...] zaradna, pracowita [...] bardzo kontaktowna, nawiązywała znajomości z miejscową ludnością, [...] szyła, haftowała, [...] robiła na drutach, pracowała w kolchozie. (10k).

Nieliczni ojcowie, którzy przebywali ze swoimi rodzinami również wspomniani są jako troskliwi, pracowici, nie oszczędzający sił, aby zarobić na utrzymanie rodziny. Na przykład:

Przetrawiałem tylko dzięki rodzicom, którzy pracowali. Ojciec często wracał w nocy, przynosił chleb i mówił: „Bym pracował dzień i noc bez wytchnienia byle wam chleba przynieść” (9m).

Równoległe ze staraniami o zabezpieczenie podstawowych potrzeb bytowych rodzice dostarczali dzieciom niezwykle potrzebnego w wieku rozwojowym wsparcia emocjonalnego.

Większość badanych oceniających postawy rodziców w okresie deportacji zapamiętało, że stali się oni bardziej serdeczni i opiekuńczy, chcąc ciepłem i serdecznością zrekompensować dzieciom niedostatki materialne. Szczegółowa analiza wypowiedzi badanych na pytanie dotyczące zmiany postaw rodziców w okresie deportacji zamieszczona jest w tabeli 2.

Tabela 2. Zmiany postaw rodziców na deportacji

Zmiany postaw	Liczba wskazań
Bardziej serdeczni	56
Nie było zmiany	19
Więcej wymagali	11
Brak oceny	14
Ogółem	100

¹³ Temat aktywności badanych osób szerzej opisany w: E. Jackowska, *Deportacja na Sybir – źródła...* op. cit.

Przykłady starań i serdeczności najlepiej zilustrować fragmentami wypowiedzi.

Rodzice zmienili się. Byli lepsi, bardziej troskliwi, więcej o nas dbali. (20k).

Rodzice byli dla nas bardzo dobrzy. Często mówili, że bardzo nas kochają i że niedługo pojedziemy do Polski. (24k).

Moi rodzice wszystkie niedobory dnia codziennego starali się zastąpić swoim przywiązaniem i sercem. Cały czas mówiliśmy w domu po polsku. Nie do pomyślenia była mowa rosyjska w domu. (27k).

Rodzice byli bardzo otwarci, szczerzy wobec nas. I tak zostaliśmy wychowani... Byli wspaniali, kochający. (67k).

Bardzo się z mamą rozumiałam, ja jej pomagałam, słuchałam jej. Mama zawsze była serdeczna. (25k).

Jak się przytuliłam do mamy, to było najszczęśliwsze i najprzyjemniejsze. (59k).

W niniejszym opracowaniu nie zajmuję się problematyką przeżyć psychicznych rodziców badanych osób. Nie można jednak pominąć licznych wypowiedzi badanych, którzy zwracali uwagę, że rodzice cierpieli podwójnie. Z jednej strony borykali się z niezwykle trudnymi warunkami życia, a z drugiej bezradnie przypatrywali się niedoli własnych dzieci. Jedna z badanych osób wyraziła to słowami:

Teraz dokładnie rozumiem, co przeżywali nasi rodzice, patrząc jak my ich dzieci pracujemy ponad siły i w okropnych warunkach. W tej chwili nie wyobrażam sobie mojego życia, gdyby to samo musiały przeżywać moje dzieci. Nie jestem pewna czy bym się nie załamała patrząc na niezawinioną krzywdę najdroższych osób. (54k).

Oprócz serdeczności, opiekuńczości i starań o zabezpieczenie potrzeb materialnych, rodzice przekazywali też swoim dzieciom nadzieję na powrót do Polski. Chociaż badani zauważali, że rodzice stali się smutni, przygnębieni, nerwowi, zapamiętali też, że starali się dodać im otuchy. Pocieszali swoje dzieci, obiecywali, że niedługo ten koszmar się skończy i powrócą do Polski. Zapewnienia rodziców były niezwykle istotnym czynnikiem psychologicznym kształtującym postawę wiary w przetrwanie. Ten temat został poruszony w poprzednim artykule.¹⁴ Wypowiedzi badanych na temat nastroju rodziców pogrupowane w kategorii przedstawia tabela 3.

Tabela 3. Nastrój rodziców w czasie deportacji

Nastrój rodziców	Liczba wskazań
Dodawali otuchy	66
Nie radzili sobie	18
Różnie bywało	2
Brak oceny	14
Ogółem	100

¹⁴ E. Jackowska, *Deportacje na Sybir- źródła...*, op. cit.

Typowe wypowiedzi zaliczone do pierwszej kategorii są rozwinięciem pozytywnej oceny postaw rodziców cytowanych powyżej np.

Rodzice byli w tym okresie źródłem podtrzymania dla mnie. Oni zapewniali mnie, że będzie dobrze, że wrócimy do Polski. Rozmowy z nimi i listy z Polski dodawały otuchy. (15k).

Raczej nie okazywali przygnębienia załamania, dodawali nam otuchy...(19k).
Jedna z badanych zacytowała pełne otuchy słowa matki:

Zobaczcie dzieci, Pan Bóg nie pozwoli nam umrzeć, musimy wrócić, wrócimy. (69k).

W niektórych wywiadach znalazły się wzruszające świadectwa trojski rodziców o wychowanie dzieci. Pomimo nędzy, upokorzenia, obciążenia niewolniczą pracą, rodzice uczyli badanych pisania i czytania po polsku, historii Polski, geografii. Jedna z badanych Sybiraczek opisała, w jakich warunkach były prowadzone lekcje. Odbywały się one w czasie zarobkowego wyplatania koszyków przez całą rodzinę. Podczas tej pracy ojciec uczył dzieci historii, geografii, matematyki, niemieckiego i czeskiego. Uczył też je czytać i pisać z książeczki do nabożeństwa (protokół 56k).

W innym wywiadzie badana podkreśliła, że wraz z nadzieją na powrót do Polski ojciec przekazywał jej postawę patriotyzmu i dumy z polskości

Ojciec w czasie zesłania bardzo kładł nacisk na to, abyśmy nie zapomnieli skąd jesteśmy i kim jesteśmy. (19k).

W jeszcze innym protokole z badań można przeczytać wypowiedź:

Ojciec w Czuszkalach sam nauczył mnie czytać, pisać i liczyć... Rodzice starali się unormalnić pobyt na zesłaniu... pracowali nad moim rozwojem, uczyli mnie, mówili co dobre, a co złe, czego nigdy nie robić, co jest wyjątkowe z uwagi na sytuację... Rodzice nawet na zesłaniu dbali, żebym przebywała w kulturalnym towarzystwie, żebym nie zdziczała... Czułam smutek i tęsknotę, ale słyszałam nadzieję. (2k).

Do drugiej kategorii wypowiedzi zestawionych w tabeli powyżej zaliczono te, w których brakuje treści wskazujących na to, że postawa rodziców była dla badanych źródłem budowania wiary w przetrwanie. Np.:

Rodzice byli ciągle zajęci pracą, zmęczeni i głodni... (32k).

Praktycznie wszystko było beznadziejne. Matka cały dzień od świtu do nocy w pracy w kołchozie, a my bez opieki, głodni. (6k).

W dwóch przypadkach badani przyjęli na siebie rolę osób wspierających swoje matki. Wystąpił zatem klasyczny przykład syndromu zamiany ról.¹⁵ Przykładem jest wypowiedź jednej z badanych kobiet:

¹⁵ Syndrom ten w odniesieniu do dzieci opisuje E. Trzęsowska-Greszta, *Psychologiczne problemy dziecka chorującego na białaczkę*, „Zdrowie Psychiczne”, 1994, nr 1-2, s. 147-154.

Mama była bezbronna, tak się załamała, że ja wszystkim kierowałam, co mówiłam, to robiła. (55k).

Dodać trzeba, że w dwóch innych przypadkach, w których matki zdaniem osoby badanej nie radziły sobie z własnymi problemami emocjonalnymi rolę osób dodających otuchę przyjęły babcie, których zaradność, pogodę ducha i wiarę w przetrwanie przechowali badani w pamięci.

Z tabeli 1 wynika, że źródłem podtrzymania i przetrwania była też obecność rodzeństwa, szczególnie starszego, które w niektórych przypadkach łatwiej niż rodzice, szczególnie wtedy, gdy nie było ojca, dostosowywało się do ekstremalnych warunków bytowych i wykazywało duży spryt w zdobywaniu jedzenia.

Podsumowując omówiony wycinek badań nasuwa się wniosek, że dla ogromnej większości badanych obecność przynajmniej jednego z rodziców lub innego dorosłego członka rodziny była *conditio sine qua non* przeżycia. Trudno się zatem dziwić, że w analizie statystycznej korelacja między objawami zespołu stresu pourazowego a sieroctwem i półsieroctwem okazała się bardzo istotna statystycznie. W podgrupie sierot i półsierot częstotliwość skarg wskazujących na objawy postresowe była wyraźnie wyższa w porównaniu z podgrupą badanych, którzy w czasie deportacji mieli rodziców.¹⁶

Badani otrzymywali też pomoc od współzesłańców Polaków oraz od innych osób, wśród których ważne miejsce zajmowała miejscowa ludność, głównie Rosjanie. Należy uwypuklić to zagadnienie, gdy przejawy wrogich postaw władz radzieckich do zesłańców, szczególnie bezpośrednio po wywiezieniu z Polski, stanowiły niezwykle ważny czynnik stresu przeżywanego w latach zesłania. Wrogość władzy sowieckiej rzadko jednak przekładała się na postawy miejscowej ludności. Temu tematu poświęcę kolejny podrozdział.

3. Relacje z miejscową ludnością

Ogółem 15 Sybiraków wymienia miejscową ludność jako tych, dzięki którym przetrwali zesłanie. W 6 przypadkach wskazano się na miejscową ludność jako jedynych ludzi, których pomoc uchroniła badanych przed zagładą. Na uwagę zasługuje fakt, że w tej podgrupie znalazły się trzy osoby osierocone, które nie miały starszego rodzeństwa, ani innych dorosłych członków rodziny, na których pomoc mogłyby liczyć. Przywołam ich wypowiedzi:

Kiedy zostałam sama z siostrą z konieczności musiałam być zaradna. Polacy nam nie pomogli tylko nas wykorzystywali. Przestałam ufać ludziom. Pomogli nam Rosjanie i im mogę zawdzięczać przetrwanie (36k).

Pomagali Rosjanie, częstowali ziemniakami, śledziem... polska daleka rodzina nie dała zupy, a Rosjanie dali... (5k).

¹⁶ E. Jackowska, *Psychiczne następstwa ...* op. cit., s.293.

W 9 wypowiedziach miejscowa ludność wymieniana jest wśród innych osób, które wspomagały badanych. Można się zastanawiać jakie motywy kierowały żyjącymi w biedzie ludźmi odrębnej narodowości do udzielania pomocy Polakom, których sytuacja bytowa była jeszcze gorsza.

Na przestrzeni dziesiątków lat rozwinęło się wiele koncepcji, które wyjaśniały mechanizm powstawania zachowań prospołecznych i altruistycznych u ludzi.

Niewątpliwie duże znaczenie dla zrozumienia tych zjawisk miały najnowsze odkrycia neurobiologów. Odnaleźli oni w mózgu człowieka skupiska neuronów tzw. neurony lustrzane, które aktywizują się na widok osób cierpiących i automatycznie generują przeżycie współodczuwania oraz impuls do udzielenia pomocy. Wydaje się jednak, że wszelkie próby wyeliminowania z działania pomocowego wyższych mechanizmów osobowości zubażają i degradują samo pojęcie. Neurofizjologiczne odzwierciedlenie stanu emocjonalnego człowieka w potrzebie, łączność mózgu z mózgiem, nie tłumaczy złożoności i indywidualnego zróżnicowania zachowań pomocowych. Stanowi jedynie punkt wyjścia do przyjęcia założenia o potencjalnych zdolnościach człowieka w tym zakresie.¹⁷

Pomijając zatem koncepcję socjobiologiczną, która upatruje genezę zachowań prospołecznych wyłącznie w prawach ewolucji, w wyposażeniu genetycznym człowieka (przetrwaniu sprzyjają skłonności do zachowań prospołecznych, a zatem osoby, które takie skłonności posiadają przetrwały), należy krótko ustosunkować się do teorii wymiany społecznej i hipotezy empatii – altruizmu rozpowszechnionej przez badania D. Batsona.¹⁸

W myśl teorii wymiany społecznej zachowania prospołeczne można tłumaczyć w trojaki sposób. Po pierwsze: w sferze przemyśleń człowieka, a także w warstwie procesów nieuświadomionych utrwalona została norma wzajemności, czyli zapis, że pomagając komuś potrzebującemu, w trudnej sytuacji życiowej również otrzymamy od kogoś pomoc. Po drugie: pomagając, człowiek redukuje napięcie (niepokój) spowodowane wglądem w cierpienie drugiego człowieka. Po trzecie: pomaganie innym – podnosi samoocenę, a przez to wzmacnia się struktura własnego ego. Jak widać, przynależne do teorii wymiany społecznej mechanizmy uwarunkowania czynności prospołecznych odnoszą się do motywacji egocentrycznej, wynikającej z potrzeby maksymalizacji własnych korzyści, chociaż – co trzeba podkreślić – akty pomagania niewątpliwie przynoszą wymierne korzyści osobom potrzebującym.¹⁹

¹⁷ D. Goleman, *Inteligencja społeczna.*, Poznań, 2007, s. 56-82.

¹⁸ C. D. Batson, *The altruism question: Toward a social-psychological answer*, Hillsdale, N. J. Erlbaum 1991; C. D. Batson, J. L. Dyck, J. R. Brandt, J. G. Batson, *Five studies testing two egoistic alternatives to the empathy-altruism hypothesis*, "Journal of Personality and Social Psychology", 1988, 55, s. 52-57.

¹⁹ E. Aronson, T. D. Wilson, R. M. Akert, *Psychologia społeczna. Serce i umysł.* Poznań 1997, s. 457- 461.

Hipoteza empatii – altruizmu eksponuje rolę empatii, a więc współodczuwania – cierpienia drugiego człowieka przeżywanego wyłącznie w kategoriach psychologicznych. Motywem zachowania altruistycznego jest potrzeba poprawy sytuacji drugiej osoby, ulżenia jej w cierpieniu, bez względu na ewentualne zyski czy straty.

Wynikające z takiej motywacji zachowania są dowodem słuszności personalistycznych koncepcji człowieka, które jako jedyne potrafią nadać właściwe znaczenie bezinteresownym, heroicznym czynom poświęcenia się dla innych, a ich współczesną egzemplifikacją jest ofiara życia św. Maksymiliana Marii Kolbe czy Jana Pawła II.

W rozumieniu aktów udzielania pomocy Polakom na zesłaniu przez miejscową ludność nie można odrzucić żadnej z wymienionych interpretacji. Przypuszczalnie motywacja towarzysząca zachowaniom pomocowym miała złożone uwarunkowania, ale ważną jej determinantą było empatyczne odczuwanie niedoli zesłanych matek i dzieci. Bez względu też na jej korzenie, pomoc materialna, którą mieszkańcy udzieliли Polakom, powinna być zapamiętana.

Uzyskany materiał empiryczny pozwala na poznanie szerszego kontekstu relacji z miejscową ludnością, nie tylko związanego z „wymianą handlową” czy otrzymywaną pomocą. Uogólnione opinie osób badanych na temat stosunku miejscowej ludności do zesłańców polskich zostały przedstawione w tabeli 4.

Tabela 4. Ocena postawy miejscowej ludności do Polaków – zesłańców

Ocena postawy	Liczba wskazań
Przyjazna	60
Obojętna	8
Różna	22
Wroga	7
Brak odpowiedzi	3
Ogółem	100

Jak widać z rozkładu liczebności w tabeli większość badanych (60%) ocenia kontakty z miejscową ludnością pozytywnie.

Pozytywne relacje z miejscową ludnością, przyjazne kontakty z miejscowymi dziećmi, a w niektórych przypadkach wspólne zabawy były elementem normalności środowiska społecznego, w którym wrażliwi badani i mieli niewątpliwy wpływ „prostujący” ich psychikę. Badani podkreślali, że postawy wobec zesłańców przedstawicieli „władzy”, szczególnie funkcjonariuszy NKWD, a postawy zwykłych obywateli zamieszkujących tereny, na które byli zesłani, to dwie całkiem różne kategorie postaw. Np.:

Rosjanie nie będący przedstawicielami władzy byli bardzo życzliwi, pomagali... (41k).

Z uznaniem wspominam ruskie kobiety, które dzieliły się kolaczem upieczonym z zapasów mąki z dawnych lat lub zapraszały do stołu na kolację choć sami byli bardzo biedni. (54k).

Wielu badanych zwracało uwagę, że stosunek miejscowej ludności w pierwszych miesiącach zesłania był nieufny, gdyż propaganda radziecka przedstawiała ludność deportowaną jako wrogów ludu pracującego i wyzyskiwaczy. Po pewnym czasie te postawy się zmieniły. Wypowiedzi trzech Sybiraczek na ten temat przytaczam:

Z perspektywy czasu sędzę, że wspólna niedola, głód, wojna, wszystkie nie-szczęścia zbliżały szczególnie kobiety osamotnione – a Rosjanki były bardziej biedne i niezaradne niż Polki, w pierwszym okresie po przyjeździe nieufne, bo kładziono im do głów, że Polacy są wrogami ZSRR, panami i wyzyskiwaczami, a w zetknięciu z rzeczywistością widziały opuszczone kobiety z dziećmi pozba-wione domów i mężów, bez znajomości języka w obcym kraju... (27k).

Za Uralem powiedziano miejscowej ludności, że jesteście krwiopicjami, bogaczami. Stosunek tych ludzi do nas był na dystans, bali się nas. Nie wolno było się im z nami kontaktować. W Kazachstanie stosunek ludności obojętny. Stosunek ludności cywilnej, rosyjskiej życzliwy... (29k).

Z początku ludzie byli nieufni, myśleli, że jesteście złymi ludźmi, potem się zaprzyjaźniali. Byli biedni, ale czasem dawali trochę mleka i inne rzeczy. (19k).

W 6 wypadkach pomoc otrzymana od miejscowej ludności ratowała życie. W jednym z protokołów osoba przeprowadzająca badanie zapi-sała streszczenie obszernej wypowiedzi osoby badanej –

Teresy G. Było to w 1944 r. Przez 4 dni T. G. nic nie jadła, była wycieńczona i już umierała. Matka odmawiała nad nią różaniec i w pewnym momencie weszła do ich lepianki mała Ukrainka zapytać się czy T. wyjdzie na dwór pobawić się. Zobaczyła, że T. jest wycieńczona i matka żegna się z nią. Wyszła i po chwili przyprowadziła swoją matkę, a ta przyniosła mleko z ziarnami zbóż. Mama ma-łej Ukrainki obiecała, że codziennie będzie dla T. przynosiła mleko. To wydarze-nie uratowało T. G. życie (17k).

Wydaje się, że takie opinie są szczególnie ważne dla kształtowania dobrych relacji z sąsiadami naszej wschodniej granicy. Dlatego przywo-łam jeszcze kilka wypowiedzi badanych na temat przyjaznego stosunku miejscowej ludności, otrzymywanej pomocy i uznania dla jej postawy wobec zesłańców:

Bez tubylców nie przetrwalibyśmy... (19k).

Gdyby nie ci ludzie, którzy nas przyjęli po przyjeździe tam... to nie wiem czy byśmy przeżyli... (25k).

W każdej miejscowości przyjaźni. Ci ludzie stale żyją w ciągłej biedzie. Dla-tego współczują biedniejszym od siebie (9k).

My bawiliśmy się z dziećmi rosyjskimi. Od kobiet rosyjskich dostawaliśmy nieraz coś do zjedzenia... (7k).

Rosjanie dobrze traktowali Polaków, nieraz nawet pomagali. Nam Rosjanka udzieliła kawałek ogrodu na ziemniaki i dynie... (6k).

W Archangielsku pomagali ludzie, którzy zostali zesłani w 1933r., a w Kazachstanie muzułmanie dawali nam jedzenie. To było ich podziękowanie dla ich Boga... (23k).

Trzymano się razem. Jak mama zachorowała to ta *chazajcha* opiekowała się mną. Ludzie byli dobrzy... (25k).

Bardzo serdeczni byli Sybiracy rodowici. Mało o Polsce i Polakach wiedzieli, ale odnosili się serdecznie. Wymienialiśmy u nich rzeczy na ziemniaki i mąkę... (44k).

Rosjanie także dużo wycierpieli i rozumieli nas (34k).

Z Kirgizami żyliśmy w przyjaźni... To oni uczyli nas Polaków jak kraść, by nie zostać złapanym (9m).

Dzieliliśmy się chlebem jeżeli tylko mieliśmy, z osłabionymi z głodu niezależnie od narodowości i uzyskiwaliśmy w potrzebie podobne wsparcie. Na przykład w czasie mojej ucieczki z FZO na trasie Magnitogorsk Kzył-Orda zostałem *nakryty* jako gapowicz przez rosyjskiego maszynistę. Ten mnie nie zrzucił z parowozu, pozwolił jechać w charakterze pomocnika i mimo głodu podzielił się kawałkiem chleba zawiniętym w kawałek szmaty. (33m).

W kategorii wyodrębnionej jako ustosunkowania różne (22 wypowiedzi), znalazły się te, w których osoby badane mówiły, że postawy miejscowej ludności nie były jednolite, spotykano zarówno ludzi wrogo nastawionych do Polaków, jak także współczujących i pomagających. W tej kategorii umieszczono również 6 opinii, w których wskazywano, że postawy Rosjan były przyjazne w porównaniu z wrogimi postawami Ukraińców i Kirgizów.

Przejawy życzliwości otrzymywane od miejscowej ludności nie tylko dostarczały wsparcia materialnego, ale miały dla badanych głębsze psychologiczne znaczenie. N. Han-Ilgiewicz wiele lat temu wprowadziła do psychologii dziecka pojęcie potrzeby piękna wzoru i ideału. Istotnym elementem tej potrzeby jest zdaniem autorki pragnienie odkrywania dobra, znajdowania wzorów i dobrowolnego ich naśladowania.²⁰ W świecie biedy, chorób, lęku spotkanie się z życzliwością miejscowej ludności, przejawami solidarności stanowiło dla badanych ten rodzaj doświadczenia, który chronił ich dziecięcą wrażliwość przed utratą wiary w wartość ideałów i zasad etyki.

4. Relacje ze współzesłańcami

W wywiadach pytano także Sybiraków o relacje ze współzesłańcami. Psychologiczna wartość dobrych relacji ze współzesłańcami ściśle wiąże się z zaspokojeniem potrzeb: przyłączenia, przynależności i bezpieczeństwa. W każdej sytuacji trudnej bodźce wzmacniające stan zaspokojenia tych potrzeb są czynnikami obniżającym stres. Można tu przywołać obserwacje klinicystów dotyczące byłych więźniów obozów koncentracyjnych, które wykazały, że poczucie więzi grupowej ze społecznością uwięzionych było decydującym lub jednym z decydujących czynników w mo-

²⁰ N. Han-Ilgiewicz, *Potrzeby psychiczne dziecka (refleksje charakterologiczne)*, Warszawa 1961, s. 108.

bilizowaniu się do walki o przetrwanie. Wymienić tu trzeba prace: Godorowskiego, Kępińskiego, Ryna.²¹ W tym kontekście można było przypuszczać, że osoby, które pamiętały, że w latach zsyłki Sybiracy tworzyli wspólnotę, byli wobec siebie solidarni i pomagali sobie nawzajem przeżywać mniejszy dystres niż osoby, które zapamiętały, że zesłane rodziny „żyły swoim życiem”. Rozkład wyników uzyskanych w wywiadach dotyczących ocen kontaktów ze współzesłańcami przedstawia tabela 5.

Tabela 5. Ocena kontaktów ze współzesłańcami

Ocena kontaktów	Ogółem
Trzymano się razem	61
Różnie bywało	11
Każdy żył sam	26
Brak odpowiedzi	2
Ogółem	100

Niektóre z opisów solidarności i udzielania sobie pomocy przez zesłańców przedstawiane przez osoby badane zasługują na zacytowanie.

Trzymano się razem, dzielono jedzeniem, pomagano chorym i innym. Z uwagi na zły stan zdrowia mama nie mogła chodzić. Nie miał kto z naszej rodziny załatwić formalności z wyjazdem na Ukrainę, do Kirowogrodzkiej Obłastii... Aby nie zostać na Syberii przez kolejną zimę... wyjeżdżający do Omska Irtyszem Polacy przemycili nas sześcioro na statek. Solidarność Polaków nie miała granic (9k).

...Byliśmy jak jedna wielka rodzina... (26k)

...Istniało poczucie wspólnoty, więzi, pomoc... (53k)

Gdy przeszliśmy z tajgi na kołchoz, to pamiętam, że ojciec pracował i miał dostęp do zboża, to po prostu kradł i pomagał przeżyć innym rodzinom, nawet nie Polakom. (23m).

Gdy nie było czym się dzielić pomagano sobie bardziej czynem niż jedzeniem. (15k).

Pomagano sobie w zdobywaniu żywności na przykład organizując wspólne wyprawy do tajgi, wspólne kradzieże kołchozowych płodów rolnych, wspólne łowienie ryb, zastawianie sidła, itp. Przypomnę, że zesłańcy mieszkali w wielkim stłoczeniu, stąd bezpośrednie kontakty pomiędzy ludźmi były częste i wiele możliwości udzielania sobie pomocy. Pomagano sobie w chorobie, czy w opiece nad dziećmi.

Część badanych oceniała, że relacje pomiędzy zesłańcami były różne np.:

Nieraz sobie pomagali, ale często były nieporozumienia i kłótnie (16k).

W biedzie ludzie pomagają sobie, ale trzeba też uważać na niektórych (19k).

²¹ K. Godorowski, *Psychologia i psychopatologia hitlerowskich obozów koncentracyjnych*, Warszawa 1985; A. Kępiński, *Rytm życia* (rozdział: KZ-syndrom), Kraków 1994, s. 106-121; Z. Ryn, *Uwagi psychiatryczne o tzw. KZ-syndromie*, „Przegląd Lekarski”, 1981, nr 1, s.26-29.

Dwadzieścia sześć osób zapamiętało, że deportowane rodziny żyły własnym życiem. W tej szczególnej sytuacji jaką było zesłanie odczuwali, że rodzina zdana jest głównie na siebie i nie może liczyć na pomoc innych zesłańców. Nie doświadczyli przejawów życia wspólnotowego. Typowe wypowiedzi w tej grupie osób to:

Każda rodzina dbała o siebie... (5k).

O siebie się dbało i o najbliższych... (21k).

Na pomoc innych zesłańców nie można było liczyć (37k).

Każdy był zdany na siebie (56k).

W tej podgrupie badanych 5 osób wyraziło krytyczną ocenę współzesłańców, wskazując na sobkostwo, a nawet nieuczciwość.

Warto zwrócić uwagę, że krytyczne opinie wyraziły osoby, które w czasie deportacji zostały osierocone (4 osoby). Jak pisałam wyżej w trzech wypadkach te osoby otrzymały wsparcie od ludności miejscowej.

A. Kępiński dokonując niezwykle głębokiej analizy doznań człowieka w sytuacji ekstremalnego stresu, jakim był obóz koncentracyjny, w głęboko poruszających emocje słowach opisuje znaczenie spontanicznie okazanej pomocy w postaci oddania kromki chleba. Jak wiele ona znaczyła dla uwięzionego, wygłodzonego, poniżonego człowieka.²² Gest dobroci w postaci takiego daru pamięta się do końca życia. W zebranych materiale spotkałam się z podobnym opisem. Jedna z badanych Sybiraczek, której losy były szczególnie tragiczne, bo została osierocona jako 11-letnie dziecko w pierwszych latach deportacji, wspomina ten okres jako niezwykle trudny również z powodu braku pomocy i wsparcia ze strony innych współzesłańców. Zapamiętała jednak, że raz zdarzyło się, że niespodziewanie – ona i rodzeństwo – otrzymała pożywienie. Był to jedyny gest wsparcia, który jak stwierdziła, będzie pamiętała zawsze.

Kiedy ojciec w 1940 r. poszedł chować matkę, to sąsiadka Polka przyniosła nam pierogi nadziane kaszą. (7k).

Po roku 1941 część badanych opuszczała dotychczasowe miejsce zsyłki. Jedne rodziny polepszały swój los, dla innych łączyło się to z utratą dachu nad głową i kompletnym brakiem środków spożywczych. Niektórzy w takiej beznadziejnej sytuacji uzyskiwali pomoc od „polskiej społeczności”. W protokołach badań znalazło się 7 opisów pomocnych działań wspaniałych polskich nauczycieli, wojskowych, kapłanów. Otrzymywane akty lub akt pomocy budził nadzieję na przetrwanie i wiarę w istnienie dobra. Dla jednej z badanych taką postacią, która wspomina z wdzięcznością była siostra generała Sikorskiego, którą spotkała w domu dziecka:

Generała Sikorskiego siostra była wychowawczynią w domu dziecka. Ona nie chciała przyjąć obywatelstwa rosyjskiego, poszła do więzienia na pół roku. Pani Sikorska dodawała nam wiary, że wrócimy do Polski. Śpiewaliśmy polskie

²² A. Kępiński, op. cit.

piosenki. To dzięki niej nasza wiara na powrót do Polski nie umarła, to dzięki niej nie straciliśmy wiary. Rosjanie mówili, że już nigdy nie wrócimy, a my płakaliśmy. Dzięki niej wiedzieliśmy, że musimy wrócić do Polski... (21k).

Wsparciem społecznym dla osób badanych było też uczestniczenie w różnych formach życia wspólnotowego – wieczerzach wigilijnych, uroczystościach patriotycznych, nabożeństwach majowych i innych spotkaniach modlitewnych. Trzeba zaznaczyć, że wspólne odmawianie modlitwy było zakazane i organizowano je zazwyczaj w ukryciu lub w czasie nieobecności osób nadzorujących zesłańców. Podobnie było z innymi spotkaniami zwoływanymi dla uczczenia polskich świąt narodowych, które były dozwolone tylko w krótkim okresie obowiązywania umowy pomiędzy gen Sikorskim a Stalinem. Spotkania modlitewno-patriotyczne umacniały wiarę w sprawiedliwość i Opatrzność Bożą, poczucie patriotyzmu, dumę z przynależności do narodu polskiego. Stanowiły cegiełki wzmacniające psychiczne zasoby do przetrwania sytuacji trudnej.

Podsumowując zamieszczony w tym fragmencie materiał empiryczny nasuwa się oczywisty wniosek, że poczucie więzi i wsparcia ze strony innych współzesłańców, obok wsparcia dostarczanego przez członków rodziny, sprzyjało lepszemu zaspokojeniu potrzeb bytowych młodych zesłańców, a także nie pozostawało bez znaczenia dla ich stanu psychicznego, gdyż przynajmniej w pewnych granicach zaspakajało – potrzebę poczucia bezpieczeństwa i nadziei na zmianę losu. Wyniki badań pośrednio potwierdzają tezę, że dobre relacje z innymi niespokrewnionymi ludźmi, z którymi dzieli się trudne warunki bytowe, zwiększają szansę na przeżycie, gdyż są pochodną umiejętności społecznych (m.in. współdziałania) nieodzownych w pokonywaniu sytuacji trudnych.

5. Podsumowanie

Niniejszy artykuł kończy cykl rozważań poświęconych psychologicznym aspektom deportacji w głąb ZSRS w czasie II wojny światowej. Na podstawie psychologicznej analizy stu wywiadów zebranych od osób, które zostały zesłane w latach 1940/1941 w głąb Rosji Sowieckiej i powróciły do Polski w 1946 roku omówiono trzy zagadnienia:

1. Najtrudniejsze do zintegrowania z nurtem życia psychicznego doświadczenia traumatyczne związane ze śmiercią osób bliskich,
2. Psychiczne następstwa deportacji ujawniające się pod postacią zaburzeń emocjonalnych, trudności w pełnieniu ról społecznych, a także wpływ deportacji na uformowania się specyficznych osobowościowych struktur ułatwiających przetrwanie w skrajnie niekorzystnych warunkach bytowych,
3. Wewnętrzne i zewnętrzne źródła podtrzymania, które w opinii Sybiraków miały zasadniczy wpływ na to, że przeżyli lata zsyłki.

Materiał empiryczny zawierał treści przechowane w pamięci autobiograficznej, która w świetle opinii specjalistów nie jest wiernym i do-

kładnym zapisem historii osobistej.²³ Wspomnienia dotyczące dzieciństwa i młodości, oddalone czasowo od momentu badań dziesiątkami lat, zostały przedstawione przez badanych z perspektywy „tu i teraz”. Pamiętając o ograniczeniach pamięci autobiograficznej wywiady z Sybirakami zostały ukierunkowane na konkretne fakty i przeżycia najsilniej zabarwione emocjonalnie, a przez to najwierniej utrwalone w postaci śladów pamięciowych. Wiarygodność materiału empirycznego wzmacnia także stosunkowo duża liczba badanych osób, które wiele opisów zdarzeń relacjonują podobnie.

Badania przeprowadzone przez Autorkę ujmują jedynie wycinek psychologicznej problematyki deportacji, która ze względu na zróżnicowanie wieku i statusu społecznego wywożonych osób, czasu trwania deportacji i różnych kolei losu zesłańców w latach przebywania w ZSRS i po powrocie do Polski jest niezwykle bogata. Nie znajduje to niestety odbicia w szerzej zakrojonych badaniach psychologicznych. Wiedza psychologiczna dokumentowana wynikami badań w tym zakresie jest niezwykle skąpa. Wiadomo, że z roku na rok żyje coraz mniej świadków wywózek, dlatego w dalszych badaniach należałoby sięgać nie tylko do bezpośrednich relacji, ale także do opublikowanych i nieopublikowanych wspomnień Sybiraków. Można mieć nadzieję, że przedstawiciele nowego nurtu badań w psychologii, nazwanego psychohistorią zainteresują się również psychologicznymi aspektami deportacji.

²³ E. Aronson, T. D. Wilson, R. M. Akert, *Psychologia społeczna...* op. cit. s. 248-249.

JAN STARCZEWSKI

PRZEZ SYBIR DO SZKÓŁ JUNACKICH NA ZIEMIACH FARAONÓW I MOJŻESZA

Ojca zagnębili mi Sowietci gdzieś w okolicach Archangielska, ciała siostry i brata pochowano w Uzbekistanie, a matka zmarła gdzieś na pustkowiu w okolicach Samarkandy. Osierocony, bezradny i u kresu sił, jako 12-letni wówczas chłopiec niewiele pamiętam, w jaki sposób dotarłem do obozu wojsk polskich w Kermine. Tutaj kromka chleba podana przez żołnierza uratowała mnie od głodowej śmierci. Natomiast równie wynędzniały lecz sprytniejszy ode mnie 12-letni Bolek, przybywszy na stację kolejową w Samarkandzie usiłował znaleźć następną ofiarę swego nowo wyuczonego zawodu kieszonkowca. Wzrok spoczął na żołnierzu w nieznanym mundurze. Dopiero z bliska zauważył „orzełka” na furazerce. Zdziwiony, trwożliwie zapytał: „Pan Polak?” „Tak” – brzmiała odpowiedź. Nieznany żołnierz podał chłopcu rękę i zabrał go do obozu wojska polskiego, skąd dostał się on do Junaków we Wreskoje, podobnie jak ja.

Z miejsc deportacji do Armii Andersa

Cofnijmy się do czasów, kiedy światem rządziła wojna, a właściwie do jednego faktu, który zaważył na dalszych losach Polaków gnębiomych w rozległej Rosji. Wydarzeniem tym był pakt „Sikorski-Majski”, zawarty 30 lipca 1941 roku. Po tej umowie, do nowo tworzącej się Armii Polskiej w Rosji przybywało dużo skrajnie wynędzniałej młodzieży. Dlatego też gen. Władysław Anders 12.IX.1941 roku polecił stworzyć skupiska junackie pod opieką wojska. Owe posunięcie wraz ze wspianiałością żołnierzy, dzielących się swoimi skromnymi porcjami żywności z junakami, uratowały tę młodzież, przynajmniej znaczną jej część, od niechybnej śmierci. W około rok później, bo w 1942 r., junacy wydosłali się z Rosji do Szkół Junackich w Palestynie i Egipcie.

Dzieci i młodzież (najczęściej w oplakany stan) napływała do miejsc organizującego się wojska polskiego w Rosji. Obozy takie znajdowały się między innymi w następujących miejscowościach: Guzar, Kar-kin-Batash, Kermine, Szachriziabi, Wreskoje. Na początku ratowano

życie, potem zdrowie. Jednak mimo dużych wysiłków, wielu kolegów i koleżanek jak również przełożonych, umarło.

Na szczęście w stosunkowo krótkim czasie, bo od marca do sierpnia 1942 roku, Rosję opuściło około 150 tys. Polaków (wśród nich junacy) głównie z Krasnowodzka przez Morze Kaspijskie do Pahlevi w Persji.

W tym samym roku chłopcy dostali się do Szkół Kadeckich, Lotniczych i Mechanicznych, a dziewczęta do Szkół Młodszych Ochotniczek. Większość tych szkół rozmieszczono w Palestynie, a część na piaskach Egiptu, gdzie dostarczono nam możliwie właściwych rozmiarów umundurowanie typu brytyjskiego, przejętego przez Armię Polską.

Obozy junackie

Zanim dostaliśmy się do właściwych szkół i stałego miejsca postoju, wszyscy przechodziliśmy przez obozy tymczasowe. Nazwy takich miejscowości w Palestynie były: Barbara, Bash-Shit, Beit-Nabala, Kiriat-Motzkin, Nazaret, Jenin, Quastina, Rafah i Sarafanda. Natomiast w Egipcie: Heliopolis, Mahdi, Mena i Tel-el-Kebir.

Liczba wszystkich Junaków zmieniała się z tego powodu, że starsze roczniki odchodziły do wojska, a napływały nowe z innych ośrodków. Stan liczebny w październiku 1943 roku wynosił 3332 młodzieży. Liczbę wszystkich, którzy przeszli przez Szkoły Junackie na Środkowym Wschodzie, aż do czasu wyjazdu do Anglii i zamknięcia tych szkół w 1947 roku, ocenia się na około 5 tysięcy junaków i młodszych ochotniczek.

Na początku mieliśmy mundury, jedzenie, namioty i nic poza tym oprócz ogromnych przestrzeni piasków, skorpionów i wycia szakali. A już w dwa lata później mieliśmy wysoki poziom nauczania, biblioteki, laboratoria, warsztaty, kółka teatralne, świetlice, harcerstwo, orkiestry, lekcje muzyki dla chętnych, gazety, fascynujące pogadanki i bardzo rozwinięty sport.

W Szkołach Junackich dał się poznać geniusz Narodu Polskiego. Na malutkim terenie każdej szkoły była stworzona miniaturowa Polska w całym majestacie. Bowiem tutaj panowała pamięć o twórczości, czynach naszych wieszczów i czynach wielkich Polaków. Toteż nic dziwnego, że czuliśmy się rodzinnie, bezpiecznie i bardzo polsko.

Dzień rozpoczynał się gimnastyką, myciem i pieśnią „Kiedy ranne wstają zorze”. Ta przepiękna pieśń o głębokiej treści otwierała szeroki wachlarz zajęć na cały dzień. W niektórych klasach i świetlicach wisiały hasła zapożyczone u klasycznych Greków, Rzymian i tradycji polskiej, takie jak: „Umiar jest najlepszy”, „W zdrowym ciele zdrowy duch”, „Módl się i pracuj”.

W szkołach tych dbano nie tylko o naukę, ale też o tężyznę zdrowotną, moralną i duchową. A więc dbano o coś bardzo cennego, a mianowicie o równowagę pomiędzy osiągnięciami materialnymi i duchowymi. W ten

sposób młodzież była przygotowywana do spełnienia roli obywatelskiej w wolnej Polsce, w najlepszej tradycji klasycznej i polskiej.

Ocena po latach

Biorąc pod uwagę beznadziejne warunki na początku i krótki czas nauki, Szkoły Junaków były bez wątpienia owocem geniuszu organizacji i duchowości polskiej w najlepszym wydaniu. Właściwie stało się to wszystko jakoś tak „magicznie”, że te szkoły wzbudzały podziw nie tylko u swoich, lecz i u obcych narodowości.

Chociaż od tamtych lat minęło tyle czasu, niezmiennie tkwi we mnie przekonanie, że większość ludzi biorących udział w tworzeniu powyższego dzieła, czerpała siły, cierpliwość, wskazówki, wytrwałość i mądrość z największego skarbcza narodowego, jakim jest spuścizna po F. Chopinie, M. Konopnickiej, M. Koperniku, A. Mickiewiczu, H. Sienkiewicz, M. Skłodowskiej, P. Skardze, J. Słowackim i wielu innych najlepszych synach i córkach Narodu Polskiego, których los wybrał, by stali się wzorami dziedzictwa duchowego czy też zdobywcami nowych prowincji piękna.

Był to okres, okoliczności i miejsca, gdzie najlepsze cechy narodowe dominowały, co dało zdumiewające i nieoczekiwane wyniki. Było to zasługą nauczycieli i przełożonych, którzy okazali się ludźmi o wielkich wartościach duchowych: „nie na miarę krawca, lecz Fidiasza” – jakby powiedział Słowacki. Toteż nauczyciele, wychowawcy i inni, będąc autorami powyższego dzieła, zasługują na pamięć i wdzięczność byłych uczniów Szkół Junackich, a również całego Narodu.

Powojenne losy junaków

Po przybyciu do Anglii w 1947 r. większość byłych uczniów Szkół Junackich rozproszyła się po świecie, od Australii po Wenezuelę. Na początku, bez znajomości języka i bez poparcia finansowego, zakładali rodziny, doksztalcali się i brali czynny udział w budowaniu polonijnych ośrodków. Później zdobywali uznanie, wpływy i stanowiska, a równocześnie popierali sprawy polskie. Powyższa historia nie jest tylko historią Szkół Junackich. Krzyżuje się ona z dziejami innych grup Polaków, by stać się częścią historii naszego Narodu.

Obecnie, z perspektywy czasu, doniosłość czynu tworzenia Szkół Junackich powinna być podkreślana, gdyż szkoły te dały dowód, że nasz Naród ma wiele wspaniałych cech i jest w stanie wzbudzić się na wyżyny duchowe, szczególnie, gdy się uwzględni te dodatnie cechy w wychowaniu. Trzeba „odmładzać” i korzystać z ogromnego skarbcza drzemających i pokrytych nieco gruzami ponad półwiekowej historii sił narodowych do budowy lepszego jutra.

*

Jan Starczewski mieszka w Anglii, dokąd przybył po tułacznej drodze dziecka wywiezionego na Syberię z rodzicami, bratem i siostrą. Ojciec zmarł na Syberii, a mama, brat i siostra w Uzbekistanie. Najstarsza siostra została wywieziona osobno i mieszka również w Anglii. Pan Jan od roku 1942 do 1943 przebywał w sierocińcu w Isfahanie, a od roku 1943 do 1947 był w Szkołach Junackich w Palestynie i Egipcie. W 1947 przybył do Anglii, gdzie skończył liceum polskie, a w 1954 ukończył studia inżynierii mechanicznej. W czasie pracy zawodowej zdobywa stopień magisterski z mechaniki i doktorat z inżynierii chemicznej na studiach wieczorowych, uczył się również na wykłady o charakterze filozoficznym.

Pracował w przemyśle chłodniczym, cementowniczym oraz w przemyśle ropy naftowej i gazów ziemnych. We wszystkich tych przemysłach dokonał ulepszeń i wynalazków. Wiele z tych osiągnięć było opisane w licznych artykułach w USA i Anglii w pismach o światowym zasięgu. Jedno z takich ulepszeń, wynalazków dla firmy Tunnel Cement Ltd opisuje w czerwcu 1972 r. menager grupy technicznej A. Skull, gdzie w samych superlatywach wyraża się o wynalazku i jego potencjale rynkowym w skali międzynarodowej, jak również o jego autorze J. Starczewskim, z którym pracował trzy lata.

Szczegółowe opisy techniczno-komercyjne technologii związanej z zupełnie nowym sposobem produkcji cementu zostały przekazane Instytutowi Materiałów Budowlanych w Opolu, a opis technologii związanej z ropą naftową i gazami ziemnymi został przekazany Politechnice w Poznaniu. Opracowane programy komputerowe zostały przekazane Uniwersytetowi Warszawskiemu. Pan Jan Starczewski potraktował to jako pomoc dla Polski. Również w ramach pomocy dla Polski udzielił okazałej pomocy w wyposażeniu gimnazjum w Krynicy Zdroju. Imponujący jest też dorobek publicystyczny pana Starczewskiego. Od 1996 r. pisuje w języku polskim. Napisał dwie książki, wydał dwa zbiory swoich artykułów i wiele pojedynczych artykułów.

W bibliotece POSK-u w Londynie znajduje się około 100 jego artykułów, prac techniczno-naukowych i książek. Książka „Spojrzenie na świat” to naprawdę głębokie spojrzenie na świat. Popularyzuje wiedzę z pogranicza nauki i wiary. Autor włącza elementy filozoficzne, zagłębia się w tajniki wiedzy o człowieku i jego miejscu na ziemi i we wszechświecie. Książka o trudnej tematyce, lecz napisana w sposób tak interesujący, że czyta się ją bez znużenia. Możemy być dumni z pana Jana Starczewskiego, że rozśławia imię Polski w świecie.

Według: „Semper Fidelis”, listopad-grudzień 6(83) 2004, s. 29.

MARIA GRZEGOROWSKA

ZAPAMIĘTANE

W numerze 33/2008 „Zesłańca” opublikowaliśmy informację o konkursie na wspomnienia czasu wojny, zorganizowanym staraniem Koła Związku Sybiraków w Ursusie oraz tamtejszego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Zamieściliśmy też w nim wspomnienia laureatki konkursu, St. Karaimowej, pt. *Moje życie*. Na konkurs wpłynęły trzy wspomnienia związane z tematyką syberyjską; kolejne, również wyróżnione, autorstwa Marii Grzegorowskiej, drukujemy obecnie.(red.)

Jest noc czerwcową 1941 roku, pod rozgwieżdżonym niebem Wileńszczyzny jadę z mamą wynajętą furmanką przez czarny las w kierunku dworca kolejowego w Woropajewie. Tam NKWD formuje pociąg z rodzinami polskimi, skazanymi na Syberię. Tej nocy, gdy funkcjonariusze NKWD przyszli po naszą rodzinę, zastali w domu tylko ojca i moją młodszą siostrę, bo my z mamą byliśmy u okulisty w Postawach i tam przenocowałyśmy. Po powrocie zastałyśmy splądrowane mieszkanie, a od sąsiadów dowiedziałyśmy się, że ojca i siostrę zabrało NKWD do transportu, do Woropajewa. Pracujący w sąsiedniej wsi przy kopaniu torfu brat mamy, dowiedziawszy się o nocnej deportacji, przyjechał pożyczonym rowerem, aby wesprzeć rodzinę. Został aresztowany i odwieziony do więzienia w Wilejce – jak nam powiedzieli sąsiedzi.

Mama nie wahała się – zostać, czy dołączyć do męża i córki; spakowała pośpiesznie do dwu plecionych kufrów to, co mogło być najbardziej potrzebne na Syberii, w tym nasze kożuszki sprawdzone mroźną zimą 1940 roku. Wynajęta furmanka po kilku godzinach dowiozła nas na stację. Był już wczesny ranek, zobaczyłyśmy długi pociąg towarowy, stojący na bocznym torze. Drzwi wagonów były pozamykane, a wzdłuż pociągu przechadzali się uzbrojeni żołnierze. Mama poszła do kierownika pociągu, aby dowiedzieć się, w którym wagonie jest połowa naszej rodziny: mąż i dziecko. Tak bardzo chciałam, żebyśmy ich odnalazły, żeby być razem.

Wreszcie drzwi jednego z wagonów odsunięto i zobaczyłam ojca. A więc są już odnalezieni, jesteście razem. Szybko załadowano bagaż: owe kufry tzw. kosze, worek z ciepłymi rzeczami i starannie osznurowaną sporą paczkę, która odegrała wielką rolę w czasie naszej syberyjskiej

tułaczki. Kiedy wdrapałam się do wagonu, z górnej pryczy wyjrzała moja młodsza siostra, pytając czy jest mama i czy przywiozłyśmy naszą ukochaną lalę, zamykającą oczy, bo kiedy pakowali się z tatą, to ten pan z karabinem nie pozwolił jej zabrać. Mogła wziąć tylko małego murzynka, który zmieścił się w kieszeni, a lalkę ten pan zabrał. Murzynek był jedyną zabawką mojej 5-letniej wówczas siostry; jedyną zabawką, która z nami wędrowała przez pięć lat spędzonych na Syberii.

Przez kilka godzin jeszcze pociąg stał w Woropajewie, dołączono dalsze wagony, przywożono dalsze rodziny – bez odłączanych od nich mężczyzn, z wyjątkiem starców. Przyszła nasza kochana niania Kasia, przyniosła trochę słoniny i kilka podsuszonych serków – co miała pod ręką.¹ Produkty te, razem z niewielką ilością mąki i kaszy jaglanej, z zapasów kuchennych naszej mamy, były podstawą wyżywienia przez pierwsze trzy miesiące naszego pobytu w Barnaule, gdzie wywieziono nas na zesłanie. Niania żegnała się z nami ze łzami w oczach, potwierdziła, że mężczyzn, odłączonych od rodzin, przewiozło NKWD do więzienia w Wilejce. W więzieniu tym znajdował się jeden z braci mamy, aresztowany wiosną, mniej więcej na miesiąc przed naszą deportacją. Teraz więc obydwaj znaleźli się w Wilejce, a byli oficerami Wojska Polskiego, którzy po klęsce szukali schronienia u starszej siostry na Wileńszczyźnie; mama czuła się więc za nich odpowiedzialna. Prosiła nianię, asby ta postarała się dowiedzieć cokolwiek o ich losie i niania przyszła jeszcze raz wieczorem. Przyniosła wiadomość, że więźniowie są wyganiani z więzienia i ustawiani w kolumny kierowane na wschód, a samo więzienie podobno zamknięto. Do końca życia babcia nasza nie chciała uwierzyć, że wujkowie zostali zakatowani przez zbrodniarzy NKWD, latami trwały poszukiwania przez Czerwony Krzyż. Teraz wiemy, że zginęli gdzieś między Wilejką i więzieniem NKWD w Riazaniu, na DRODZE ŚMIERCI.

Kiedy zbliżała się noc, wzmogły się krzyki strażników „po wagonam” i pociąg ruszył. Wyjrzałam jeszcze przez zakratowane okienko, widziałam nikańce budynki stacyjne. Nie zdawałam sobie sprawy, że krajobraz ten widzę ostatni raz w życiu, że nigdy już tu nie wrócę. Jako 9-letnie dziecko żegnałam kraj moich lat dziecińczych. Po dramatycznych zdarzeniach dwu ostatnich dni usnęłam szybko w monotonnym rytmie pociągu. Chyba na drugi dzień żegnaliśmy Wileńszczyznę; dorośli mówili, że jedziemy na wschód. Kiedy pociąg stawał, odsuwano drzwi, biegliśmy jak najszybciej w krzaki, a dwie osoby z każdego wagonu w asyście uzbrojonego wartownika szły na stację, gdzie pobierały wrzątek, tzw. kipiatak – wiadro na wagon; czasem drugie wiadro zupy, lub kaszy. Po kilku dniach podróży przejeżdżaliśmy przez góry Ural, była noc, niewiele widać – grozę budziły ciemne ściany wykopu, w którym jechał pociąg, porośnięte z

¹ Niania – Katarzyna Nesterowicz przeżyła wojnę w rodzinnej wsi pod Łuczajem, przyjechała do Polski w latach 50-tych, zmarła w Szczecinie.

rzadka zielenią. Nad nami na pogodnym niebie majaczyły gwiazdy. Słyszałam głosy dorosłych, że opuszczamy Europę i nie wiadomo, czy i kiedy zobaczymy ją ponownie; wszystko to sprawiało, że serce ścisnął żal i niepokój. W głębi wagonu kilka osób modliło się półgłosem.

Po paru dniach, w czasie postoju naszego pociągu na boczniczy jakiejś większej stacji, usłyszeliśmy dochodzące z dala głucho dudnienie. Ludzie, którzy wrócili z gorącą wodą ze stacji przynieśli nadzwyczajną wiadomość: Niemcy bombardują naszych prześladowców, czyli jest wojna niemiecko-sowiecka! To było krótko po 22 czerwca 1941 roku. Jesteśmy w Azji, jedziemy już 12 dni, mijamy nie zatrzymując się dużą stację Nowosybirsk; nie wiemy, dokąd nas wiozą i co z nami będzie? Na stacji Barnaul pociąg zatrzymuje się na bocznym torze i przychodzi polecenie: wyładowywać się. Zostajemy między torami na noc, jest chłodno, okrywamy się, siedząc na jakże przydatnych koszach. Po nocnej drzemce nie ma już pociągu, który nas tu przywiózł; nie wiadomo – co dalej?

Wreszcie podjeżdżają ciężarówki, ładujemy się z bagażami, jedziemy jakby przez małe miasteczko lub wieś; potem okazało się, że to peryferie dużego, „wojewódzkiego” miasta. Wjeżdżamy na teren ogrodzony kolczastym drutem. Okazuje się, że to cegielnia i że mamy zamieszkać w suszarni. Jest dach i betonowa podłoga, ścian nie ma, a obok sterta usuniętych z naszego powodu stojaków. Koło tej sterty desek myśliśmy się wodą przyniesioną przez dorosłych z niedalekiej pompy. Nadchodzi wiadomość, że teren obozu możemy opuszczać (dorośli) po otrzymaniu przepustki, sprawdzanej przy bramie. Dla naszego pociągu przeznaczono kilka suszarni, więc ciasno nie jest, ludzie moszczą sobie legowiska na betonie. Rodzice rozpakowują osznurowaną paczkę, którą udało się przemycić na stacji w Woropajewie – a jest to ... łóżeczko! Nieduże, młodzieżowe, moje drewniane łóżko, rozkładane, które po opakowaniu grubym workiem nie zwróciło uwagi strażników; teraz jest jedynym meblem naszej zbiorowej sypialni. Wyścielone ubraniami – w braku materaca – służyło mnie i mojej siostrze do spania „na waleta”. Rodzice spali na betonowej podłodze, jak wszyscy wokół; potem łóżeczko wędrowało z nami przez kolejne baraki. W ostatnim - przed wyjazdem do kraju – zostało zaatakowane przez pluskwy, których nie dało się zwalczyć. Barak zbudowano na prędcie z drewnianych bali, uszczelnionych mchem i ta plaga – pluskwy – tam rezydowały. W marcu 1946 roku, gdy opuszczaliśmy ten zapluskwiony barak, łóżeczko zostało w opustoszałej izbie, już jako „zabytek” – ślad naszego niełatwego życia na zesłaniu.

Wracam do pierwszych tygodni naszego pobytu w Barnaule. W barakach przeznaczonych do suszenia cegły mieszkaliśmy do pierwszych mrozów, które przyszły w październiku (zimy tam są ostre i długie). Udruką w tym czasie było przygotowywanie posiłków, oczywiście z produktów zabranych przy deportacji. Żeby coś ugotować, trzeba było iść do dołów po wybranej glinie i tam rozpalać ogień między dwoma ceglami, pod garnkiem. Wracając do baraku któregoś dnia z ugotowaną strawą, upadłam na rżysku i

zraniłam nogę. Zmyłam krew z ziemią i czekałam na powrót mamy. Kiedy wróciła, okazało się, że nikt nie ma jodyny ani innego środka, którym można by ranę zdezynfekować. Na drugi dzień mama poszła do miasta, do apteki, ale nim wróciła wieczorem, bandaż z lnianej szmatki przysechł i bardzo bolało oderwanie go od wielkiej rany. Rana goiła się przez parę miesięcy, a blizna pozostała do dziś. Nie mieliśmy żadnej opieki lekarskiej przez te pięć lat na zesłaniu, nie licząc przyznanej pod koniec, po wojnie, możliwości korzystania z odległej o parę kilometrów przychodni. Raz chciała z niej skorzystać nasza mama z młodszą siostrą; siostra zemdliała w zatłoczonej poczekalni, dzięki czemu lekarz ją zbadał.

Wkrótce przeniesiono nas do innego baraku tej samej cegielni. Były tam ściany dzielące go na mniejsze pomieszczenia i piętrowe przyce („nary”), a obok Polaków mieszkali w nim również Litwini. W październiku opuściliśmy cegielnię („kierpicznyj zawod”) i przeniesiono nas do naprędce zbudowanych baraków dla uciekinierów. Słyszało się, że co parę dni przyjeżdżają pociągi z mieszkańcami miast zachodnich ZSRR, ewakuowanymi z zakładami pracy. Uciekali przed Niemcami, zajmującymi kolejne duże miasta sowieckie; trwała wojna. Baraki były otynkowane, ale zimne i zawilgocone. W naszej izbie był piec kaflowy, ale brakowało opału, a gnieździły się tam trzy rodziny. Przyszła epidemia odry, opieki lekarskiej nie było, dzieci masowo chorowały. Niemal codziennie wynoszono trumienki ze zmarłymi na odległy syberyjski cmentarz. Tej strasznej zimy nasza dzielna mama zdobyła nowe mieszkanie, na innym osiedlu, zwanym Tec. Tam były piętrowe baraki z drewnianych bali, suche. Nasza izba była malutka. Ledwo udało się w niej ustawić nasze łóżeczko i dwa „kosze”, na których sypiali rodzice. Była to trzecia przeprowadzka, a latem 1942 roku czekała nas kolejna – czwarta i w Barnaule – ostatnia.

Ojciec pracował fizycznie na budowie. Po wypadku, który go spotkał w drodze z pracy, otrzymał przeniesienie do kolchozu odległego o kilkanaście kilometrów (ojciec był agronomek). Przyjeżdżał tylko na niedziele, pokonując z przewoźnikiem wartkie wody szerokiej rzeki Ob, bo kolchoz był położony za rzeką. Któregoś dnia, latem 1942 roku, nasza mama, wracając z miasta, spotkała na dworcu kolejowym Polaków, jadących do polskiej armii, tworzonej staraniem gen. Władysława Sikorskiego. Ojciec szczęściem był u nas, popędził na stację i zabrał się z tymi rodakami. Na wiele lat straciłyśmy z nim kontakt; dziś wiem, że przez Persję dotarł do Afryki, po przejściu ciężkiej malarii został zdemobilizowany z kategorią D. Nad jeziorem Wiktorii, w sercu Afryki, uczył w polskim gimnazjum chemii i fizyki. Uczennicę naszego ojca, z afrykańskiego osiedla Koja, spotkałam przypadkowo w Kanadzie, w Toronto. Kiedy likwidowano osiedle w 1948 roku, ojciec miał do wyboru: mógł jechać do Anglii, do Kanady lub do Polski. Wybrał powrót do kraju, gdzie był źle traktowany, jako żołnierz gen. W. Sikorskiego.

Powstała w Barnaule tzw. Delegaturę utworzono w naszym osiedlu, w tym baraku, gdzie przeżyliśmy zimę. Nas przeniesiono do sąsied-

niego, do większej izby, dzielonej z dwiema samotnymi paniami. Izba była narożna. W zimie jedna ściana pokrywała się grubą warstwą lodu, przymarzał do niego dywanik nad łóżkiem. Ten dywanik, „tkanina ludowa” według katalogu, znajduje się dziś w Kolekcji Sybirackiej Muzeum Niepodległości na Cytadeli.

Dzięki porozumieniu Sikorski – Stalin, zorganizowano w polskich osiedlach przedszkola. W naszym były dwie grupy wiekowe: 6 – 8 lat i 8 – 12 lat, było też nieco „dożywiania”. Byłam w starszej grupie, czytaliśmy na głos polskie książki (pamiętam Sienkiewicza), graliśmy w gry zespołowe. Zaczęła napływać żywność z UNRR-y, między innymi mleko w proszku, fasola w puszkach. Ojca nie było, mama pracowała (była nauczycielką), ja musiałam jej pomagać. Jednej zimy pracowałam dorywczo z innymi polskimi dziewczynami w fabryce konserw. Dostawałyśmy jakieś kopiejkę oraz kości, głównie nóżki baranie, z których gotowało się wywar. Jadało się też tzw. makuchy – wytłoczyny, sprasowane odpadki po produkcji oleju słonecznikowego. Po wodę chodziło się daleko. Czasami udało się wycygnąć wiadro od dziewczyn z sąsiedniego „poprawczaka”. Chleb był na kartki, 400 gramów na osobę dziennie, po wystaniu w długich kolejkach. Trochę jarzyn przynosiło się z dalekiego kolchozu, z wymiany za bieliznę pościelową, czy ręczniki, lub inne rzeczy tego rodzaju.

Bardzo smutny był dzień, gdy przyszła wiadomość o śmierci gen. W. Sikorskiego. Delegaturę zamknięto, ustała wszelka pomoc UNRR-y. Potem powstał w Barnaule Związek Patriotów Polskich, kojarzony z Wandą Wasilewską, znaną nam z „Płomyka”. Utworzono szkołę dla polskich dzieci. Do tej szkoły chodziłam do IV, V i VI klasy. Ożywiło się życie kulturalne naszej polskiej grupy, powstał chór szkolny i zespół taneczny. Ja byłam w zespole recytatorskim, gdy my – Polacy uzyskaliśmy dostęp do rozgłośni radiowej. Pierwsza polska audycja, to była krótka pogadanka i wiersz pt. „Co to jest Polska?”, deklamowany, a właściwie odczytany przeze mnie. Jak wypadła audycja – nie wiem, bo nikt w osiedlu nie miał radia. Ponieważ miałam dobrą opinię u pani od polskiego, włączyła mnie do zespołu redagującego gazetkę. Kiedy zaczęto mówić o zbliżającym się terminie powrotu do Polski, pani polonistka zaproponowała, abym napisała artykuł do ostatniego numeru gazetki, związany tematycznie z naszym powrotem do kraju. Napisałam, jak proponowała, a że się jej podobał, poleciła abym odczytała go na ostatnim spotkaniu naszej młodzieży, klas V-VII. Kiedy skończyłam czytać i spojrzałam na słuchaczy, zauważyłam, że wielu z nich po prostu płacze.

Po załatwieniu formalności związanych z powrotem do Polski (niestety nie wszyscy mogli wrócić, była ostra selekcja), nadszedł ten dzień radosny, gdy załadowaliśmy się do wagonów. Podróż była podobna do tej sprzed pięciu lat: wagony towarowe z dziurą w środku, w charakterze ubikacji, piętrowe prycze – ale drzwi nie były zamykane przez uzbrojonych wartowników. Zaś kolejarze, którzy obsługiwali nasz bardzo długi pociąg odzywali się życzliwie, żartując po białorusku, lub po polsku.

Miałam już 14 lat. Czasem szłam z dorosłymi po „kipiatok” lub zupeć, pomagałam nieść wiadra. Gdy kolejarze mówili po polsku – to był znak, że zbliżamy się do nowej polskiej granicy.

Podróż trwała kilka tygodni. Nie zauważyłam, czy i kiedy przejechaliśmy przez Woropajewo, gdzie formowany był nasz pociąg przed pięciu laty. Nie pamiętam formalnego przekroczenia granicy sowicko – polskiej, ale pamiętam, jak pociąg stanął na pierwszej polskiej stacji. A więc za nami pozostał koszmar zesłania – a co będzie przed nami, to się okaże; będzie to na pewno lepsze życie w wolnym kraju.²

² Opracowała do druku Krystyna Żemralska.

IRINA NIKULINA

ROLA POLSKICH ZESŁAŃCÓW W ŻYCIU KULTURALNYM ZACHODNIEJ SYBERII W XIX WIEKU

Obecnie dysponujemy konkretnym, zebrany i uogólnionym materiałem historycznym dotyczącym historii polskich zesłań na Syberię. Temat ten nadal budzi zainteresowanie, ma wiele aspektów i nie traci aktualności, ponieważ zakres omawianych problemów i konkretnych kierunków badawczych ciągle się zmienia. Rosyjscy i polscy historycy, którzy zajmują się tymi problemami osiągnęli spore sukcesy w badaniu historii polskich zesłań politycznych w XIX wieku.

Duży wkład w badanie historii Polaków na Syberii wniosły materiały międzynarodowych konferencji naukowych „Syberyjska Polonia: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość” (Tomsk 1999), „Syberyjsko-polska historia i współczesność: aktualne problemy” (Irkuck 2000), „Kościół katolicki na Syberii: historia, współczesność, przyszłość” (Wrocław 2001), „Polsko-rosyjskie więzy kulturalne na terytorium Syberii” (Tomsk 2002), „Powstanie 1863–1864 roku. Walka, polityka, represje, historiografia i tradycja” (Warszawa–Kielce 2003), „Rosja–Polska: dyskurs filologiczny i historyczno-kulturalny” (Magnitogorsk 2005) i inne. Na konferencjach tych poruszano nowe tematy w wieloaspektowej historii Polaków na Syberii. Do zbadania jednak pozostaje jeszcze wiele ważnych problemów. Niewątpliwie badanie historii polskich zesłań politycznych na Syberii nie zostało jeszcze zakończone, co otwiera nowe perspektywy dla planowego, pogłębionego i wszechstronnego przedstawienia tematu. Według tego co wspominał uczestnik ruchu rewolucyjnego lat 60. XIX wieku Ł.F. Pantielejew polscy zesłańcy „w ogromnej większości stanowili element społeczeństwa o wysokiej kulturze”,¹ czego potwierdzeniem był pobyt polskich zesłańców na Zachodniej Syberii.

Jak wiadomo, wielu polskich zesłańców prowadziło działalność kulturalno-oświatową. Mimo zakazów i ograniczeń organizowali biblio-

¹ Ł.F. Pantielejew, *Wospominanija*, Leningrad 1958, s. 561.

teki lub czytelnie (jak np. księża W. Gromadzki i I. Dawydowicz), stając się w ten sposób strażnikami tradycji narodowych, kultury i języka. Jednocząc rodaków wywierali wpływ na rozwój duchowy regionu. Architektura kościołów katolickich jest nieodłączną częścią oblicza syberyjskich miast. Ł. Juszcuk podkreśla znaczny „wpływ polskich przesiedleńców i zesłańców na kulturę miejską Syberii, kształtującą się na przełomie XIX i XX wieku”.² Niewątpliwie kościoły katolickie wносиły do architektury miast Zachodniej Syberii elementy zachodniego budownictwa religijnego i przyczyniały się do wzbudzenia zainteresowania miejscowej ludności kulturą Zachodu. Bez wątplenia polscy duchowni katolicy wywierali znaczny wpływ na rozwój regionu dzięki temu, że organizowali życie duchowo-religijne miejscowych katolików i jednoczyli rodaków, co pozwoliło choćby na częściowe odtworzenie atmosfery charakterystycznej dla polskiego społeczeństwa i ułatwiło życie na obczyźnie.

Mimo dość obszernego opisywania tematu polskich zesłań na Syberię³ w pracach badaczy kwestie położenia i adaptacji polskich zesłańców na wygnaniu, zawierania małżeństw mieszanych, stosunków wzajemnych z lokalną administracją i ludnością nadal wymagają badań i zaangażowania nowych kompleksowych materiałów źródłowych. Szczególne zainteresowanie budzą prowadzone zarówno przez zawodowych historyków, jak i przez działaczy polonijnych, badania historii różnych diaspor na Syberii, przyczyniające się do odrodzenia i rozwoju tradycji kulturowych regionu.⁴ Nowe perspektywy w badaniu tego problemu stwarza niewątpliwie kwestia syntezy kultur Zachodu i Wschodu w ramach regionu zachodniosyberyjskiego w XIX wieku na przykładzie uczestników rosyjskiego i polskiego ruchu wyzwolenczego i miejscowej ludności. Będzie to przyczyniać się do kształtowania obiektywnego stosunku do Syberii, do zmiany tradycyjnego stereotypowego wizerunku Syberii jako miejsca zesłania.

Historyczne losy narodów Rosji i Polski przez wiele stuleci były ze sobą ściśle powiązane. Jednocześnie jest to historia kształtowania się podstaw stosunków międzypaństwowych, wzajemnych wpływów i wza-

² Ł.A. Juszcuk, *Architektura rymko-katoliczeskich cerkwi w gorodach Sibiri i na Dalniej Wostokie (XIX – naczalo XX ww.)*, [w:] *Sibirskaja polonija: proszloje, nastojaszczaje, buduszczaje. Materialy miezdunarodnoj nauczno-prakticzeskoj konfierencii*, Tomsk 20-23 maja 1999 g., Tomsk 1999, s. 98.

³ B.S. Szostakowicz, *Istorija polakow w Sibiri (XVII – XIX ww.)*, Irkutsk 1995; *ibidem*, *Uzłowyje problemy istorii polakow w Sibiri (koniec XVIII – koniec XIX ww.)*, rozprawa doktorska, Moskwa 1997; S.G. Piatkowa, *Polskaja politiczeskaja ssylka w Zapadnoj Sibiri w porieformiennyj pieriod*, rozprawa doktorska, Omsk 2004 i in.

⁴ I.N. Nikulina, *Iz istorii priebywanija polakow na Altaje (60-je gg. XIX w.)*, „Diaspory” 2004, nr 4, s. 83-98; W.A. Skubniewski, *Polaki na Altaje (XIX – naczalo XX wieka)*, [w:] *Polskaja intielligencija Sibiri XIX-XX ww.*, Krasnojarsk 2007, s. 69-74; W.A. Chaniewicz, *K istorii polskoj kolonii Tomaska konca XIX – naczala XX*, *ibidem*, s. 119-125 i in.

jemnego wzbogacania kultur, uwarunkowanego ścisłymi i stałymi kontaktami miejscowej ludności i ludzi zesłanych na Syberię. Niewątpliwie kultura była silnym ogniwem łączącym oba narody, kształtującym nowe oblicze duchowe i stosunki wzajemne. Kultura stosunków między narodami, opisywanie zgromadzonego historycznego doświadczenia kontaktów międzyetnicznych i międzynarodowych, kształtujących się w wyniku wielowiekowej współpracy ludzi, stanowią nieodłączną część życia współczesnego społeczeństwa.

W chwili obecnej uwaga wielu naukowców skupiona jest na badaniu życia duchowego ludności, na problematyce religijno-wyznaniowej, badaniu wzajemnego oddziaływania religii i społeczeństwa. Czynniki te nabierają coraz większego znaczenia z powodu rosnącej roli cerkwi w życiu Rosji. W związku z tym oczywista staje się potrzeba badania ogólnego obrazu życia religijnego Syberii w XIX wieku, w tym również stosunku różnych grup zesłańców politycznych do religii i kościoła, co po raz pierwszy zostało poruszone przez autorkę w odniesieniu do takich kategorii zesłańców jak dekabryści i uczestnicy polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego z lat 30.-60. XIX wieku.⁵

Właśnie teraz, kiedy czynnikowi ludzkiemu w historii i kulturze poświęca się coraz więcej uwagi, należy przystąpić do stworzenia portretów historycznych wybitnych przedstawicieli polskich zesłańców politycznych w regionie. Pilne staje się zadanie opublikowania kompleksu źródeł historycznych dotyczących historii polskich zesłań politycznych, wydania indeksu tematycznego i indeksu bibliograficznego związanego z zesłanymi Polakami. Poza tym konieczna jest koordynacja wspólnych działań historyków Rosji i Polski w badaniu tego tematu, utworzenie odpowiednich ośrodków naukowych na Syberii, co było wielokrotnie poruszane przez znanych badaczy tego tematu.⁶ Podsumowując ten szkic podkreślić trzeba, że dalsze badania opisanych problemów pozwolą na stworzenie całościowego obrazu roli Polaków w życiu kulturalnym Zachodniej Syberii w XIX wieku.

Tłumaczyła Ewa Rybarska

⁵ I.N. Nikulina, *Religija i političeskie ssylnyje Zapadnoj Sibiri w XIX w. (20-je – pierwaja połowina 70-ch gg.)*, Barnauł 2004 i inne prace autorki.

⁶ B. Szostakowicz, *Sibirskaja istorija polakow: dostiženija i zadaczi*, „Sibirskaja starina” 1997, nr 12 i inne prace autora.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Gryzelda Nizioł Lachocka – *Niezapomniane jutro*

Autorka tej relacji urodziła się na Polesiu w osadzie wojskowej w rodzinie siedmiorga dzieci. Z wybuchem wojny w 1939 roku, Gryzelda mając osiem lat, skończyła dwie klasy szkoły powszechnej. Wywieziona z rodziną do Rosji na Syberię 10-tego lutego 1940 roku, spędziła dwa lata w okropnej nędzy i głodzie. Z chwilą amnestii, rodzina opuszcza północną Syberię, aby zacząć pracę na roli w sowchozie blisko Taszkientu. Podróż w towarowym pociągu trwała trzy miesiące. Publikowany poniżej tekst pochodzi z książki G. Nizioł Lachockiej pt. *Niezapomniane jutro*. „*Kto przeżyje wolnym będzie, a kto umarł, wolny już*”, Lawrenceville, Virginia 23868 USA, 1999. Przedruk w „Zesłańcu” za zgodą Autorki. (red.)

*

Weześnie rano dochodzimy do miasta, które nazywa się Archangielsk. Tam zbierają nas wszystkich w ogromnym teatrze, z którego usunięto wszystkie siedzenia. Teatr ten chyba nigdy nie był świadkiem tak wielkiej tragedii ludz-

kiej. Nigdzie nie można się ruszyć, bo można się zgubić. Nawet wyjście do ustępu wymaga wielkiej odwagi. Organizują nas w grupy i wysyłają do „bani”. Ludzie cieszą się, że w końcu będą mogli się wykapać. Popędzają, pchają tą „polską swołocz”, którą trzeba nauczyć trochę kultury. Także żeby nas trochę odwszyć, więc zabierają wszystkie ubrania do dezynfekcji. Po kąpieli nikt nie może się ubrać, bo przy gorącej parze wszystko się pokurczyło.

W takim opłakanym stanie prowadzą nas do restauracji, gdzie przy stołach dają nam gorący posiłek. Po tak długiej podróży głodni, zmarznięci, nie ma dziecka, które by nie było chore. Tadzik ma wysoką gorączkę i całą głowę pokrytą wrzodami. Między chorymi przewijają się siostry sanitarne i niektórych zabierają do szpitala. Chcą zabrać Tadzika, ale mama nie chce go samego puścić. Jak go zabiorą, to może go nigdy już więcej nie zobaczymy. W końcu pozwalają mamie jechać razem z Tadzikiem. Brońcia musi wziąć cały ciężar rodziny na siebie. Coraz to nowa grupa ludzi znika. Nikt nie wie gdzie jadą. Przyszła kolej i na nas, ale nie chcą nas wszystkich razem zabrać. Każą Brońci jechać najpierw. Teraz Emcia, która ma zaledwie piętnaście lat, musi opiekować się czterema młodszymi siostrami.

Wpakowano nas na jakiś pojazd. Nie pamiętam już co to było, bo począwszy od autobusów, ciężarówek, sanek i na piechotę, przetransportowali ludzi z Archangielska. Jechaliśmy bardzo długo. Późno w nocy, a musiała to być niedziela, bo nikt nie pracował, zrzucano nas w jakimś warsztacie. Ciemno i zimno. Skurczyliśmy się na podłodze i próbowaliśmy zasnąć. Wszystkie byłyśmy chore i miałyśmy rozwolnienie, a nie było ustępu. Na dwór też nie było można wyjść, bo drzwi były zamknięte. Zwycięska armia obawiała się, że ta nasza piątka dzieci ulotni się z ich Raju.

Rano, gdy robotnicy przyszli, musieli najpierw zabrać się do sprzątania. Krzyczeli na nas i myślałyśmy, że będą nas bić. Oni rozpalili piec, stopili śnieg na wodę i zagotowali „czaj”. Nam kiszki grały marsza, ale co się ktoś zbliżył do nas, to my wszystkie w płacz. Był tam jeden bardzo stary robotnik, który nazywał się Grysza. On postanowił się nami zająć. Chcąc nas zabawić zaczął wyjmować swoje sztuczne szczęki i podrzucać je w górę. Gapiłyśmy się z zaciekawieniem, bo żadna z nas nigdy nie widziała sztucznych szczęk. To nas trochę udobruchało i już nie bałyśmy się ich tak bardzo. Zaczęli się nas pytać skąd my jesteśmy i jak dostaliśmy się tu. Żadna z nas nie znała rosyjskiego, więc trochę słowem, trochę rękoma, nim dowiedzieli się, że my jesteśmy wysiedleńcami z Polski, a my – że jesteśmy na Syberii. Już więcej nie bałyśmy się ich i łączywie złapałyśmy szklanki herbaty z cukrem na „prykusku”. Dali nam także po kawałku chleba, a później zawiadomili komendanta obozu, który przyjechał sankami zabrał nas do obozu „zakluczonych”.

Pokój, który dostałyśmy, był także pokojem Brońci, która teraz pracowała w cegielni. Bardzo ucieszyłyśmy się, gdy wieczorem przyszła z pracy. Byłyśmy znowu razem. Nasz barak miał dużo takich pokoików. Gołe ściany. Okno pod sufitem. Jedna żarówka na korytarzu. Było także jedno żelazne łóżko, ale bez materaca.

W tym samym baraku była nasza sąsiadka Ignalowa, ale już tylko z trojgiem dzieci. Reszta zmarła w podróży. Przy końcu baraku była malutka klatka. Ta klatka służyła za pokój dla starszej, zupełnie niedołożnej kobiety, którą znałyśmy z naszej osady. Rodzina zostawiła ją, żeby nie była im ciężarem. Ona tam tymczasowo zamieszkała.

Rano Brońcia z Emcią muszą iść do cegielni do pracy. One mieszają glinę na cegły. Michalina mając lat trzynaście, zabiera Helenę, mnie i Józia do kolejki po chleb. Co zbliżymy się do sklepu, to nas odepchną i tak przestałyśmy pół dnia, aż się chleb skończył i zamknięto sklep. Wracamy do baraku bez chleba. Po drodze nabieramy do czajnika gorącej wody. W baraku dodajemy trochę soli i to nasz posiłek na cały dzień. Brońcia z Emcią wracają z cegielni głodne i zmordowane, a tu nic nie ma do jedzenia. Wszyscy płaczą z rozpacz. Brońcia poucza nas jak trzeba stać w kolejce i przyrzekamy, że jutro pewnie kupimy chleba. Wieczorem przychodzą dwie młode Rosjanki i mówią, że potrzebują dziewczynki do pilnowania dzieci. Mówią, że Michalina i Helena są jak raz dobre, więc przyjdą jutro je zabrać. Nikt nic nie miał do powiedzenia, więc czekałyśmy na jutro. Ja się jedynie martwiłam, bo teraz sama będę musiała stać po chleb.

Tak się tym przejęłam, że nie mogłam zasnąć. Brońcia z Emcią kompletnie wyczerpane z sił, śpią skurczone pod ścianą. Pod drugą ścianą śpi Michalina z Heleną. Józia i ja zajmujemy resztę miejsca. Nagle słyszę stuk do drzwi. Boję się ruszyć. Coś się obsunęło po drzwiach i słyszę bardzo słaby głos: „Bronieczka, Bronieczka, otwórz drzwi i wpuść mnie, bo mnie wyrzucili z mego pokoju”. Była to ta starsza sąsiadka, którą rodzina zostawiła. „Bronieczka, Bronieczka, wpuść. Jak wrócimy do Polski to ci odpiszę całą gospodarke”. Jej głos był tak słaby, a Brońcia tak okropnie zmęczona wcale jej nie słyszała i wcale się nie ruszyła. Kobieta coraz to więcej obiecała, aż w końcu ucichła. Ja myśląc, że ona odeszła, zasnęłam. Rano, jak Brońcia otworzyła drzwi, to zastała ją zamarzłą w siedzącej pozycji. Brońcia idąc do pracy, zawiadomiła komendanta o śmierci tej nieszczęśliwej kobiety. Gdyby rodzina wiedziała, że ona tak szybko umrze, to może by jej nie zostawili, a teraz niech ich męczy sumienie.

Żaraz po odejściu Brońci i Emci do pracy, przyszły te „kacapki” i zabrały Michalinę z Heleną. Michalina miała być w następnej wiosce, ale Helena pojechała aż do Archangielska. Czy one kiedykolwiek wrócą do nas? Nie wiadomo. Zakup chleba i kolejka jest wyłącznie moją odpowiedzialnością. Idę sama. Nie budzę Józia, bo nie ma co jeść, a poza tym nie muszę się nią opiekować, to może dam radę kupić trochę chleba. Choć było jeszcze bardzo wcześnie, kolejka była już bardzo długa. Stałam i nie pozwoliłam się usunąć. Coraz więcej ludzi przybywało i zrobił się straszny tłum. Trochę się tym ucieszyłam, bo byłam prawie w środku i już tak nie marzłam, ale będąc bardzo mała, byłam coraz to bardziej ściśnięta i zaczęło mi brakować tchu. Nie pamiętam kiedy otworzono sklep, bo ja znalazłam się na podłodze z krwawiącym nosem i ludźmi przestępującymi przeze mnie. Płakałam w niebogłoso, bo straciłam kolejkę i znowu była mała nadzieja kupna chleba. Na całe szczęście jedna ze sklepowych podszła do mnie, obtarła mi nos i wzięła mnie na sam początek kolejki. Kupiłam dwie bułki chleba i z radością pobiegłam do domu. Później wzięłam wiadro i poszłam po gorącą wodę. Jak Brońcia z Emcią wróciły z pracy to cała nasza czwórka miała skromną kolację. Codziennie nabierałam wprawy i teraz zakupy szły mi dość sprawnie. Jak się znalazł jakiś ekstra rubel, to nawet poszłam do stołowni żeby kupić porcję zupy, którą później rozrabiało się wodą, żeby wszystkim starczyło i tak żyło się z dnia na dzień.

Na Syberii wiosna przychodzi bardzo późno. Ledwo stopił się śnieg, cała przyroda jakby na wyścigi pokryła się zielenią. Kwiaty polne rozkwitały w oczach. Niedaleko naszego obozu był ogromny las, gdzie było wiele różnych ja-

gód, grzybów i zwierzyny. Choć nasz obóz był obozem więźniów, cały ogrodzony z wieżami, w których byli strażnicy z bronią, ludziom nie bronili iść do lasu. Dobrze wiedzieli, że kto by chciał uciec, to albo go zjedzą wilki, albo komary. Poza bramą był cmentarz i ludzi w obozie ubywało, a cmentarz rósł. Rodzina Ignalów kompletnie wymarła. Nie było dnia bez pogrzebu, tak że ruch w obie strony był bez żadnych przeszkód.

Drogą z Archangielska szła mała grupka ludzi z workami na plecach. W grupie tej była nasza mama, ale Tadzika nie widziałam. Wystraszyłam się, że on umarł. Dopiero później zauważyłam, że idzie za mamą. Bardzo się ucieszyłam.

„Czy mama wiedziała, że my tu jesteśmy?”

„Nie, ale kazali nam iść w tym kierunku. Tadzik wyzdrowiał, a ja w szpitalu obsługiwałam chorych”.

W worku było trochę żywności i jakieś buty, które dostała mama w szpitalu. To był pierwszy dobry posiłek w naszym obozie i chyba Brońcia miała pierwszą noc, kiedy mogła naprawdę odpocząć. Mama też musiała pójść pracować do cegielni. Ma wózek, na którym mieści się 200 cegieł. Ma załadować te cegły na wózek i po szynach zepchnąć do szopy (szatr) i wyładować cegły na półki do suszenia. Brońcia też zaawansowała, bo zamiast mieszać glinę, to pracuje w szatrach. Zbiera wysuszone cegły i wozi je do wypalania. Ona bardzo się cieszy z tej pracy, bo w tych szatrach często chroni się bydło, więc ukradkiem doi krowy i pije mleko. Nawet kilka razy, po kryjomu, przyniosła trochę do domu. Gdyby ją złapali, to wywieźliby ją do gorszego obozu.

Latem dni są bardzo długie, więc po pracy wszyscy idą do lasu na jagody. Co za urodzaj! Przynosimy do domu całe kosze czarnych jagód, moroszek (jagody podobne do malin o pomarańczowym kolorze, bardzo smaczne) i grzybów. Jemy, przebieramy, przygotowujemy do sprzedaży, a rano idąc do pracy, mama, Brońcia i Emcia niosą pełne kosze pod „stołownię”. Ja siadam na schodach i sprzedaję. Jednego rubla za szklanekę jagód. Ludzie szybko rozkupują, a ja zadowolona lecę po chleb, a potem zupę. Teraz już nam głód tak nie dokucza. W sklepie można nawet kupić chałwę, śledzie i mydło, a czasem jakiś materiał na sukienkę lub bluzkę.

Zbliża się wrzesień i zapisują dzieci do szkoły. U nas tylko mnie przypada ten zaszczyt. Przyrzekli mamie, że Józię może wezmą później. Ja z chęcią idę do szkoły. W Polsce kończyłabym już trzecią klasę a tu idę do pierwszej. Wcale mnie to nie martwi. Szybko nauczę się pisać i czytać to wtedy będą musieli mnie dać do wyższej klasy. Dostałam nowe trzewiki, mundurek i czerwoną chustkę na szyję. Komsomoł, jakich mało. Początkowo idzie mi bardzo opornie, ale około Bożego Narodzenia jestem tak dobrą uczennicą jak każda Rosjanka i potrafię czytać i pisać. Na Nowy Rok przyszedł „Dziadzia Moroz”, i nawet dał nam jakieś słodycze.

W tym także czasie, a właściwie w wigilię Nowego Roku, Brońcia wychodzi za mąż. W naszym obozie było dużo młodzieży w Brońci wieku i romans może kwitnąć w najbardziej niesprzyjających warunkach. W sobotę po pracy Brońcia z Bronkiem poszli do „Kantory” (biura), zapisali się i zostali małżeństwem. Przyjęcie składało się z cebuli z chlebem. Była także wódka, ale z braku jedzenia po pierwszym kieliszku wszyscy byli pijani. Mama uważała, że to był bardzo rozsądny krok, bo Broniek był dobrym mechanikiem i teraz nasza rodzina będzie miała mężczyznę, który się nami opiekuje. Ta zima była

stosunkowo lekka do przetrwania. Ludzie nasuszyli jagód i grzybów, zakwasili kradzionej kapusty, ale ciągle brakowało mięsa.

Dostaliśmy mały domek, w którym był tylko jeden dosyć duży pokój i jedno okno. Mieszka tam Brońcia z mężem i cała nasza rodzina. W lecie ten domek był przyjemny, ale w zimie szron pokrył ściany i podłogę i woda zamarzała. Podłoga była z desek, w których były szpary i które leżały wprost na ziemi. Choć niby mamy cały dom – jedna izba – tylko dla nas, są nowe kłopoty. Przedtem do sklepu, stołówki i po wodę było kilka kroków. Teraz to wszystko jest kilometr dalej. Zanim kupię chleb i jakąś zupę i przyjdę do domu, muszę jeszcze iść z wiadrem po wodę. W lecie nie ma biedy. Zawsze biorę „kipiatok” (gorącą wodę), ale w zimie cała tragedia. Kipiatok można dostać tylko rano, a ja muszę iść do szkoły, a potem stać po chleb. Wodę muszę ciągnąć ze wspólnej studni. Zanim wyciągnę to połowa się wyleje. Idąc do domu trochę rozlewam, a reszta zamarza. Czasem muszę iść dwa razy, żeby przynieść wystarczająco na kolację i na śniadanie. O myciu i praniu nie ma mowy.

Za naszym domkiem było kartoflisko. Ja często biorę ze sobą Józję i Tadzika i tam niby się bawimy, ale właściwie szukamy kartofli. Kartoflisko to było strzeżone przez żołnierza na koniu. Raz znalazłam kilka kartofli, schowałam je do kieszeni, a tu zjawia się ten diabeł. Nie mogłam uciec. Kazał mi wyjąć wszystkie kartofle z kieszeni i powiedział, że jeżeli jeszcze raz mnie tu złapie, to zamknie mnie w „ciurmie” (więzieniu), bo okradam Związek Sowiecki.

Po Nowym Roku komendant obozu kazał mamie przyjść do kantory. Mama wzięła mnie za tłumacza i poszłyśmy.

„My weźmiemy Twojego syna i córkę do szkoły. Oni dostaną nowe buty i ubranie. Ty nie musisz się o nich martwić, bo oni będą mieszkać z dziećmi w ich wieku i będą mieć opiekę”.

„Gdzie jest ta szkoła? Dlaczego oni nie pójda do tej samej szkoły, do której chodzi Gryzelda?”

„My chcemy im dać lepszą szkołę i lepszą opiekę”.

„Ja chcę wiedzieć, gdzie jest ta szkoła i czy Gryzelda może być z nimi?”

„My możemy wziąć tylko Józję i Tadzika. Gryzelda jest za stara”.

„Ja nie puszcze ich samych. Jak Gryzelda nie może być z nimi, to oni nie pójda”.

Ja nie wiem, co mama myślała, co ja mogłabym zrobić jakbym pojechała z Józją i Tadzikiem.

„Ty dobrze o tym pomyśl, bo za tydzień my ich zabierzemy”.- zagroził komendant.

Rzeczywiście, po tygodniu znowu komendant zawołał mamę do kantory.

„Przyprowadź dzieci!” – rozkazał komendant.

„Ja już wam powiedziałam, że Józia z Tadzikiem sami nie pojada. Oni są za mali, żeby być bez opieki”.

„Jak ty im nie pozwolisz jechać to oni umrą z głodu. Jeszcze pożałujesz”.

„Oni sami nie pojada” – upierała się mama.

Komendant rozzłościł się: „ja ci mówię, że pożałujesz”.

Mama nic nie odpowiedziała. Na drugi dzień w szkole nauczycielka zawołała mnie i powiedziała: „tu już więcej nie możesz do szkoły przychodzić.

Jutro przynieś trzewiki i mundurek”. Tak się skończyła moja edukacja, a mamy porcja chleba została zmniejszona o sto gramów.

Przyjechała do nas jakaś Rosjanka z Archangielska i wzięła mnie do siebie, żeby pilnować jej dziecka. Ucieszyłam się, że może zobaczę się z Heleną. Józia teraz będzie musiała stać po chleb. Ta Rosjanka miała dwa pokoje, małą kuchenkę i łazienkę. Luksus! Sama była nauczycielką i miała przy sobie matkę. Dziecko miało zaledwie dwa miesiące. Cieszyłam się, że będę w cieple, suszy i będę miała co jeść. Niestety. Matka nie dała mi się do dziecka dotknąć. Kazała mi prać pieluchy w zimnej wodzie, myć naczynie i zamiatać podłogę. Pieluchy podobno prałam za brudno, a przy zamiataniu robiłam dużo kurzu. To było całe moje zajęcie i nie wolno mi było się ruszyć z pokoju. Spałam na podłodze pod kołyską, a jeżeli chodzi o jedzenie, to jadłam tylko rybę, która wyglądała jak sardynka, była bardzo tłusta i pływała w wodzie. Ani kruszyny chleba.

Po tygodniu tak się rozchorowałam, że nigdy nie mogłam dolecieć do ustępu. Pod koniec drugiego tygodnia wcale już nie wstawałam i w takim stanie odesłano mnie do obozu, a ja nawet nie wiem w jakim kierunku, albo jak daleko. Nauczycielka znalazła kilka osób, które szły kierunku Ujmy, tak się nazywała najbliższa wioska. Kazała mi się dołączyć do nich. Nie mając za wiele siły zostawałam daleko w tyle. Gdy trochę odpoczęłam musiałam biec, aby ich dogonić.

Wyszliśmy z samego rana, a tu już zaczynało się robić ciemno. Wreszcie ostatnia osoba opuściła mnie. W dali widać było światła więc kazała mi iść w tym kierunku. Szłam i przewracałam się w śniegu. Myślałam, że się utopię. Nie miałam wyboru to szłam wytrwale. Po drodze musiałam się ukrywać, bo napotkałam całą kolumnę czołgów. Wskoczyłam szybko w śnieg i zakopałam się po szyję. Długo tam siedziałam, aż ostatni czołg minął. Szybko odgrzebałam się i ostatkiem sił dotarłam do obozu. Jak opowiedziałam mamie dlaczego jestem w domu, to obie popłakałyśmy się.

Zapasy zimowe skończyły się i głód zaczął wszystkim dokuczać. Do nas docierają wiadomości o wojnie z Niemcami. Mówią, że Niemcy tak się szybko posuwają, że może dojdą do nas. Nasza wolność została bardzo ograniczona. W tym czasie Helena zachorowała na zapalenie płuc. Helena była długo chora, ale jej Rosjanka nie chciała jej wziąć do doktora, bo nie byłoby komu opiekować się dzieckiem. Dopiero jak Helena dostała silnej gorączki i nie mogła wstać, Rosjanka bojąc się, że dziecko może się zarazić, wzięła ją do doktora a doktor odesłał ją do szpitala. W niedzielę Brońcia pojechała do szpitala w Archangielsku, żeby ją odwiedzić. Tam też zobaczyła rannych żołnierzy. Kierowniczką szpitala zapytała się jej, czy nie chciałaby pracować w szpitalu, ale Brońcia już dosyć widziała trupów i ta praca by ją zupełnie wykończyła.

Po pracy komendant zawołał mamę do swojego biura. Mama wystraszona wlokła się z sercem na ramieniu. W biurze na stole leżała otwarta paczka. „Kto jest Gienia?” – zapytał komendant. Mama ledwo słyszalnym głosem powiedziała, że to Brońci koleżanka, z którą razem chodziła do szkoły. „Musiała być bardzo dobra koleżanka, skoro przysłała wam paczkę”. Mama prawie nie zemdlała. Paczkę dla nas? „Weź to wszystko, to jest twoje”. Mama pozbierała to wszystko w płaszcz i cała drżąca szła do baraku.

Co za dobroć ze strony Gieni. Ona zaledwie ukończyła siedem klas, ale dała radę odszukać nas i przysłać nam taki skarb, podczas gdy Mamy rodzina, wykształcona, ciągle stała pod bramą komendy rosyjskiej w Warszawie i nic nie

mogła się dowiedzieć. W paczce było mydło, herbata, cukier, słonina i mąka. Był to wielki skarb dla nas. Brońcia szybko odpisała list dziękując stokrotnie. Dostaliśmy jeszcze jedną paczkę od Gieni. Brońcia znowu napisała, ale nigdy nie dostaliśmy od niej żadnej wiadomości. Co za szlachetna osoba. Na pewno im się samym nie przelewało, a myśleli o nas.

Znowu zbliża się lato. Cieszymy się, że będziemy zbierać jagody. Gdy nasza chmara wyjdzie do lasu, to majestatyczne drzewa wydają się być zgorszone naszą śmiałością. Swoimi koronami przysłaniają niebo chcąc nas zmusić do zostawienia ich w spokoju. Nasze władze obozowe stały się bardzo tajemnicze. Dużo młodych strażników zniknęło. Ludzie starają się domyśleć co to wszystko znaczy. Każdy stara się złapać jakieś słowo i wyciągnąć z tego jakieś w nioski. Wreszcie dowiadujemy się, że Niemcy są pod Leningradem. Cieszymy się po cichu, że się zbrodniarze wzajemnie mordują, ale nie jesteśmy pewni jak to nas dotyczy.

Amnestia! Amnestia! Co to wszystko znaczy? Ludziom się w głowie miesza. Nikt nie chce wierzyć. Czy jesteśmy wolni? Tak, możemy wyjechać z Rosji. Wszyscy mężczyźni mogą zapisać się o polskiego wojska, które tworzy się na południu Rosji. Nikt właściwie nie wie gdzie się to wojsko tworzy, ale każdy chce jechać. Otworzyły się więzienia i kto tylko ma trochę siły, jedzie na południe. Odjeżdża także wiele rodzin z naszego obozu. Są to ci, którzy mają jakieś zapasy żywności, mogli sprzedać i kupić bilety kolejowe. My nie tylko, że nie mamy pieniędzy na kolej, ale nie mamy wystarczająco na chleb. Przy końcu miesiąca zamiast dostać wypłatę, to mama jest im zawsze winna.

Mama sprząta warsztat i ta praca jest o tyle dobra, że jest sucho i ciepło. O żywność coraz trudniej. Kilka kobiet szło na pole ścinać kapustę. Tadzik z Józją powlekli się za nimi. Tadzik nie miał siły iść za nimi w pole, więc przysiadł się przy pierwszej główce kapusty, zaczął łamać listki i jeść. Jak to zobaczył strażnik, przyleciał do niego i zaczął krzyczeć, a potem wziął kija i zaczął go bić gdzie popadło. Tadzik na swoje pięć lat był bardzo malutki i niesamowicie chudy. Nie miał siły, aby się bronić. Zostałby zabity gdyby Józja nie zauważyła i narobiła krzyku. Zaraz z kobietami przyleciały do Tadzika i zaczęły go osłaniać od ciosów. Wreszcie jedna kobieta złapała Tadzika na ręce i przyniosła go do baraku, a sama wróciła do pracy. Józja obtarła Tadzika z krwi tak jak mogła i zostawiła go w łóżku. Teraz Józję i Tadzika budziło się tylko wtedy, gdy było co jeść.

Ja wybieram się z kilkoma dziewczynkami na szczaw, ale musimy przekroczyć Dwinę. Nie ma żadnego mostu, za to na Dwinie jest spław drzewa. Lecimy po klockach i już jesteśmy na drugiej stronie rzeki na ładnej łące, pełnej szczawiu. Zbieramy tak szybko jak możemy, bo z dala zbliża się grupa „ruskich komsomołów”, którzy z daleka krzyczą, że nas potopią. Nam nie trzeba dwa razy powtarzać. My nogi zapas, a oni za nami. Niejeden cyrk poszczyciłby się naszymi wyczynami. Tylko trochę zamoczyliśmy się i znalazliśmy się na drugim brzegu, ale bez szczawiu.

Głód coraz bardziej nam dokucza. Ja znowu całymi dniami stoję w kolejce i rzadko kiedy mogę coś kupić. Jednego dnia przestałam cały dzień i dopiero pod wieczór dostałam trochę chleba. Po drodze nabrałam „kipiatku” i lecę do domu, żeby zbudzić Józję i Tadzika i dać im trochę jeść. Józję obudziłam szyb-

ko, ale Tadzika nie mogę się dobudzić. Trzępię nim, krzyczę i wreszcie wołam sąsiadkę na pomoc. Ona też próbuje i nic. Zagląda w oczy, bada puls, nic. Myślę, że on umarł. Ja w płacz i biegiem po mamę, ale nie wiedziałam dobrze, gdzie mama pracowała, więc krzyczałam całą drogę: mamó, mamó. Padałam po dołach, ale ciągle leciałam. W końcu znalazłam mamę, ale jeszcze nie był czas zakończenia pracy i nie chcieli mamy puścić. Ja zaczęłam krzyczeć, że Tadzik umarł, niech mama szybko idzie do domu. Wreszcie ubłagałyśmy kierownika i mamę puszczono. Tylko wyleciałyśmy z warsztatu i usłyszałyśmy gwizdek na zakończenie pracy. Leciałyśmy jak obłąkane. W tym czasie sąsiadka zaczęła Tadzika nagrzewać, nacierać, ruszać i po dłuższym czasie, Tadzik się obudził. Błędnyimi oczami wodził dookoła i nikogo nie poznawał. Mama miała trochę cukru, osłodziła gorącą wodę i dała mu się napić. Potem maczała chleb w słonej wodzie i dawała Tadzikowi. Później zagotowała trochę kaszy i wszyscy pożyliśmy się. W nocy często budziłam się i nasłuchiwałam czy Tadzik oddycha.

Głód był nie tylko u nas. Wszyscy cierpieli. Nie było już nawet co sprzedać. Mama wybiera się do pobliskiej wioski i jedyna rzecz jaką ma, to ślubna obrączka i do tego pęknięta. Nikt nie chce kupić. Wreszcie jedna kobieta zlitowała się nad mamą i dała trochę kartofli. Mama przywlokła się do obozu z tym skarbem i na kolację mieliśmy kartofle, ale nie obierane, żeby nic nie tracić. Ja nie tylko jestem głodna, ale zaczynam mieć koszmarne sny. Śni mi się, że mama czeka, żebyśmy wszyscy zasnęli, to nas wszystkich wyrznie. Podobne wieści słyszałam jeszcze jak byliśmy na osadzie. Staram się przed snem pochować wszystkie noże. Teraz mama nie może się przewrócić, żeby ja nie słyszała. Kilka razy w nocy wstaję i nadśluchuję czy wszyscy żyją. Dopiero jak mama pójdzie do pracy, to ja mogę trochę zasnąć.

Jestem wyczerpana głodem i brakiem snu. Kilka kobiet idzie do lasu na jagody. Ja wybieram się z nimi, ale jestem tak słaba, że co chwila przysiadam, a potem muszę ich szukać, żeby się nie zgubić i nie mam czasu na zbieranie jagód. Pod wieczór wracam do domu z pustym koszykiem ku rozpaczycie mamy. Znowu nie śpię całą noc. Mama dostała małą zaliczkę. Szybko poszłam w kolejkę i kupiłam chleba, a w drodze powrotnej kupiłam talerz zupy. To nas trochę posiliło i po pracy mama, Brońcia, Emcia i ja poszliśmy na jagody. Nazbierałyśmy pełne kosze jagód i grzybów. Teraz cała rodzina będzie miała co jeść.

Na drugi dzień Brońcia, Emcia i ja pojechaliśmy do Archangielska, żeby sprzedać jagody. Ta jazda wyglądała tak. Nasz obóz, pierwszy – *kierpiczny zawod* – nie miał żadnego transportu. Do drugiego obozu trzeba było iść na piechotę z tymi koszami. To było około osiem kilometrów. Z drugiego obozu jechało się tramwajem do portu nad Dwina, skąd trzeba było wsiąść na statek do Archangielska. W Archangielsku sprzedałyśmy jagody bardzo szybko i kupiłyśmy kilka bułek chleba, tak że każda z nas miała worek na plecach i tak jechałyśmy do domu. W drugim obozie zafundowałyśmy sobie po talerzu zupy, którą jadłyśmy z naszym chlebem. Po naszym powrocie do domu była wielka radość. Pierwszy raz od dawna przespałam całą noc.

Mało kto choruje, ale codziennie ktoś umiera. Rodziny trzymają to w tajemnicy, żeby trochę dłużej pobierać chleb. Po czasie wykrywa się „zbrodnia” i cała rodzina zostaje ukarana odebraniem kartek żywnościowych przynajmniej na tydzień.

Ja dostałam się do jakiejś rodziny, by opiekować się trzymiesięcznym dzieckiem. Matka była w wojsku i cały czas przebywała w koszarach. Do dziecka zaglądała tylko raz na tydzień. Nie mam pojęcia jak sobie dawałam radę, w każdym bądź razie, matka była bardzo zadowolona, a dla nas była to wielka pomoc, bo mamę przenieśli do mniej płatnej pracy. Ja oprócz jedzenia i mieszkania, dostawałam miesięcznie 20 rubli. Kilogram chleba kosztował jeden rubel i pięć kopiejek. Mój zarobek odnosiłam do domu, albo mama przychodziła i zabierała. Wolałam, żeby mama przyszła, bo to było dosyć daleko i droga prowadziła przez cmentarz. Idąc do domu zawsze biegłam z duszą na ramieniu. Czasem nawet musiałam uciekać od wilka.

U nas w rodzinie pracuje mama, Brońcia, Broniek i Emcia. Michalina, Helena i ja jesteśmy u Rosjanek. Nie pracuje tylko Józia i Tadzik. Pięć osób pracuje, a jak przyjdzie wypłata, to nie ma pieniędzy, żeby robotnikom zapłacić. Za co kupić chleb? Teraz nie tylko ludzie pracują w cegielni, ale całą sobotę i niedzielę muszą pracować w polu przy kopaniu kartofli i zbieraniu innych jarzyn. Ludzie mdleją z głodu. Brońcia pracowała jak szalona myśląc, że będzie mogła wziąć trochę kartofli do domu. Po południu była tak wyczerpana, że zemdląca. Resztę dnia przeleżała, aby nabrać siły do powrotu. Gdy przyszło do zapłaty, kilka marchwi i kartofli były całą jej zapłatą. Po powrocie do domu, Brońcia zbuntowała się i powiedziała, że więcej do pracy nie pójdzie, aż jej nie zapłacą za to, co są jej winni. Ona „potrzebuje pieniędzy na chleb. Miała dużo poparcia od innych robotników, ale ją uważali za organizatorkę, więc zamknęli ją w więzieniu na trzy miesiące. Mama z Bronkiem w rozpacz, ale jeden policjant, który był bardzo przychylnie nastawiony do Polaków, zapewnił mamę, że Brońci w więzieniu będzie lepiej niż w obozie, bo będzie miała ciepło i co jeść. On też nauczył nas jednej piosenki, ale ostrzegwał, żeby nie śpiewać jej na głos, bo mogą nas srogo ukarać.

Pogibniesz Rosija, puskaż pogibajet,
Ona proihrała wojnu.
Oni wojowali, karman nabiwali,
A nam prysyłali sucharow.
Pogibniesz towariszcz, pogibniesz w okopach,
Podajcież liż chleba, wody,
Da liż podajcie kusoczok bumagi,
Piśmo do rodiny napisać...

Gdy mama przyszła z pracy, to my chcieliśmy się pochwalić nową piosenką. Mama aż zbladła, gdy to usłyszała: „Nigdy, jeszcze raz mówię, nigdy, nie śpiewajcie tej piosenki bo nas wszystkich wymordują!”

Ci, co pracowali na roli, to w czasie dnia ścinali kapustę i układali w dołach wysłanych słomą, żeby kapusta skwaśniała. Dobrze pamiętali, gdzie są te doły. Ta kapusta miała być dla bydła, a ludzie umierali z głodu. To samo było z kartoflami. Jak się skończyły żniwa, to ci sami robotnicy co zakopywali kapustę i kartofle, zaczęli po nocy odkopywać te doły i kraść. Była to bardzo niebezpieczna praca i tylko w ten sposób ocalili swoje rodziny.

Komendant kazał mamie zabrać wszystkie dzieci do domu i zawiadomił wszystkie rodziny rosyjskie, żeby odesłały polskie dzieci. Ja zaczęłam się zbierać. Do swoich podartych butów włożyłam słomę, nałożyłam na nogi i obwiąza-

łam sznurkiem. Gdy ona to zobaczyła, kazała mi to szybko zdjąć i dała mi swoje walonki. Były to bardzo ładne wełniane, długie buty.

„Weź te walonki, a jak dojdiesz do domu to niech twoja matka przynieś je z powrotem, bo to tylko jedyne jakie mam”.

Byłam jej niezmiernie wdzięczna, bo było bardzo zimno. Na drugi dzień mama odniosła jej walonki z podziękowaniem. Kazano nam się przygotować do podróży na południe, bo wysyłają nas do sowchozu. Ten sowchoz miał być w okolicy Taszkientu.

Nikt nie wiedział, gdzie jest ten Taszkient, ale to nie robiło żadnej różnicy. Ważne było to, że wszyscy będą pracować na roli. Mama poniekąd cieszy się, bo mówi, że na roli jest zawsze łatwiej wyżyć. My naturalnie nie możemy kupić biletów, więc dostajemy bilety, za które trzeba będzie odrobić na nowym miejscu. Mama jeszcze ciągle odrabia to, co jest winna w cegielni. Broniek pomaga nam jak może. Nawet zaopatrzył nas w kartofle i kapustę, ale obawia się, że mogą go złapać i zamknąć, a wtedy już nigdy nie wyjedzie z Rosji. Mama choć godzi się na wyjazd, nie chce wyjechać zanim Brońcia nie wyjdzie z więzienia. Broniek też czeka na jej powrót, bo chce wyjechać do wojska.

Archangielsk opuszczamy nocą. Choć jest bardzo późno, nikt nie śpi. Każdy skulony na pryczy ze strachem myśli o przyszłości. Ci, co zostawili swoje dzieci czy najbliższych na grobach Ujmy zaczynają żałować, że zdecydowali się na tak niepewny krok. Tymczasem pociąg pędzi. Docieramy do Wołogdy. Tam spychają nas na boczne tory, do miasta daleko. Nikt nie może nic kupić. Nawet kraść nic nie można, bo nie ma gdzie. W nocy, po ogromnym przetasowaniu wagonów i zmianie torów, pociąg nabiera szybkości. Po kilku dłuższych przystankach docieramy do Moskwy. Na zachód pędzą długie sznury wagonów wypchnych wojskiem, a my stoimy na bocznym torze. W naszym wagonie i w całym pociągu panuje straszna nędza, do tego stopnia, że ludzie chodzą po śmietnikach i zbierają obierki z kartofli. Chodzą także po domach i żebrzą.

Ja wyszłam z wagonu i idąc po torach poczułam zapach placków kartoflanych. Skierowałam się w tę stronę i zapach był coraz to silniejszy. Przeszłam pod wagonami i doszłam do otwartych drzwi. Zobaczyłam schody idące na górę. Weszłam na piętro i nieśmiało zapukałam do drzwi. Otworzyła je młoda kobieta i była bardzo zdziwiona jak mnie zobaczyła.

„Ja jestem bardzo głodna i przyszedłam tu, bo te placki kartoflane bardzo pachną”.

„Wejź!” – odezwała się Rosjanka.

Weszłam do małej kuchenki. Na dzieciennym krzeselku siedziało małe dziecko i jadło placki, a na kuchni smażyło się więcej. Rosjanka wzięła jeden plack od dziecka i dała mnie. Połknęłam szybko i z niepokojem patrzyłam na drzwi.

„Poczekaj, dam ci więcej”, przyjaźnie zapraszała matka dziecka.

Tak szybko, jak się usmażyły nowe placki, dała mi wszystkie, a w międzyczasie zasypała mnie pytaniami. Odpowiadałam jej tak szybko jak mogłam, jedząc gorące placki i parząc sobie usta. Później dała mi jeszcze jedną porcję i coraz więcej zadawała pytań. Ja jednak ze strachu, że pociąg może odejść bez mnie, złapałam placki, podziękowałam jej i zaczęłam biec do pociągu. Mój bieg wcale mi nie przeszkadzał, żeby nie mogła zjeść wszystkich placków, tak bardzo mnie nęciły. Na szczęście pociąg jeszcze stał. Te placki bardzo mnie posili-

ły, ale czułam się bardzo winna, że nie przyniosłam żadnego, żeby się podzielić z resztą rodziny. Głodny człowiek zachowuje się jak zwierzak.

Stoimy w Moskwie trzy dni. Jak zwykle w nocy pociąg rusza, ale po krótkim czasie nastaje cisza. Rano wszyscy zamierają ze strachu. Jak okiem sięgnąć, pustkowie. Śnieg sięga do połowy wagonów – wywieźli nas na stracenie, wszystkie siedem wagonów. Wystarczy, żeby potrzyмали nas tu dwa tygodnie i wszyscy wymrą. Przez kilka dni palimy deski z pryczy, jemy resztki sucharów popijając łzami. Kobiety i starsi chłopcy uradzili, że ktoś musi dostać się do Moskwy i szukać pomocy. Trzeba zawiadomić jakieś władze. Pięć osób wybiera się na piechotę do Moskwy. Idą po szynach, to najpewniejsza droga. Uradzili, że muszą iść na południe.

Czas dłuży się niesamowicie. W piecu palimy tylko w nocy, kiedy jest najzimniej. Górne prycze znikły kompletnie i wszyscy duszą się na dolnych. Na twarzach maluje się ogromne przygnębienie i rozpacz. Często słychać kaszel dzieci i ciche szlochy starszych. Minęło już cztery dni. W tym czasie ani jeden pociąg nie przejechał w pobliżu nas. Coraz częściej rozlegają się szlochy. Józia z głodu dostaje skurczu kiszek. Wrzeszczy wniebogłosy i sinieje z bólu. Mama daje jej trochę ciepłej, słodkiej wody, ale to nic nie pomaga. Ktoś wyciąga stary, spleśniały suchar i to na chwilę ratuje sytuację.

W oddali słychać nadjeżdżający pociąg. Wszyscy zamieniają się w słuch. Co to będzie jeśli się okaże, że to jest pociąg z wojskiem niemieckim? Odgłosy słychać coraz bliżej i bliżej. Wszystkich ogarnia niesamowity strach. Jeżeli to są Niemcy to albo nas zabiją, albo zabiorą do niemieckich obozów. Każdy wstrzymuje oddech, żeby się niczym nie zdradzić.

Pociąg nas mija i tu nowa rozpacz. Na pewno zginiemy. Mija noc. W dali słychać jadący pociąg, ale nikt nie chce się przyznać, że słyszy. Każdy się obawia, że to może być złuda. Wreszcie lokomotywa sapiąc podjeżdża do nas, uderza i zaczepia wagony. Z wagonu wyskakuje nasza piątka z workiem chleba. Łzy radości dławią w gardle. Nie wiem, czy rodzina Łazarza była bardziej zadowolona z jego zmartwychwstania. Babcia K. leży krzyżem na podłodze i szlochając modli się dziękując Bogu za ocalenie od głodu.

Wracamy przez Moskwę. Już trzeci raz. Czy my nigdy nie wydostaniemy się z tego szkaradnego, rosyjskiego śmietnika? Co za okropne miasto! Humory się trochę poprawiły a Janek opowiedział w jaki sposób dostali się do Moskwy. „Najpierw szliśmy cały dzień i całą noc wzdłuż torów kolejowych. Często musieliśmy odgrzebywać śnieg, żeby zobaczyć czy nie zabłądziliśmy.

Na drugi dzień pod wieczór doszliśmy do jakiejś malutkiej stacyjki, która była kompletnie spalona. Tam postanowiliśmy zatrzymać się na noc. Co nas najbardziej pociągało do tej szopy, to zapach pieczonego mięsa. Ja byłem ostatni, ale moi towarzysze po ciemku dopadli coś i ukroili. Zanim doszła kolej na mnie, to zasnąłem ze zmęczenia. O świcie wyruszając zobaczyliśmy, że mięso mogło być albo z psa, albo z człowieka. Obaj byli jednakowo spaleni. Wskoczyliśmy jak z procy i do dziś nie wiemy, co smakuje gorzej, pies czy człowiek”.

Pociąg jedzie na zachód. Mijamy wioski, miasta, miasteczka i pola. W jednym miejscu na stacji stoi ogromnie długi pociąg z wagonami naładowanymi solą. Emcia wyskoczyła z wagonu boso i szybko wrzuciła dwie duże gruby soli. Wszyscy kradną ile się da. Pijemy *kipiatok* słony. Docieramy do następnej miejscowości, próbujemy coś kupić i dowiadujemy się, że ludność cierpi na brak

soli. Za kilogram soli, nikt nie waży, dolewa się jeszcze wody, żeby sól była cięższa, dostajemy kilku bułek chleba, jakieś „bliny” a za następny kilogram dostajemy litr mleka i trochę kaszy. Sprzedaliśmy tylko kilka kilogramów soli i zaopatrzyliśmy się na jakiś czas.

Pierwszy raz od wyjazdu z Archangielska jesteśmy najedzeni. W następnej miejscowości ludzie mają dosyć soli, natomiast żądają cukru i zapalek. My niestety nie spotkaliśmy się jeszcze z tymi artykułami na naszej drodze. Dojeżdżamy do stacji. W wagonach jest mąka. Wszyscy rzucają się, ale biały jej pył zdradza wielu. Pojawia się policjant i niestety Brońcia zostaje złapana. Policjant przychodzi z nią do wagonu, żeby spisać protokół. Brońcia wpada na pryczę, łapie dziecko sąsiadki i szczypie to biedactwo ile ma siły. Dzieciak drze się na całe gardło. Wszyscy drą się na policjanta. On nastawia karabin i mówi, że wszystkich wystrzela jeżeli Broncia nie pójdzie z nim na policję. Niektórzy tchórzliwi namawiają Brońcię, żeby poszła z nim, inni żeby została.

Sytuacja zaostrza się. Brońcia woli, żeby ją zabili, niż drugi raz iść do więzienia. Tu znowu Opatrzność przychodzi nam z pomocą. Pociąg rusza. Najpierw wolno, potem coraz szybciej. Policjant nie mając wyboru wyskakuje, a wszyscy oddychają z ulgą. Ten policjant nie musiał przyprowadzić Brońci do wagonu, żeby spisać protokół. Gdyby ją od razu zabrał na policję, to by na pewno poszła do więzienia.

Nigdy nie wiadomo, w którą stronę nas powiozą. Kierunek nasz zależy od maszynisty. Jak zobaczy, że dużo ludzi opuściło pociąg w poszukiwaniu jedzenia, to od razu opuszcza stację. Czasem przejeżdża tylko na inne tory, a wtedy ludzie wystraszeni błąkają się po szynach kolejowych szukając swoich wagonów. Ci co zostaną, czasem całymi tygodniami gonią pociąg. Kilka osób zaginęło bez wieści. Lepiej umrzeć niż zostać z dala od pociągu. Michalina miała nieszczęście zostać jak pociąg ruszył i tak nam później opowiedziała o swoich przejściach.

Bardzo wcześnie rano pociąg stanął na jakiejś stacji i trzeba było zaopatrzyć się w chleb i zupę. Gdy opiekun pociągu zastukał do drzwi, ja złapałam za garnek a Brońcia za worek i wyszliśmy z wagonu, aby dołączyć się do grupy. Piekarnia czy sklep był blisko stacji, więc ta grupa pobrała chleb i szybko wróciła ropociągu, który już był w ruchu. Brońcia wrzuciła chleb do wagonu, ale sama tylko zdążyła wskoczyć na schodek między wagonami. Grupa pięciu osób, w której ja byłam, musiała iść bardzo daleko szukać stołówki. Jak doszliśmy, to jeszcze wszystko było pozamykane i nic nie dostaliśmy. Wracając do pociągu już go nie zastaliśmy. Odjechał bez nas. Poszliśmy na stację, ażeby dowiedzieć się o następny pociąg jadący w tym samym kierunku. Wiadomo, tych pociągów za wiele nie było. Całą dobę trzeba było czekać na stacji. Dopiero o piątej wieczorem nadszedł pociąg.

Po całym dniu czekania o głodzie i chłodzie, byliśmy zadowoleni, że pozwolili nam wsiąść do osobowych wagonów, ale niestety bez żywności. Tak jechaliśmy trzy dni dojeżdżając do stacji Arys. Jest to duża węzłowa stacja przed Taszkientem. Mama całkowicie straciła nadzieję, że mnie jeszcze zobaczy. Późną nocą zapukałam do naszego wagonu. Ktoś otworzył drzwi i od razu zaczęli się wypytywać, jak ja się dostałam, bo byłam tylko jedna z wagonu taka bohaterka.

Drugim razem też byłabym została, ale miałam lepsze szczęście. Pociąg zatrzymał się na krótko, aby zaopatrzyć się w wodę i paliwo. O parę kroków był

rozłożony rynek i znów trzeba było wyskoczyć, żeby zdobyć coś do jedzenia. W miejscowości tej brakowało soli, a my mieliśmy jej dużo. Wzięłam trochę do woreczka i szybko poszłam na rynek. Zanim wymieniłam sól na placki, pociąg gwizdnął i ruszył. Wszyscy szybko gnali, a ja byłam ostatnia i zaledwie złapałam się za poręcz ostatniego wagonu z otwartą platformą. W ten sposób jechałam na otwartym powietrzu w śniegu i mrozie, od dziesiątej rano do zmroku. Pamiętam, że najpierw stałam rozglądając się dookoła. Później usiadłam i musiałam zasnąć.

Dopiero obudziło mnie silne szarpnięcie zatrzymującego się pociągu. Chciałam się podnieść, ale poczułam, że jestem zupełnie sztywna. Od razu zrozumiałam, że zamarzałam przez cały dzień nie ruszając się. Nogi nie chciały się poruszać. Wiedziałam, że muszę dostać się do wagonu dopóki pociąg stoi, bo inaczej zamarznę na kość. Pomału dotarłam do wagonu z zamarzniętymi plackami w ręce. Nie wiem, czy ktoś pamięta jak one smakowały.

W pamięci pozostaje Archangielsk i Wołogda. Przez Moskwę przejeżdżamy trzy razy. Co za szkaradne miasto. Jedziemy na Żyrań, Kujbyszew, Czkałów i Orsk. Wreszcie pociąg mknie na południe przez Aralsk, Kazachstan aż do Uzbekistanu. Archangielsk opuściliśmy w styczniu, a tu już koniec lutego. Końca naszej podróży nie widać. Ludzie zaczynają wątpić czy nas kiedykolwiek zawiozą do Taszkientu. Wszystkich ogarnia głębokie przygnębienie.

Znowu zaczyna nam dokuczać głód. Znowu poszukiwanie obierek i odpadków do jedzenia. Kilka osób zakradło się do stojącego wagonu na stacji, w którym znaleźli zdechłego konia. Jak sępy rzucili się na tę padlinę. Wszyscy jedli nie zważając na okoliczności w jakich ten koń mógł zdechnąć. Mama nie mogła przemóc obrzydzenia. Na pół żywa z głodu, cicho chlipała pod pryzkami. Nie było rady, trzeba było użyć podstępów. Powiedzieliśmy, że zjedliśmy wszystko, a na najbliższej stacji Brońcia wyskoczyła, aby przetargować ciepłe skarpety. Wróciła z odrobiną kaszy i jakiegoś mięsa, więc ugotowała mamie kaszy na rosole.

Pociąg mknie na południe przez stepy. Pustka jak okiem sięgnąć. Gdzieś niedaleko sterczą białe zeszłorocznej trawy, a czasem na horyzoncie ukaże się kilka lepierek kazackich. Gdy pociąg zatrzyma się, Kazacy podchodzą do wagonów, aby coś przetargować. Ludzie niby targują, ale każdy zwleka z zapłatą. Gdy pociąg ruszy, to każdy łapie co popadło, bo ludzie już prawie zapomnieli, jak pieniądze wyglądają. Pociąg rozwija szybkość żegnany przekleństwami i pogróżkami. Nikt się tym nie przejmuje, bo cóż nas gorszego może spotkać.

Wśród takiej biedy każdy wagon ma jak gdyby ducha opatrności. U nas jest Babcia A. Wiele ona przeżyła w swoim życiu, ale nie narzeka. Każde cierpienie przyjmuje w milczeniu mówiąc, że to jest dowód Boskiej opieki nad nami i tylko trochę cierpliwości, a wszystko zmieni się na lepsze. Opowiada różne historie ze swego życia, pociesza, a nawet zachęca do śpiewu. Cienkim, drżącym głosem zaczyna śpiewać.

Kilka osób dołącza się i pieśni kościelne rozbrzmiewają w wagonie tłumiąc ciche szlochy głodnych dzieci. Potem raptownie urywają się i jeszcze cięższy kamień spada na dusze. Babcia nie daje się załamać. Każdy zachód słońca żegna śpiewając: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, a rano skoro świt: „Kiedy ranne wstają zorze”.

Jej upór i stanowczość jednała jej coraz więcej zwolenników i nawet niektórzy zaczynają myśleć na głos, jak to będzie, jak przyjedziemy na miejsce, co kto będzie robił i jak sobie życie ułoży. Żeby w końcu dojechać i zacząć coś robić, a nie siedzieć w wagonie i przymierać z głodu. Rozbudzona wyobraźnia dodaje siły i jutro nabiera żywszych kolorów.

Wyjątek z pamiętnika Michaliny:

MŁODZIENIEC

Wiatr smutny wionął po pustym stepie
 I śnieżną zamięć w obłoki wzbil
 Tam błądy tuman rwie się i trzepie
 Jak huragan rześisty pył.
 Wśród tej zamięci wiatrami gnana
 Pędzi kibitka w zawiei szlak
 I późno dzwonek dzwoni co rana
 Jakby umarłym grobowy znak.
 Z kibitki widać postać młodzieńczą
 Dumne, choć smutne wrażenie miał
 Na twarzy widać ślady rumieńca
 Lecz i ten wkrótce zginąć miał.
 Wyrżał z kibitki, potrząsnął głową
 Nie dbał czy wzbudzi Moskali gniew
 I zwrócił twarz swą w stronę zachodnią
 I taki smutny zanucił śpiew:
 Darmo, ach darmo zwracam swe oczy
 Próżno nadzieją ludzę się sam,
 Tam kraj mój ginie w czarnej ;pomroce
 Już go na zawsze utracić mam.
 Już nie zobaczę swojej rodziny
 Ni ojca swego, ni matki swej
 Ani mej drogiej lubej dziewczyny
 Nigdy, ach nigdy nie ujrzę jej.
 Łotry mi skuli w kajdany dłonie
 Lecz serca mego nie zdołali skuć
 Zdejmcież kajdany, dajcież mi broń,
 Ja was nauczę jak wolność czcić.

*

Eugeniusz Lachocki – *W drodze na Syberię*

Eugeniusz Lachocki urodził się na Polesiu. W 1940 roku został wywieziony wraz z rodziną na Syberię. W 1942 roku wyjechał stamtąd z Armią Polską tworzoną przez gen. W. Andersa w ZSRR. Walczył we Włoszech i po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu dyplomu inżyniera elektroniki wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował do czasu przejścia na emeryturę. Obecnie mieszka na Florydzie. Publikowana relacja pochodzi z książki zatytułowanej *Stracone Polesie*, wydanej w roku 1993 w Stanach Zjednoczonych.

*

Patrząc na druty kolczaste poczułem się jak dziki zwierz w klatce. Za drutami zostały moje marzenia ukończenia studiów, moja młodość, moje bez-troskie życie w gronie rodziny i przyjaciół. Po tej stronie drutów utrata wolno-

ści, odpowiedzialność za rodzinę, Syberia i z nią związana pewnie ciężka praca, głód, mróz i może nawet śmierć. Przeklinałem Hitlera i Stalina.

Odwiedzający nas ludzie tłoczyli się wokoło kolczastych drutów, przekazując ostatnie pożegnania i zapewnienia pamięci i pomocy. Pod wieczór niektórzy młodzi chłopcy potrafili wymknąć się z zagrody i zmieszać się z tłumem. Żołnierze nie mieli listy więźniów, więc było trudno sprawdzić czy ktoś uciekł. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby myśleć o ucieczce, przecież nie zostawię młodsze rodzeństwo, Mamę i Babcię samych.

Wreszcie zapędzono nas znowu do swoich wagonów. Żołnierze zamknęli drzwi od zewnątrz i pociąg ruszył. Wewnątrz wagonu były prycze na podwyższeniu. Niektórzy umieścili się tam i przez małe okienko żegnali swoje domy. Inni ułożyli się na swoich tobołkach na podłodze. W środku wagonu było coś w rodzaju ubikacji z otworem w podłodze. Nikt nie korzystał, bo nie było żadnej zasłony i ludzie wstydzi się. W wagonie większość, to kobiety i dzieci, ale było też kilku chłopaków z gimnazjum i ze szkoły powszechnej.

Pociąg mknie, a systematyczne uderzenia kół o złącza szyn hipnotyzuje i znieczula. Małe dzieci ukołysane jazdą, zasypiają w ramionach matek, a inni przemęczeni wydarzeniami ostatnich dni leżeli na pryczach i na podłodze, rozmyślając o niepewnej przyszłości. Nieruchome oczy podróżników zwrócone gdzieś w dal starały się zapamiętać ostatnie obrazy rodzinnego kraju. Nikt nic nie mówił.

Mundek, młodszy kolega z gimnazjum w wieku Irki, podszedł do mnie i ofiarował mi łyk wódki z butelki, którą miał za pazuchą. Mówił, że to dobra dezynfekcja w tych nie sanitarnych warunkach. Odmówiłem, bo raczej potrzebowałem dezynfekcji swoich myśli i uczuć, a nie na sanitarne potrzeby. Nie jedziemy na wycieczkę i nie wiemy co nas czeka. Czy rodzina przetrwa i ile nas umrze z głodu? Zaczęłem rozmyślać o swoich czasach harcerskich. Jako Harcerz Orli z gimnazjalnej drużyny ciągle czułem się harcerzem i pamiętałem o przysiędze: „harcercz nie pije i nie pali”. W Łomży należałem do wodnej drużyny harcerskiej, gdzie piękna Narew wabiła do wyczynów na kajakach, łodziach i żaglówkach. Teraz jadąc w nieznaną, nie miałem najmniejszej chęci wyłamywać się z praw harcerskich, które kształtowały mój charakter i Mundek nie zdołał mnie przekonać, schował butelkę do swojego worka i położył się obok nie odzywając więcej.

Następnego dnia przekroczyliśmy granicę, która w tej chwili zasadniczo nie istniała i byliśmy już w Rosji. W Mińsku zatrzymaliśmy się na krótki czas i dano nam wiadro zupy. Pod wieczór pociąg zatrzymał się w otwartym polu. Żołnierze, którzy jechali z nami w ostatnim wagonie, otoczyli cały pociąg, otworzyli drzwi wagonów i pozwolili wyjść pod wagony w celu załatwienia się. Teraz już nie było wstydu. Ludziska siadali jedni przy drugich i napinali się jak mogli, by po kilkudniowej przerwie wypróżnić żołądki.

Jedna starsza kobieta, porządnie ubrana, zaczęła biec szybko oddalając się od pociągu. Na otwartym polu był to wysiłek bez żadnej szansy. Żołnierz szybko ją dogonił, uderzył karabinem i przywłókł z powrotem do wagonu. Na następnej stacji, gdzie dano nam gorącej wody i trochę chleba, ta sama kobieta próbowała znowu uciec, ale i tym razem eskortowano ją z powrotem. W Smoleńsku na stacji ona znowu zginęła. Gdzieś musiała się schować i pociąg ruszył bez niej. Przed Moskwą pociąg zatrzymał się i byliśmy tam dość długo. W koń-

cu zajechaliśmy na stację, i o dziwo! – żołnierz z tą panią czekali na nas. Nie wiem czym jej zagrozili, ale od tej pory więcej nie uciekała.

Pociąg dalej mknął na południowy-wschód. Ludzie w wagonie już pokonczyli swoje zapasy żywnościowe, gdyż ze sobą niewiele mogli zabrać, i teraz tylko czekali na rację chleba i gorącej wody ofiarowanych na przystankach. Tory kolejowe były pojedyncze i często staliśmy na bocznym zjeździe czekając na pociąg idący w odwrotnym kierunku. Wtedy też zwykle żołnierze otwierali wagony, żeby ludzie mogli się załatwić. W ten sposób mineliśmy Kujbyszew i przez góry Uralskie do Magnitogorska i Kartały. Byliśmy już w Azji.

Ludzie zaczęli powoli przyzwyczajać się do siebie, częściej rozmawiać i opowiadać sobie wzajemnie o ostatnich przeżyciach wojennych i o przebiegu aresztowania przez NKWD. Wspólne uwięzienie w ciasnym wagonie i długość pobytu zbliżyło duchowo większość podróżników mimo to, że różnili się bardzo intelektualnym i społecznym położeniem. Byli rzemieślnicy, rodziny policjantów, właściciele sklepów, rodziny wojskowych oficerów i państwowych urzędników oraz nauczyciele. Dzielać religijnie, byli tam Żydzi, Prawosławni i Katolicy.

Na początku maja 1940 roku dotarliśmy do Atbasar, w *akmolińskiej obłaści* w Kazachstanie. Był to piękny, słoneczny dzień, a może wydał nam się tak piękny, bo w końcu mogliśmy być na świeżym powietrzu. Wyładowaliśmy się z wagonów i ciężarówkami przewożono nas w głąb miasta.

Kazachstan

W 1940 roku miasto Atbasar miało około 20 000 mieszkańców. Było to typowe syberyjskie miasto złożone z małych budynków mieszkalnych i nielicznych małych przedsiębiorstw. Droga kolejowa przechodząca przez Atbasar łączyła Kartały ze stolicą rejonu (obłaść), Akmolińsk. Nie było bitych dróg i tylko przetarte przez step piaszczyste trakty łączyły pobliskie miasteczka i wioski. Okoliczne stopy służyły przez wiele lat jako teren wysyłki niepożądanych elementów dla cara, a później dla rządu komunistycznego.

Na dużej sali jakiegoś teatru zgromadzili cały nasz transport. Nareszcie po długiej podróży mogliśmy się wyprostować i zjeść gorącą zupę z chlebem przygotowaną dla nas przez miejscową ludność. Urzędnicy przy biurkach zadawali wiele pytań i przydzielali rodziny i grupy ludzi do rozmaitych zajęć. Nas przeznaczono do miejscowego gospodarstwa pod zarządem miejskim. Mieliśmy orać ziemię w stepie.

Po przespaniu nocy na gołej posadce z tobołkami pod głową na ogólnej sali teatru, załadowano nas na wóz ciągniony przez woły. Po krótkiej podróży znaleźliśmy się w otwartym polu. W pobliżu pasły się woły pilnowane przez młodego Kazacha. Rozłożyliśmy duży namiot, w którym mieliśmy się wszyscy pomieścić na posiłki i spanie. Było nas trzy rodziny, sami młodzi chłopcy i nasza Mama. Mama była naszą kucharką i gotowała zupę z kluskami z dostarczonej mąki. *Brygadir*, który przyjechał z nami na koniu, pokazał jak się zaprzęga woły do pługa i rozkazał co mamy robić.

Zaprzęgało się trzy pary wołów do jednego pługa. Dezio poganiał batem woły, a ja trzymałem pług. Było nas takich pięć zespołów. Woły trzeba było umieć zaprzęgać i umieścić na odpowiednie stanowisko. Każdy zespół musiał rozpoznać swoje zwierzęta i dbać o nie.

Wieczorem przywożono nam i dla bydła wodę i *uszczotczyk* mierzył zoraną ziemię. Początkowo praca ta wyglądała zabawnie, ale po pewnym czasie odżywiani na kluskach bez mięsa i tłuszczu, zaczęliśmy odczuwać zmęczenie. Szczególnie młodszy chłopcy ciągnęli już nogi za sobą a długi bat zamiast popędzać woły, zakręcał się często na własnej szyi. Już nie pamiętam co wtedy robiły moje siostry, Irka i Alicja oraz Babcia, ale zdaje się, że pilnowały naszego bagażu, który przywieziono wtedy ze stacji kolejowej.

Ta mało wydajna praca trwała przeszło dwa tygodnie. Przyjechał *uprawlajuszczy* i powiedział, że będziemy przeniesieni do *sowchozu*. Wróciliśmy do miasta i tam załadowano nas wraz z innymi rodzinami i z naszym ciężkim bagażem na ciężarowy wóz. Pod wieczór przyjechaliśmy do miasta Kima. Tu, niektóre rodziny rzemieślnicze znalazły pracę i zostały w mieście, a resztę rozdzielono po okolicznych „sowchozach”. My dostaliśmy się do „miasowchoz” specjalizujący się w hodowli bydła i owiec na mięso dla wojska. „Miasowchoz” centrala, to mała osada, w której mieścił się główny urząd z „uprawlajuszczym” na czele, warsztaty mechaniczne z elektrownią, garaż na traktory i kombajny. Dookoła były małe domki zamieszkałe przez traktorzystów, obsługę warsztatów i biura.

W promieniu dziesięciu kilometrów znajdowały się osady, które należały do centrali i zajmowały się bydłem. Były to duże obory i domki robotników (lepianki) budowane z cegieł robionych z krowiego nawozu zmieszanego ze słomą i ziemią, później suszonych w słońcu. Do najbliższej stacji kolejowej w Atbasar było około 50-ciu kilometrów. Tutejszy teren, to otwarty step i ani jednego drzewka, nic więc dziwnego, że domy były budowane z ziemi a dachy ze słomy, bo to były jedyne materiały osiągalne w stepie. Przy brzegu małej rzeki, Inszym, rosła trzcina, która była używana jako materiał do przytrzymania dachu ze słomy. Do palenia w piecykach, używano „kiziaki”, więc starsze kobiety i dzieci chodziły po stepie i zbierały produkty krowiego trawienia, układając je później w pobliżu domu do wysuszenia.

Ulokowano całą naszą rodzinę w takiej lepiance. Wyciągnęliśmy z naszego bagażu koce i poduszki i ulokowaliśmy się na pryczach. Nie mieliśmy żadnego światła i przez jedyne okienko zaglądał księżyc. Zmęczeni po całodziennej podróży i bez posiłku, szybko usnęliśmy. W krótkim czasie, prawie jak na komendę, zerwaliśmy się wszyscy. Z sufitu spadały na nas gromadami duże karaluchy. Początkowo nie wiedzieliśmy skąd się one brały, ale wkrótce znaleźliśmy ich gniazda i musieliśmy się wynieść z lepianki. Resztę nocy przespaliśmy na dworze. Na drugi dzień rano, po nieprzespanej nocy, wysłano Mamę i Irkę do strzyżenia owiec, a Dezia do pasienia owiec. Alicja, moja najmłodsza siostra, która miała wtedy jedenaście lat, wraz z Babcią urzędowały nasze mieszkanie, przepędzały karaluchy, urzędowały w kuchni i obie zbierały kiziaki w polu. O szkole dla Alicji i Dezia nie było mowy.

Przywieziona żywność z Pruzany teraz bardzo się przydała, bo nic tu nie dostawaliśmy. Po kilku dniach pojawił się chleb w państwowym sklepiku, ale zanim Polacy dowiedzieli się o tym, miejscowi ludzie rozkupili cały zapas. Natomiast za zarobione pieniądze przy oraniu pola w Atbasar kupiliśmy lampę naftową i trochę nafty.

Dezio, pasąc owce, często podskubywał je i za pazuchą przynosił do domu wełnę. Babcia zrobiła z kawałka drzewa wrzeciono i przędła nici. Wieczorami, gdy wszyscy byli w domu, robiliśmy na drutach wełniane skarpety i rękawiczki bez palców. Były one bardzo potrzebne w zimie, bo właściwie z Polski nic ciepłego nie przywieźliśmy. Mama uczyła nas, a my z zapalem płataliśmy Babci nici. Po pewnym czasie szło nam to bardzo sprawnie i dzięki ciągłym sukcesom Dezia z owcami, wyposażyliśmy wszystkich na zimę. Dezio miał też wiele innych przygód i wygod z owcami, ale o tym musiałby sam opowiedzieć.

Moim pierwszym zajęciem w sowchozie było pasienie prywatnych krów, które należały do tutejszych mieszkańców. Stali mieszkańcy sowchozu mogli mieć jedną krowę i cielaka na rodzinę. Mieli też kury i małe ogródki. Świń nikt nie miał, bo to byłoby obrażą dla Kazachów, muzułmanów. Miałem dostać za pracę pastucha jakieś wynagrodzenie w rublach lub w produktach żywnościowych.

Wcześniej z rana wszyscy wypuszczali swoje krowy i cielaki z obór w stronę stepu, a ja podłapywałem je i całe stado gnałem w głąb stepu na lepszą trawę. Krowy zasadniczo trzymały się razem i powoli posuwały się dalej. Gdy któraś trochę oddaliła się, to przyganiałem ją długim kijem bliżej stada. Wody nigdzie w stepie nie było, więc krowy piły wodę z rzeki w pobliżu osiedla dopiero po powrocie z pastwiska. Dzień bardzo się dłużył, więc często siadałem pod jakimś stogiem starego siana i pisałem swój pamiętnik, albo leżąc grzałem się w słońcu. Wyglądało to na bez troskie marnowanie czasu. Niestety nie trwało to zbyt długo.

Jednego dnia zasnąłem pod stogiem i pod wieczór obudziło mnie ryczenie bydła i wycie wilków. Gdy rozejrzałem się dookoła, to nie wierzyłem własnym oczom. Stado krów rozpierzchło się po całym stepie, a kilka krów rogami atakowało wilki, które próbowały porwać cielaki. Wilków było sporo i sam z kijem nie chciałem z nimi walczyć, wtedy zacząłem zganiać stado do kupy, by razem gonić je do osiedla. W międzyczasie wilki dobrały się do jednego cielaka, mimo desperackiej obrony matki. Krowa miała rogi we krwi, więc musiała niejednego wilka zranić. Teraz, gdy całe stado zbliżyło się do tej krowy i poczuło krew wilczą, zaczęły jak zwariowane biegać dookoła i nie mogłem ich zgonić do kupy. Wilki zajęły się cielakiem i nam nie przeszkadzały, a matka cielaka posuwała się za nimi, ale z daleka od stada.

Późnym wieczorem dogoniłem wszystkie krowy do osiedla a właściciele czekali na mnie z niecierpliwością. Gdy zawiadomiłem ich o ataku wilków i stracie cielaka, byli bardzo źli i zawołali weterynarza. On jeden miał dubeltówkę i trzykonną bryczkę. Kazał mi jechać z nim i wskazać miejsce wypadku. Jechaliśmy przez step galopem po ciemku, a gdy zbliżyliśmy się do stada wilków, konie zaczęły rzeć. Weterynarz wystrzelił dubeltówką w kierunku głosu wilków, a gdy zbliżyliśmy się do nich, wystrzelił raz drugi. Musiał zranić kilka wilków a reszta z piskiem zatrzymała się w oddali wyjąc przeraźliwie. W międzyczasie zabraliśmy resztki cielaka na wózek i ruszyliśmy w kierunku osiedla.

Okazało się, że cielak należał do weterynarza i z reszty mięsa zrobiono ucztę dla wszystkich właścicieli krów. Mnie oczywiście zwolniono z posady pastucha, nie dostałem żadnej zapłaty za dotychczasową służbę i zostałem przydzielony do koszenia trawy. Całe szczęście, że nie oskarżono mnie o spanie w czasie pracy. Był to koniec maja. Któregoś wieczoru napisaliśmy list do ciotki Weroniki podając tylko nasz adres. Nie pisaliśmy nic o naszych warunkach ży-

cia. Nie mieliśmy wiele nadziei na otrzymanie odpowiedzi, ale chcieliśmy tylko zawiadomić, że jesteśmy zdrowi.

Ziemia była przesiąknięta wodą z topiących się śniegów. Słońko świeciło jasno i w dzień było dosyć ciepło, więc trawa rosła w oczach. Siano kosiło się dwoma wołami zaprzęgniętymi do kosiarki zaopatrzonej w metalowe siedzenie, na którym siedział operator z batem. Krzyczało się do byków „*Cop*” – skręć w lewo, albo „*Cebe*” – skręć w prawo. Przy zaprzęganiu byków trzeba było wiedzieć, który ma być po której stronie. Było dużo kłopotu zanim poznałem swoje byki.

Sianokosy trwały aż do jesieni. Chociaż latem trawa wysychała z braku deszczu, to nie robiło różnicy, kosiło się suchą trawę. Brygada sianokosów przenosiła swoje namioty jurty z miejsca na miejsce, w zależności od tego, gdzie jeszcze była trawa. Na noc wypuszczano się woły wolno na pastwisko, by nabrały siły na następny dzień pracy. Woda dla bydła i ludzi była dowożona w beczkach na dwukołowych wózkach ciągniętych przez woły albo wielbłądy. Mieliśmy dwa konie, na których jeździło się na oklep w celu zgonienia wołów z pastwiska do pracy. Teraz trzeba było rozpoznać z całego stada swoją parę i odpowiednio ją zaprząć.

Konie kazachskie są bardzo małe i niesamowicie wytrzymałe. Przez cały dzień koń może truchtem albo galopem lecieć bez żadnego odpoczynku albo wyżywienia. Po zakończonej podróży zostawia się konia w spokoju a po pewnym czasie dostaje on wodę do picia. Jedzenie, przeważnie owies, dostaje dopiero na noc. Na drugi dzień koń jest zdolny do dalszej podróży. Po kilku takich wypadach, wypuszcza się konia na step do odpasienia się i do odpoczynku. Konie nie są używane do siły pociągowej a jeżeli zaprzęga się je do dwukołowego wózka, to aż we trzy konie.

W końcu nauczyłem się wskakiwać na konia bez siodła i mogłem zagańić bydło razem z innymi. Był to dla mnie fizyczny sukces, bo Kazacy zawsze śmiali się ze mnie, że nie mogłem nawet wskoczyć na konia. Nieraz zdarzało się, że w czasie nocy nasze stado mieszało się z innymi, należącymi do innego zespołu, albo nawet innego sowchozu, wtedy grupa tubylców Kazaków bez wielkiego wysiłku mogła rozdzielić te stada. To zwykle opóźniało zaczęcie koszenia i dlatego starano się trzymać woły w stepie z daleka od innych. Było tam też dużo wilków, ale woły wcale się ich nie bały. Jednym silnym kopnięciem kopyta mogły wilka unieszkodliwić.

Jedzenie dla nas przywożono raz dziennie razem z wodą. Była to zwykle zupa i chleb. Wszystko miało swoją cenę i szło na kredyt pracującego. Gdy przyszło do wypłaty, to zwykle byliśmy im winni i żadnej wypłaty nie dostaliśmy. Myśmy przywieźli ze sobą trochę słoniny i Mama mogłaby przesłać mi trochę, ale Kazacy byli muzułmanami i gdyby zobaczyli u mnie słoninę, to wypędziliby mnie ze swojej „jurty” i nie miałbym gdzie spać. Poza tym przestaliby być moimi przyjaciółmi. Oni nienawidzili Rosjan tak jak i my, bo normalnie te stepy i stada krów należały kiedyś do nich i oni ciągle to pamiętali. Kazacy dostali się pod panowanie toryskie w 1700 roku. Po 1917 roku komunistycznej rewolucji Kazacy próbowali oderwać się, ale im się to nie udało. Wielu właścicieli stad bydła pozabijali swoje zwierzęta, by tylko nie dostarczyć ich rządowi komunistycznemu. Dowiedzieliśmy się tych historycznych danych od starszych Kazaków, którzy nie bali się rozmawiać z nami, gdy nikogo nie było poblizu.

Pracując razem z nimi nieraz zapraszali mnie do swojej jurty na posiłek. Było to mięso specjalnie przyprawione i brało się je palcami ze wspólnego naczynia. Nazywali to *biszparmak*, co oznaczało – bierz palcami. Później podawali gorącą herbatę w małych filiżankach i okraszali ją masłem zamiast cukrem. *Jombuł*, gospodarz jurty, czekał, aż któremuś z gości odbiją się gazy, bo to oznaczało satysfakcję z posiłku i kończyło ucztę.

W sowchozie było tylko kilku Rosjan: weterynarz, nauczycielka, kilku traktorzystów i główny ślusarz w warsztacie. Wszyscy inni, włącznie z uprawiającym, byli Kazachami. Starsi nie rozmawiali po rosyjsku, nosili długie brody i narodowe stroje. Żywili się przeważnie mięsem. Na pierwszym miejscu stało u nich mięso końskie, później wielbłądzie, baranie i na końcu wołowe. Przyrządzali też rozmaite sery suszone w słońcu i *kumys* z kobyłego mleka.

Narodowa literatura była na bardzo niskim poziomie, gdyż Rosjanie zmienili ich oryginalny arabski alfabet na łaciński, a w czasie naszego pobytu dostali nowy alfabet rosyjski. W szkołach dzieci musiały uczyć się czytać i pisać od początku, dlatego też dzieci uczyły się przede wszystkim języka rosyjskiego, który się nie zmieniał.

Jednego dnia, gdy Kazach przywiózł wodę dla bydła, dostarczył mi też list od Mamy, w którym pisała, że do sowchozu przyjechał nowy transport Polaków. Są to kobiety z dziećmi z Kowla. Przyjechali w rozpaczliwym stanie i teraz tylko siedzą i płaczą. Dziwią się też, jak my sobie dajemy radę w tak dziwnym kraju. Czekałem na okazję, żeby wrócić na dzień do osady i poznać nowych ludzi, ale tymczasem *brygadier* nie pozwolił mi pojechać.

W naszej brygadzie mieliśmy kilka traktorów, które grabiły skoszoną trawę na większe kupy, z których robiono później stogi. Jeden z Kazachów nauczył nas jak się robi stogi, żeby były duże, a wtedy więcej się zarobiło. Zwykle *uszczotczyk* przyjeżdżał koniem pod wieczór i mierzył te stogi. Ubite i ciężkie siano używało się na budowę ścian a środek wypełniało się luźnym sianem. Stóg wyglądał duży, ale w zasadzie był pusty. Przy grzebaniu siana często dostawał się jakiś wąż albo żmija i trzeba było uważać na te gady przy robieniu stogów. Stogi zostawały na miejscu jako zimowe zapasy jedzenia dla bydła.

Jedna z brygad, odległa od nas miała wypadek, bo traktor przy zapalaniu wystrzelił ogniem w rurę wydechową i zapalił suchą trawę. Step zaczął się palić i ogień posuwał się z błyskawiczną szybkością. Do najbliższej rzeki w tym kierunku było około pięćset kilometrów, więc cały ten teren mógł się spalić włącznie ze stogami siana, które już były ułożone. Naszą brygadę odwołano do osiedla, żeby zabrać odpowiednie przybory i wozy, które by podwiozły ludzi bliżej pożaru.

Zakręciłem się w stajniach szukając beczek na wodę, a w międzyczasie cała osada, oprócz starszych kobiet i dzieci, wyruszyła w stronę pożaru. Znalazłem w końcu dwa woły, wózek i dwie beczki. Napelniłem je wodą i zacząłem jechać też w kierunku pożaru. Na horyzoncie widać było kłęby czarnego dymu, więc łatwo było znaleźć odpowiedni kierunek. Woły posuwały się w swoim tempie i nie mogłem brygady dogonić.

Przed wieczorem zacząłem mijać smolące się stogi, ale żadnych ludzi nie widziałem. Wieczorem step wyglądał jak duże, świecące się miasto. W oddali palące się stogi robiły wrażenie oświetlonych dużych budynków, tylko zapach spalonych zwierząt przypominał o srogiej sytuacji. Późnym wieczorem dojrzałem w oddali czarne sylwetki ludzi. Spragnieni dopadli do mojej wody mówiąc, że to ocaliło ich życie. Mając jeszcze trochę wody, poganiałem woły, które szły

tak szybko jak tylko mogły przebierać nogami, z myślą, że może w stepie mogą ciągle być ludzie, którzy umierają z pragnienia. Wkrótce napotkałem następną grupę i następną, aż w końcu gdy beczki zaczęły pokazywać dno, musiałem też zawrócić w kierunku posiołka i studni.

Napełniłem znowu swoje beczki wodą i udałem się do stajni. Wy tłumaczyłem stajennemu o srogości sytuacji w stepie, więc zaprzągnął dwa wielbłądy do mojego wózka i w ten sposób mogłem o wiele szybciej wrócić do pożaru. Napotkałem po drodze wielu ludzi leżących na ziemi, którzy z gorąca, zmęczenia i pragnienia wyczerpali swoje siły i nie mogli się ruszyć. Orzeźwiłem ich wodą i ruszyłem dalej w drogę. Step ciągle się świecił rozległymi ogniskami, ale było to już bardzo daleko. Powoli wszyscy strażacy zaczęli wracać, bo już ognia nie mogli dogonić. Moja woda ciągle miała wielkie powodzenie, a gdy się wyczerpała, wziąłem kilku popalonych robotników na swój wózek i pojechaliśmy do osady.

Na drugi dzień, *uprawlajuszczy* dowiedział się od kobiet, które widziały mnie na wiosce w czasie pożaru, zawołał mnie i zaczął grozić więzieniem za dezercję. Gdy mu wytłumaczyłem, co ja właściwie robiłem i gdy inni świadkowie z pożaru potwierdzili moje zeznania, wtedy sytuacja się zmieniła i dostałem pochwałę. Mówił, że nikt nie pomyślał o potrzebie wody dla ludzi przy gaszeniu pożaru. Byłem bohaterem, ale medalu nie dostałem.

Pożar stepu strawił większość żywności dla bydła i groziło im wyginięcie z głodu. Skoncentrowano się wtedy nad innymi środkami wyżywienia, a były to pola słoneczników, jęczmienia i owsa. Kopaliśmy głębokie rowy, do których wsypywało się słoneczniki z całymi łodygami. Przesypywało się to solą, kładło się następną warstwę, a gdy rowy były pełne, zasypało się je ziemią. Słońce jeszcze dobrze przygrzewało, więc nastąpiła fermentacja i powoli tworzyła się masa zbitych łądyg. Wkrótce też nastąpiły żniwa i „kombajny” kosiły owies lub jęczmień, młóciły i przesypywały gotowe ziarno do jadących obok ciężarówek. Ziarno później przechowywało się w spichlerzach.

Gdy zaczęły się przymrozki Kazacy powoli pędzili państwowe bydło z odległych stepów w stronę osiedla. Wkrótce obory były pełne krów i cielaków. Zaczęło się uciążliwe ważenie bydła, bo przyrost roczny musiał być nadmiarowy i stwierdzony przez urzędowe ważenie. Tylko kilku młodych wysiedleńców brało w tym udział, bo to była ciężka fizyczna praca i nasi chłopcy byli za słabi. Bydło, a szczególnie cielaki, były bardzo dzikie, bo one urodziły się w stepie i tam pasły się bez specjalnej opieki ludzkiej.

W pierwszym dniu nie zdołałem złapać i przyprowadzić do wagi ani jednego cielaka. Przyszedłem do domu cały połamany i przemęczony całodziennym borykaniem się z tymi dzikimi byczkami. Na drugi dzień, jeden z młodych Kazaków nauczył mnie kilku zasadniczych chwytów i od tej pory zacząłem coraz to więcej byczków doprowadzać do wagi. Tym niemniej, fizyczny wysiłek był bardzo wielki i wieczorem ledwie mogłem się ruszyć. Powoli mięśnie się wyrobiły i zacząłem dorównywać tubylcom. Teraz bydło było w oborach i trzeba je było karmić, pić i sprzątać po nich. Krów nie wolno było doić, bo całe mleko miało być zużyte przez cielaki, ale często ukradkiem, gdy nikogo nie było w obozie, można było trochę udoić i popić. O przyniesieniu mleka do domu nie było mowy.

Przyszła zima i teraz trzeba było zwozić siano ze stogów, które ocalały w czasie pożaru i wykopywać słoneczniki, które już dobrze skwaśniały. Początkowo stogi były bardzo blisko, ale w środku zimy trzeba było wybierać się na całodzienną wyprawę. Sanki zaprzęgnięte wołami wolno posuwały się po głębokim śniegu, a step wyglądał jak białe morze. Małe pagórki wskazywały i zdradzały stogi siana, więc odsypywało się śnieg i później widłami ładowało się siano na sanki. Zwykle około pięciu sanek i tyleż robotników wyjeżdżało razem, żeby wzajemnie sobie pomagać i bronić się od wilków i nie zgubić się w stepie. W drodze powrotnej światełka osiedla były najlepszym kompasem.

Wszyscy Kazachowie byli ubrani w watowane kurtki (*fufajki*) i spodnie, a niektórzy mieli kozuchy. Na nogach mieli długie buty po kolana, robione z prasowanej owczej wełny (walonki). Ponieważ śnieg był bardzo suchy, „walonki” nie namakały i dobrze trzymały ciepło, a nogi mogły oddychać. Ja natomiast nie miałem nic takiego. Dwa swetry pod wojskową kurtką, którą zostawił nam ojciec przed aresztowaniem, długie kalessony i normalne spodnie. Na głowie miałem z zajęczej skóry dużą czapkę, którą uszyła mi Mama, bo w swojej licealnej czapce głowa by zamarzała natychmiast. Na nogach miałem wełniane skarpety owinięte gazetami dla izolacji i długie gumowe buty, które w Polsce używaliśmy w ogrodzie w czasie złej pogody. W czasie mrozu wiatr po mnie hulał, gumowe buty sztywniały i bardzo ciężko było chodzić.

Jedną z takich dalszych wypraw po siano była rzeczywiście pamiętna, bo zastała nas burza śnieżna i nie mogliśmy wrócić do osady. Tym razem kompas by się bardzo przydał. Zatrzymaliśmy się przy jednym dużym stogu, rozebraliśmy kawałek jednej ściany i w środku wypróżniliśmy wystarczająco miejsca na woły i dla nas. Sanki zostały na zewnątrz. Było tam zacisznie, a przy wołach nawet dosyć ciepło. Zawierucha trwała przez całą noc i pół następnego dnia. Po południu uspokoiło się wystarczająco, więc załadowaliśmy siano i jak najszybciej wyruszyliśmy w kierunku posesji w obawie, że wiatr spowoduje suchą zawieruchę śnieżną i jazda będzie niemożliwa. Woły musiały teraz torować nową drogę przez głęboki śnieg o dodatkowo obciążone ładunkiem siana, posuwały się bardzo wolno. Szliśmy piechotą obok wołów i przyspieszaliśmy je długim rzemiennym batem. Moje nogi zaczęły powoli odczuwać wpływ silnego mrozu i piekły niesamowicie. Po pewnym czasie przestały dokuczać, ale były dosyć sztywne. Nie mogłem zostać w tyle i kulejąc posuwałem się razem ze wszystkimi. Gdy dociągnęliśmy się do posesji zostawiłem woły i siano z towarzyszami a sam udałem się do domu, żeby ratować swoje nogi.

Mama pomogła zdjąć moje sztywne gumowe buty i natychmiast zaczęła nacierać śniegiem odmrożone nogi po łydki. Gdy biała skóra zaczęła nabierać kolorów, zacząłem wyczuwać ból, wtedy Mama przygotowała ciepłą wodę w dużym naczyniu, do którego powoli zanurzyłem swoje piekące nogi. Straciłem włosy w zamrzniętych miejscach i do dziś dnia są gołe.

Wyciąganie słoneczników zasypanych w rowach nie było łatwe. Najpierw odkopaliśmy zmarzniętą ziemię a później widłami trzeba było wydzwignąć poplątane łodygi i ładować je do beczek na saniach. Przy tej operacji poderwałem się i uszkodziłem jakieś mięśnie w łopatce. Nie mogłem wcale ruszyć ręką. Zawieziono mnie do miasta Kimy i tam sanitariuszka przykleiła gorący plaster i kazała iść do domu. Korzystając z tego, że byłem w mieście powiedziałem swojemu towarzyszowi, że muszę pozostać przez kilka dni na leczenie, więc zatrzymam się u znajomych, a niech on lub kto Iny, podłapie mnie za kilka

dni. Nie musiałem wiele udawać i Kazach pojechał. Ja tymczasem zaszedłem do znajomego z Pruzany, który tu w Kimie miał swój zakład fryzjerski. Był to młody chłopak, który w Polsce był praktykantem u fryzjera, a teraz pozwolono mu otworzyć komunalny zakład. Ponieważ tu nie prowadziło się żadnej buchalterii, dlatego powodziło mu się świetnie i większość dochodu używał dla swoich i rodziny potrzeb.

Przyjęli mnie wspaniałym obiadem i przegadaliśmy cały wieczór wspominając dawne czasy. Następnego dnia spędziłem czas u znajomego we fryzjerni, a wieczorem znowu obiad i rozmowy. Dopiero trzeciego dnia znalazłem znajomego Kazacha wybierającego się do sowchozu, więc wróciłem z nim. Gdy zameldowałem się do pracy, pokazałem świstek papieru od sanitariuszki i powiedziałem, że łopotka ciągle mi dokucza. Brygadier nie umiał czytać po rosyjsku, więc musiał mi uwierzyć i dał mi lżejszą pracę przy karmieniu bydła. Bałem się, że może da tą kartkę do przeczytania komu innemu, ale brygadier nie chciał się skompromitować i w ten sposób miałem trzy dni wakacji.

Kilka dni później przyszła burza śnieżna i trwała trzy dni. Śnieg przesunął się horyzontalnie i w dzień nie widać było następnego domu. Można było łatwo zabłądzić i znaleźć się w stepie. Trzeciego dnia spaliśmy długo, bo było ciemno i cicho. W końcu trzeba było wyjść i załatwić się, ale nie mogłem otworzyć drzwi. Okazało się, że dom był zupełnie zasypany śniegiem. Wspólnie uchyliśmy trochę drzwi i zaczęło się kopanie tunelu w suchym i pylnym śniegu. Wpierw dokopaliśmy się do okna, a później w górę schodami, żeby wprowadzić trochę światła do domu. Gdy traktor z sowchozu przekopał drogę w osiedlu, wtedy zrobiliśmy tunel do ulicy. Przez kilka dni szło się do obory do pracy tunelami, ale później śnieg udeптаł się a resztę rozwiał wiatr, wtedy widziało się światło dzienne.

Któregoś dnia przed Bożym Narodzeniem przyszła pocztą paczka, list od ciotki Weroniki i list od Jasi, która dostała nasz adres od ciotki. Co za uciecha! Cukier, machorka, herbata i inne drobiazgi. Wszystko to było drogocennym produktem do wymiany na chleb, masło i sery od Kazachów. Prawdziwa herbata była dla nich nieocenionym skarbem, gdyż za dawnych czasów herbata sprowadzana z Chin była jedynym i codziennym ich napojem. Teraz w Kazachstanie można było tylko nieraz dostać suszone owoce (prawie palone), które rozrabiało się w gorącej wodzie i to był jedyny płyn do picia. Polska machorka też była cenna, bo rosyjskie „kuraszki” (suszone drobne korzenie) nie miały ani mocy ani aromatu. Jedynie cukier zatrzymaliśmy dla siebie, żeby trochę osłodzić naszą niedolę.

Wigilia Bożego Narodzenia wypadła we wtorek. Pracowałem cały dzień przy sprzątanii w oborach. Przyszedłem do domu zmęczony i brudny, ale spotkała mnie niespodzianka. Alicja używając swojej pomysłowości i zdolności do ręcznych robót skonstruowała małą choinkę z gałęzi wyrwanych znad strumyka. Udekorowała ją zabawkami z papieru i ustawiła na stole. Po umyciu się i skromnej kolacji zakończonej słodką herbatą zaczęliśmy śpiewać kolędy. Wzruszone głosy potęgowały się coraz to bardziej, ale w końcu Babcia rozplakała się i musieliśmy przerwać ten koncert. Po wspólnej modlitwie, prosząc o zdrowie i szczęśliwy powrót do wolnej Polski, poszliśmy spać, by na drugi dzień wrócić do pracy. Państwowy sklepik w osiedlu czasem miał rozmaite przedmioty do sprzeda-

nia. Kiedyś zauważyłem wiszącą na haku mandolinę. Wprawdzie brakowało jednej struny i była trochę pęknięta, ale cena była dostępna. Po sprawdzeniu naszych funduszków postanowiliśmy kupić ten instrument.

W czasie zimy kobiety nie miały wiele zajęć i większość czasu poświęcało się zdobyciom i przygotowaniem jedzenia. Wieczorami młodzież gimnazjalna zbierała się w jednym domku i zabawiała się śpiewami przy akompaniamencie gitary, którą przywiozła gimnazjalistka z Kowła, i mojej mandoliny. Przypominały się nam wszystkie stare piosenki harcerskie i bez ogniska obozowaliśmy w domu. W nowym transporcie Polaków były tylko matki z dziewczynkami i one powoli zaczęły przyzwyczajać się do trybu życia zesłańców. Tubylcy nie mogli nadziwić się naszym społecznym życiem, wspólnymi zabawami i śpiewom.

W końcu przyszła wiosna. Śnieg szybko zaczął się topić i porobiły się małe jeziora. Mały strumyk, który przepływał koło osiedla był początkiem rzeki Inszym i teraz stał się groźnie wyglądającą rzeką. Woda dostawała się aż do domów. Oczywiście nigdzie nie można było wyjść. Mokre „kiziaki” nie chciały się palić w piecu, a bydło w oborach ryczało z głodu. Siano już dawno się skończyło, a słoneczniki były zalane wodą, więc krowy dostawały tylko racje owsa i jęczmienia zmieszaną z makuchami (prasowane ziarna słoneczników).

Gdy śnieg się stopił i woda trochę odeszła, zrobiło się niesamowite błoto. Zasadniczo nigdzie specjalnych dróg nie było, jeździło się stepem najbliższą drogą, ale tym razem trzeba było omijać liczne jeziora, które ciągle wyglądały groźnie. Trawa zaczęła rosnąć w przyśpieszonym tempie i bydło z obór zostało wypuszczone w step. Obsługa złożona wyłącznie z Kazachów wędrowała z bydłem w głąb stepu używając jeziora za wodę do picia dla bydła. Kazachowie uważali tę czynność za ich wrodzony obowiązek i przywilej i nikogo nie dopuszczali by im towarzyszył.

W miejscowym sklepie ciągle nie można było nic kupić, bo bagniste drogi utrudniły jakikolwiek transport. Nasza Babcia z innymi starszymi kobietami wybrały się do ukraińskiego kołchozu, Dońskoję, do wymiany ubrania na jedzenie. Robiły to w nocy, bo nam nie wolno było opuszczać naszego osiedla. Ukraińcy byli wywiezieni kiedyś wielkimi grupami do Kazachstanu i tu trzymając się razem tworzyli swoje kołchozy, które bardzo dobrze utrzymywali. Mieli ładne białe domki i ogródki z jarzynami i kwiatami. Od nich można było dostać rozmaite produkty rolne, jak również nauczyć się od nich ich przebiegłego sposobu bytowania w syberyjskim komunistycznym kraju.

Jak tylko ziemia wyschła zaczęło się znowu koszenie trawy. Wpierw dookoła osiedla, a szczególnie w pobliżu strumyka. Trawa tam rosła bardzo wysoka i gdyby uschła, to nie można byłoby ją skosić. Wszystkie kobiety zostały wysłane do obory z owcami do strzyżenia. Robiło się to ręcznie nożycami. Związana owca leżała na ziemi, i w przykuckach, panie z Polski próbowały pozbawić owce ich sierści. Kaleczyły je, ucinały wystające części anatomii i jakoś nigdy nie mogły wypełnić „normy”, i dlatego też niewiele mogły zarobić. Muszę wspomnieć w tej chwili, że w sowchozie każda czynność miała odpowiednik czasu i zapłata zależała od ilości godzin zarobionych. Jeżeli strzyżenie owcy miało trwać godzinę, a nasza pani męczyła się nad nią przez cały dzień, więc ona zarobiła tylko 1/8 roboczego dnia. Jeżeli przy tym dostała zupę i kawałek

chleba wartości trzech godzin pracy, więc po całym dniu była im winna dwugodzinny zarobek. Tak pracowała Irka, ale Mama potrafiła ostrzyć trochę więcej owiec i po całym dniu obie wyszły na zero.

Gdy woda w jeziorkach trochę wyschła, okazało się, że są one pełne ryb. Wszystkie mniejsze ryby zostały zjedzone przez duże szczupaki, a te teraz niemrawe dusiły się z braku tlenu. Woda wysychała i wsiąkała w ziemię jeziorka stały się płytkie. Było to odkrycie dla nas wielkim skarbem, bo teraz codziennie mogliśmy mieć zupę rybną ze złapanych rękoma lub improwizowaną siatką, szczupaków. Alicja była najlepszym rybakiem, bo chyba pamiętała dawne czasy nad Muchawcem, gdzie łapało się miętusy i szczupaki płaskimi koszami. Kazacy najwyraźniej tym się nie interesowali, bo to przecież mięsożerny naród.

Później latem, Babcia wykryła, że niedaleko strumyka rosły grzyby. Były one podobne do naszych prawdziwków, ale tu przecież nie ma lasów i podejrzane grzyby baliśmy się spróbować. Nasze żywnościowe zapasy już dawno się wyczerpały, w sklepie nic nie można było dostać, a wymienić też już nie było z czego. Babcia powiedziała, że jest już stara i jeżeli nawet zatruje się grzybami, to przynajmniej reszta rodziny ocaleje. Wygotowała te grzyby wpierw, a później zrobiła grzybową zupę i sama ją zjadła. Stwierdziła, że jest bardzo smaczna, więc i umierać nie będzie przykro. Nic się jednak Babci nie stało, więc wszyscy dopadli do reszty zupy i dziękowali Babci za poświęcenie się.

Przy koszeniu trawy w okolicy osiedla nie było stołówki. Kazacy szli do swoich lepianek na posiłek, a my szliśmy do strumyka, nabieraliśmy wody w kubeczki, które mieliśmy ze sobą i piliśmy tą wodę bez niczego. Kazacy widząc to często dawali nam kawałek sera albo lepioskę z jęczmiennej mąki. Byliśmy im bardzo wdzięczni a oni cieszyli się, że choć trochę mogli nam pomóc. Mieliśmy wielu przyjaciół w tubylcach, którzy współczuli nam i starali się pomóc w naszej niedoli. Bardzo się cieszyli, gdy staraliśmy się porozumiewać z nimi w ich własnym języku, który wydawał się nam dość prosty i łatwy do zapamiętania. Miałem przy sobie mały notesik, w którym zapisywałem nowe kazackie słowa i tym sposobem szybciej mogłem się nauczyć.

Po skończeniu koszenia trawy w okolicy osiedla, wybraliśmy się w step. Doświadczeni zeszłorocznym pożarem, zabroniono palenia papierosów, palenia ognisk i używania starych traktorów. Kazacy zamiast palenia papierosów żuli jakieś specjalnie preparowane korzenie. W miejscach spalonych trawa była zielńsza i wyższa. Stogi więc rosły wwyż i wszcz.

23-go czerwca 1941 roku „uszczotczyk” przyjeżdżający do mierzenia stogów przywiózł nam wiadomość, że Niemcy napadli na Rosję i posuwają się szybko na wschód. Nie wiedzieliśmy jak tą wiadomość przyjąć i jakie zmiany to wydarzenie przyniesie, ale nadzieja wstąpiła w nasze serca z myślą, że to może doprowadzi do naszej wolności. Już ponad rok minął, gdy zabrano nas z domu. Pracujemy jak niewolnicy bez wynagrodzenia, o kromce chleba. Brak jakiegokolwiek intelektualnego zajęcia i marnowanie cennego młodzieńczego wieku jest największym ciosem dla nas. Polskie dzieci nie chodzą do żadnej szkoły, nawet rosyjskiej. Martwiłem się bardzo o Alicję, Dezia i Irkę, bo oni przede wszystkim powinni być w szkole. Polskich dzieci w ich wieku jest tu wiele i wszystkie marnują czas. Moje studia też są przerwane. Jeżeli nawet kiedyś będziemy wolni, to kiedy będziemy mogli nadrobić stracony czas nauki.

W czasie wojny rosyjsko-niemieckiej

Pod koniec sianokosów zaczęły się drobne zmiany. Zabrano do wojska duże gąsienicowe traktory, wiele bydła i większość traktorzystów. Uprawiając czy zarządził zorganizowanie kursu traktorzystów dla młodych chłopaków, którzy nie byli w wieku poborowym. Ja też dostałem się na ten kurs i musiałem bez rodziny przenieść się tymczasowo do centralnej osady.

Umieszczono nas w budynku zwanym *Obszczeje życielstwo*, który miał tylko jedno pomieszczenie z dużym piecem na środku. Wszyscy spali na siennikach wypchanych słomą, leżących na gołej, ubitej ziemi. W świetlicy, znajdującej się w budynku urzędu *uprawiającego* odbywały się teoretyczne wykłady w języku rosyjskim przez jednego z kombajnistów, który jeszcze nie został powołany do wojska. Książki były dostępne, ale alfabet rosyjski sprawiał mi wiele kłopotu. Powoli jednak obznajomiłem się z technicznymi wyrazami, a teorię silników spalinyowych znałem jeszcze z Liceum. Zdziwiłem swojego instruktora. Dawał mnie za przykład dla młodych Kazachów. Jedliśmy na kredyt w stołowni, za co w przyszłości mieliśmy odrobić pracą na traktorach. Na śniadanie dostawaliśmy kromkę chleba i słodzoną herbatę parzoną z suszonych owoców. Wieczorem dostawaliśmy drugi posiłek. Była to zwykle zupa z kapustą z mącznymi kluskami zakwaszona jakimś tłuszczem i do tego znowu kromkę chleba.

Raz w tygodniu, po lekcjach, szedłem piechotą do posiołka do Mamy, żeby wymyć się i zmienić bieliznę. Zwykle miałem towarzysza Kazacha, Marasza, który też mieszkał w tym samym posiołku. Szliśmy po śniegu po ciemku, zwracając uwagę na wytarte ślady po sankach. Często spotykaliśmy świecące oczy wilka, ale jakoś nigdy nie byliśmy zaatakowani. W czasie takiej jednej wędrówki, gdy mroźny wiatr wiał w twarz, odmroziłem nos i nogi w swoich gumowych butach. Marasz próbował mi pomóc, podpierając mnie za ramię, bo sam był w walonkach i w watowanej kurtce i wiatr mu tak nie szkodził. Dowlokłem się do osiedla z trudnością a Mama musiała znowu ratować moje kończyny nacieraniem śniegiem. W następną sobotę jeden z Kazachów wybierał się sankami do naszego osiedla, Marasz uprosił go, by zaczekał na nas zanim skończymy lekcje, by później razem jechać do osiedla.

Zbliżało się Boże Narodzenie, ale w tym roku wypadło w czwartek, postanowiliśmy więc uczcić święto wcześniej, w niedzielę 21-go grudnia. Jeszcze w czerwcu, przed początkiem wojny niemiecko-rosyjskiej dostaliśmy drugą paczkę od ciotki Weroniki. Chociaż większość produktów otrzymanych przehandlowaliśmy, to jednak trochę słodczy zachowaliśmy na tę uroczystość. Tym razem nikt nie płakał, a przy pomocy mandoliny mogliśmy śpiewać kolędy weselej.

Któregoś wieczoru zawitała do nas do szkoły traktorzystów jedna z naszych polskich pań z posiołka, „Muszka”, i prosiła nas o nocleg, bo już było za późno, żeby mogła wracać piechotą. Oczywiście, kursanci zaopiekowali się nią bardzo troskliwie, nawet przynieśli trochę zupy ze stołówki i posłali pryczę na podwyższeniu, żeby nie musiała spać na ziemi. Murasz napalił w piecu i po pewnym czasie wszyscy położyli się na swoje miejsca.

W nocy obudziłem się z zawrotnym bólem głowy i gdy próbowałem wstać, byłem bliski omdlenia. Podczołgałem się do drzwi i ostatkiem sił otworzyłem je. Upadłem głową na zewnątrz i wdychając świeże powietrze powoli zacząłem odzyskiwać przytomność. Wtedy usłyszałem jęki wychodzące z różnych stron sali i

uprzytomniłem sobie, że wszyscy się potruli. Przede wszystkim pomogłem pani Muszce wydostać się z jej pryczy i wyjść na dwór. Ona leżała najwyżej i ciepłe gazy najbardziej ją zatrwały. Z resztą mieszkańców było mniej kłopotu, bo otwarte drzwi i wchodzące mroźne powietrze, szybko ich otrzeźwiło. Okazało się potem, że nasz młody Kazak chciał zachować jak najwięcej ciepła, żeby pani nie zmarzła i zatkał komin na dachu dużym kamieniem. To była normalna praktyka codzienna, tylko że tym razem zrobił to za wcześnie. Rano wszyscy byliśmy bardzo bladi, z bolącymi głowami i niezdolni do nauki. Pani Muszka, półżywa, dostała podjazd do domu, więc nie musiała iść piechotą. Całe szczęście, że przygoda ta zakończyła się bez śmierci, do której było nam bardzo blisko.

Przyszły w końcu egzaminy teoretyczne a później praktyczne, które polegały na umiejętności jazdy traktorem i operowaniem różnych rolniczych maszyn oraz naprawy i regulacje silników. Byłem jedynym kursantem, który dostał od razu najwyższą kategorię prawa prowadzenia traktorów. Upoważniało to mnie do operowania pojazdów nawet w nocy bez nadzoru. Zwykle do jednego traktora przeznaczano dwóch lub trzech traktorzystów, żeby traktor nigdy nie stał. W dzień pracowali traktorzyści z początkową kategorią, bo zawsze był jakiś dobry mechanik do pomocy. Natomiast w nocy nikogo nie było i trzeba było samemu dać radę szybko naprawić.

Po kursie jeszcze było za wcześnie pracować na traktorach, dlatego zostałem przydzielony do głównego ślusarza w warsztatach do naprawy traktorów i przygotowanie ich do wiosennej pracy. Pod koniec kwietnia zaczęliśmy orać ziemię traktorami na ziarno dla bydła. Wyjechaliśmy brygadą w pole i tam mieszkaliśmy w wagonie na kołach. Ziemia była jeszcze mokra po zimowym śniegu a miejscami była jeszcze zamrznięta.

Pracowało się na dwie zmiany, ja oczywiście w nocy. Przydzielili mi bardzo stary traktor bo twierdzili, że jestem dobrym mechanikiem to dam sobie radę. Po kilku nocach „uszczotczyk” stwierdził, że zużywam za dużo paliwa na ilość zoranej ziemi i nadwyżkę tę muszę pokryć z własnego zarobku. Wobec tego zacząłem robić to samo co inni, to znaczy wyciągać pługi, żeby tylko drapały ziemię po wierzchu, a głębokości i tak nikt nie mierzył. Przy obozie oranie było normalne, ale gdy odjechało się dalej, to wtedy wyciągało się pługi do następnych kilku kilometrów. Przez noc można było przejechać dookoła tylko kilka razy bo przejazdy były bardzo długie. Oraliśmy step, na którym rosła tylko trawa, a ponieważ nie dawano żadnego nawozu, więc dobrego plonu trudno było się spodziewać.

Po zakończeniu oznaczonego terenu w jednym miejscu musieliśmy zwinąć nasz obóz i przejechać na inne miejsce. Dostałem pozwolenie od brygadiera na pojechanie do rodziny, żeby wykąpać się i wyprać bieliznę, a w międzyczasie Grysza, Polak z pochodzenia, pewnie potomek wygnańców z czasów Powstania Styczniowego, miał przewieźć nasz traktor na nowe miejsce. Czekaając na Kazaka, który miał mnie przewieźć na to nowe miejsce, dowiedziałem się, że mój traktor spalił się. Traktorzysta miał puszkę z benzyną, którą używało się do zapalania zimnych silników, wstawioną koło rurki oliwnej. Rurka przetarła się i oliwa wylała się w czasie jazdy. Silnik oczywiście przegrzał się i spalił. Całe szczęście, że benzyna w puszcze nie wybuchła i nic się Gryszy nie stało. Po tym wypadku Grysza, mój dzienny traktorzysta, został na posiołku i przydzielono go do obsługi koni w stajni. Było podejrzenie, że traktor spalił się z mojej winy i

mogli mnie posadzić do więzienia, ale Grysza przyznał się, że postawił naczynie z benzyną w złym miejscu i zapomniał o nim. Biorąc winę na siebie obronił mnie, ale sam został ukarany.

Czekając na przydział nowej pracy zostałem z rodziną na osadzie. Rano goląc się dobrze przytępioną żyłką, gdyż nowych ostrzy tu nie można było dostać, zauważyłem w drzwiach stojącego Griszę. Przypatrywał się z zaciekawieniem mojemu skrobaniu po twarzy i w końcu odważył się poprosić, żebym mu pozwolił użyć żyłki. Dotychczas on zawsze golił się swoim ostrym scyzorykiem i nigdy nie było go stać na brzytwę. Tłumaczyłem mu, że żyłki są bardzo tępe, ale on domagał się coraz natarczywiej, więc rozrobiłem więcej mydła i pozwoliłem mu usiąść przy lustrze. Skrobał twarz i cieszył się jak mały dzieciak. W ten sposób zdobyłem stałego przyjaciela. Później Grysza bardzo często w wolnych chwilach przychodził do mnie i jak nie było trzeciej osoby w pobliżu, opowiadał różne wydarzenia z jego życia, niepowodzenia i wykorzystywania. Ciągle twierdził, że jego przodkowie byli Polakami i on tu jest już trzecim albo czwartym pokoleniem. Nie miał do nikogo zaufania i pomimo to, że był po czterdziestce, ciągle był samotny.

Teraz nie mając traktora wróciłem do warsztatów i jako pomocnik ślusarza naprawiałem stopem ołowiowym (*babit*) łożyska do traktorów. Łożyska te bardzo często trzeba było zmieniać, bo stare traktory miały wyrobione wały Kardana i nie były już okrągłe. Systematycznie przy zmianie oliwy w silniku robiło się tzw. *podciaszkę*, wyjmowano podkładki w łożyskach żeby zmniejszyć luz. Praca w warsztacie była o tyle przyjemna, że śniadanie i kolacje jadło się w stołówce (ciągle na kredyt).

Wkrótce zabrali resztę starszych traktorzystów, kombajnistów, elektryka, obsługę warsztatu i Griszę do wojska. Został tylko kierownik warsztatu, który był inżynierem mechanicznym, z pochodzenia Niemcem znad Wołgi. On miał zorganizować młodzież do wszystkich tych prac. Ja, jako jedyny traktorzysta najwyższej klasy, dostałem zadanie prowadzenia kursu traktorzystów. Kurs prowadziłem w ten sam sposób jak mój poprzednik, tylko w przyspieszonym tempie. Wyszkoliłem dziesięciu nowych młodych Kazaków, ale większość dostała niższą kategorię. Zostałem teraz na stałe przeniesiony do warsztatów.

Golenie się było coraz trudniejsze, bo mój mały zapas żyłek wytepił się okropnie. Zacząłem zaglądać do sklepiku teraz częściej i w końcu znalazłem brzytwę i osełkę do ostrzenia. Powoli i ostrożnie uczyłem się golić brzytwą, aż doszedłem do możliwej wprawy. Szkoda, że Griszy już nie było, bo na pewno mógłby nauczyć mnie szybciej. W tym czasie Mama dostała pracę kierowniczką zakładu krawieckiego w mieście Kima. Miała ona kroić i szyć watowane kurtki i spodnie dla wojska. Dostała mieszkanie dla całej rodziny w tym samym warsztacie, a Irka mogła też zarabiać szyjąc.

W między czasie Dezio zachorował na jakąś nieznaną chorobę. Był jakiś czas w szpitalu, ale mu nic nie mogli pomóc. Wrócił więc do domu i całymi dniami i nocami leżał na dużym chlebowym piecu. Nogi mu spuchły i wcale nie mógł chodzić. Mama rozpacziała i chociaż z Babcią próbowały rozmaitych domowych lekarstw i zabiegów, Dezio ciągle był beznadziejnym inwalidą.

Zima się zbliżała i trzeba było uruchomić w sowchozie elektrownię. W czasie lata, przed poborem do wojska, elektryk rozebrał w elektrowni generator na drobne części, niby w celu naprawy i spodziewał się, że to go ochroni przed wojkiem, bo centrala sowchozu nie mogła być bez elektryczności. Szczególnie

spawanie elektryczne było bardzo potrzebne przy naprawie różnych rolniczych maszyn, gdyż nowych części nie można było dostać. Nic nie pomogło, elektryk poszedł do wojska, a elektrownia została w kawałkach. Kierownik warsztatu miał zaufanie do mnie i powierzył mi złożenie i uruchomienie elektrowni.

Z elektrotechniki w Liceum Technicznym miałem pojęcie o generatorach, ale praktycznie nie miałem żadnego doświadczenia i musiałem użyć swojej wyobraźni i zdrowego rozsądku. Po dwóch dniach trzyfazowy generator był w jednym kawałku. Teraz trzeba było wykombinować, w jaki sposób połączyć tablicę rozdzielczą i przyrządy. Była to prawdziwa łamigłówka. W końcu nadeszła chwila próby. Młody maszynista uruchomił dieslowy silnik, a ja drżącą ręką i z modlitwą w myślach próbowałem załączyć główny 3-fazowy wyłącznik. Jasny błysk – i cała jedna strona warsztatu pokryła się ciemnością. Musiałem pomylić fazy, więc od początku nowe próby połączeń. Kierownik warsztatu nie był bardzo zły i pozwolił mi wymienić z magazynu nowe żarówki i tym razem zwiększać napięcie stopniowo. Tym razem wszystko działało sprawnie i automatycznie zostałem stałym elektrykiem.

Złożenie generatora do spawania elektrycznego było o wiele łatwiejsze. Zacząłem uczyć się spawania. Było to dosyć ciężkie zadanie, bo brakowało elektrod do spawania. Wyjmowaliśmy sprężyny ze starych siedzeń samochodowych. Kowal nagrzewał je, prostował i ciął na długość normalnych elektrod. Przy usiłowaniu spawania duża zawartość węgla w żelazie powodowała utlenianie się i rozpryskiwanie, a w miejscu spawanym prawie nic nie zostawało. Uczyłem się na dziurawych beczkach, które były z miękkiego żelaza i to trochę ułatwiało spawanie. Całe szczęście, że kierownik warsztatów był wyrozumiały i cierpliwy, poprzez dłuższy czas wypalałem większe dziury w beczkach zamiast je spawać.

Do załączenia spawarki trzeba było zarzucić pas transmisyjny na obracające się koło napędzane przez ciągle pracujący silnik dieslowy. Zawsze bałem się tej czynności, bo to dosyć niebezpieczne przedsięwzięcie. Nieraz udało mi się namówić kierownika warsztatu na zatrzymanie napędowego silnika i wtedy mogłem założyć pas transmisyjny bez kłopotu. Jednak raz, zakładając pas w czasie ruchu, pas złapał mnie przy złączu za rękaw, rzucił o ziemię i oczywiście wywichnąłem przy tym lewą rękę. W szpitalu złożono mój łokieć na miejsce i zagipsowano w zgiętej pozycji. Musiałem teraz pracować jedną ręką. Po dwóch tygodniach zdjęto gipsowy opatrunek, ale moja ręka nie mogła się wcale wyprostować. Lekarka twierdziła, że z czasem łokieć się rozrusza, a tymczasem muszę przykładać kompresy i ćwiczyć rękę. W międzyczasie były znowu pobory do wojska i zabrano kilku młodszych Kazaków i Polaków. Mnie się tym razem udało, bo kaleki ze zwichniętą ręką nie chcieli. Teraz byłem spokojniejszy, bo miałem obronę przed rosyjskim wojskiem.

Z pobliskiego kołchozu przyniesiono uszkodzony tryb z „kombajnu”, a ponieważ nie można było nowego dostać, chcieli spróbować spawania. Nie bardzo wiedziałem, jak się do tego zabrać, ale z instrukcjami kierownika warsztatów postanowiłem podjąć się tego zadania. Jak zwykle spawanie sprężynami było niesamowicie trudne, ale w końcu wypełniłem brakujące zęby trybu a młody maszynista tokarz wykończył to dosyć zgrabnie. Kołchoźnicy zabrali tryb z zadowoleniem i wszystko wyglądało dobrze, ale za kilka dni wrócili i zagrozili procesem i więzieniem dla mnie za podrzędną pracę. Zęby trybów odpadły znowu, a oni stra-

cili czas składając i rozkładając ten kombajn. Całe szczęście, że kierownik warsztatu ujął się za mną i wyrzucił ich z warsztatu.

W soboty wieczorem po pracy dostawałem konia z siodłem i jechałem do Kimy do rodziny. Znowu byliśmy razem, opowiadaliśmy swoje przeżycia przeszłego tygodnia i zamiary na przyszłość. Dezio ciągle niedomagał, więc spróbowałem innej medycyny. Dostałem butelkę wódki od naszego znajomego fryzjera i dałem Edziowi całą szklanekę do wypicia. Nabrał trochę energii więc zabrałem go ze sobą do naszych panien na wieczorek. Tutaj chłopak rozochocił się patrząc na tańczące pary i powoli sam zaczął się ruszać. Później w domu po dobrej kolacji, na którą wszyscy złożyliśmy się, spał jak kamień. Na drugi dzień znowu zabrałem go ze sobą i teraz coraz to więcej miał energii. Powoli zaczęła opuchlizna z nóg opadać, Dezio nabrał apetytu, zaczął sam trochę chodzić a ja mogłem, spokojniejszy o jego zdrowie, wrócić do pracy w sowchozie. W następną sobotę Dezio już sam mógł dobrze chodzić.

Niektórzy znajomi Rosjanie w Kimie mieli radia i od nich mogliśmy się dowiedzieć jednostronnych wiadomości o postępie wojny. Nie były to zbyt wesołe informacje, bo ciągle słyszeliśmy o rosyjskich klęskach, ale byliśmy pewni, że Niemcy tak daleko na wschód nie dotrą. Niemców ciągle uważaliśmy za największych wrogów, bo przecież oni byli przyczyną naszej tułaczki i niewoli.

W kołchozie elektrownia pracowała dobrze, ale światła były tylko w warsztacie, w urzędach i na ulicy. Teraz mieszkańcy zaczęli się domagać, żeby im też zaprowadzić światło w domach. Nigdy tego nie robiłem, ale widziałem w Prużanie jak elektrycy włązili na słupy i przeciągali druty, więc z braku innego zajęcia zacząłem szukać materiałów w składzie. Znalazłem trochę izolatorów, które były dosyć cienkie i sprężyste (miały w sobie dużo żelaza). Bałem się wpierw wleźć na słup, gdyż moja zwichnięta ręka ciągle nie mogła się wyprostować, ale po kilku próbach zacząłem łązić po słupach jak małpa. Izolowanego drutu do instalowania w domach nie miałem, ale był drut dzwonkowy. Uprzedziłem swoich klientów, że żarówki będą się świeciły bardzo ciemno i drut może się trochę nagrzewać, ale to ich wcale nie przstraszało i ciągle nalegali na przeprowadzenie instalacji. Po kilku dniach pierwsze światło zabłyśło i dziękczynieniom nie było końca. Dostałem za to chleb i masło dla rodziny. Sam stołowałem się w jadalni, jak zwykle na kredyt. Wiele rodzin było świadkami pierwszego błysku żarówki w domu. Teraz byli przekonani, że ja wszystko potrafię.

W warsztacie musiałem zająć się reperacją urządzeń do zapłonu traktorów „magnito”. Traktory nie miały baterii i iskry do świec były wytwarzane przez urządzenie z magnesami, które po pewnym czasie traciły swoją moc i iskra była bardzo słaba. Traktorzysta musiał dobrze namęczyć się zanim ręcznie uruchomił swój silnik. Postanowiłem coś zrobić w tym kierunku i wspólnie z tokarzem skonstruowaliśmy urządzenie do ujęcia magnesu. Do tego dorobiłem cewkę z drutu i używając stałego prądu ze spawarki próbowałem wzmocnić te magnesy. Cewka składała się z wielu mniejszych cewek i połączenie ich szeregowo było tylko moją tajemnicą.

Pierwsza próba zawiodła mnie bardzo, bo zamiast wzmocnić, to rozmagnesowałem magnes zupełnie. Później odkryłem, że muszę uzgodnić polaryzację cewki i magnesów i odciągać magnes od cewki, kiedy ciągle prąd płynął w tym samym kierunku. Przerwanie prądu powodowało zmianę biegunów, co zneutralizowało magnes. Gdy traktorzysta wypróbował swój traktor z odświe-

żonymi magnesami, podziwiał moje zdolności. Wszyscy chcieli, żebym ich „magnito” naprawił, a ja miałbym zajęcie aż do wiosny. Tęskniłem bardzo za rodziną i młodzieżą, która teraz była w Kimie, i mimo to, że miałem dobrą pracę, jakoś nigdy nie mogłem wypłacić swoich długów w sowchozie. Postanowiłem opuścić go i przenieść się do Kimy. Mamy zwierzchnik dał mi odpowiednie papiery, że jestem potrzebny w szwalni, która produkuje ubrania dla wojska. Uprawiający nie miał wiele do powiedzenia, chociaż kierownik warsztatu bardzo się sprzeciwiał. Wyjechałem pozostawiając w sowchozie swoje długi.

W Kimie mieszkałem razem z całą rodziną w warsztacie. Mama miała już kilka maszyn do szycia zepsutych i moim zadaniem było naprawianie ich. Były to stare noże maszyny Singera, na których napisy ciągle były widoczne. Części zapasowych nie było, więc jako ślusarz musiałem je sam dorabiać. Nie mając żadnego warsztatu ani narzędzi, uprawiający wysłał mnie do Atbasar po zakupy. W tym czasie żadnych samochodów nie było, bo wszystkie zostały zarekwirowane dla wojska, więc jechaliśmy konną bryczką. Dopiero wieczorem dotarliśmy na miejsce i sklep już był zamknięty. Zostaliśmy na noc i Kazach pojechał do swoich znajomych, a ja do swoich Polaków, którzy tu już dobrze się urządzili. Kolega w moim wieku, Mikuś, z którym należałem jeszcze do zuchów w Prużanie, prowadził tu miejską elektrownię. W Polsce był on praktykantem w miejskiej elektrowni i widocznie wystarczająco się nauczył, żeby tu prowadzić samodzielnie elektrownię, bo cała poprzednia obsługa była już w wojsku.

Mikuś mieszkał tu z matką, młodszym bratem i siostrą. Wszyscy mnie bardzo mile ugościli. Następnego dnia, za pieniądze które dostałem od Mamy zwierzchnika, kupiłem narzędzia, które mogły być użyteczne przy naprawianiu maszyn do szycia. Z rodziną Gruszków spędziłem resztę dnia, a następnego poranka zaczęliśmy powrotną długą drogę. Konie już wystarczająco odpoczęły, więc galopem posuwały się po polnej drodze.

Już po tygodniu udało mi się wszystkie maszyny naprawić, i z braku innego zajęcia, uprawiający dał mi kilka zamków i kazał dorobić do nich klucze. Nie wiem, jak to on sobie wyobrażał, ale ja zdołałem tylko jeden zamek rozzebrać, by zbadać jego mechanizm i z kawałka żelaza wypiłować ręcznie klucz. Zabrało mi to kilka dni. W międzyczasie padał duży deszcz i frontowa ściana naszego warsztatu, zrobiona z kamieni sklepanych wapnem zapadła się i znaleźliśmy się na ulicy. Na szczęście kamienie wysypały się na zewnątrz i nikogo nie poraniły. Przez kilka dni spaliśmy w uszkodzonym budynku, chociaż było zimno i mokro. Gdy deszcz ustał, murarze naprawili ścianę i praca w warsztacie zaczęła na nowo.

Po jakimś czasie wysłano wszystkich młodszych Polaków, wraz z nami, na kamieniołomy bazaltowe, w celu dostarczenia kamieni używanych do ostrzenia narzędzi. Kilołami rozbijaliśmy skały i ładowaliśmy je na wozy, które gdzieś je odwoziły. To nie trwało zbyt długo, bo po tygodniu zmobilizowano wszystkich zesłańców polskich zdolnych do fizycznej pracy i wysłano na budowę kolei potrzebnej dla wojska. Zwieziono nas do dużego baraku w polu, gdzie już częściowo budowa kolei była rozpoczęta, ale przypuszczalnie tych robotników zabrano do wojska. Tym razem była tu też Irka i Mama. Babcia z Deziem i Alicją zostali w Kimie w warsztacie, który był unieruchomiony. Babcia z młodszym rodzeństwem nie miała żadnych środków utrzymania i gdy pieniądze zostawione przez Mamę wyczerpały się, musiała zająć się żebractwem.

Brygadier przyjeżdżał konno z rana i wyznaczał wszystkim pracę, a wieczorem przyjeżdżał uszczotczyk, który mierzył wyrobioną ziemię. Pod wieczór przyjeżdżała polowa kuchnia z chlebem i zupą i znowu na kredyt można było zjeść. Na noc zostawali sami Polacy. Praca była bardzo ciężka, bo ręcznie łopatami kopało się ziemię na wózki, którymi przewoziło się na niższe miejsca. Przekopywanie wąwozu przez górę piaszczystą posuwało się bardzo powoli.

Ponieważ mój lewy łokieć ciągle był sztywny i nie mogłem operować łopata, przeznaczono mnie do przewożenia ziemi dwukołowym wózkiem ciągnionym przez jednego konia. Było kilka takich zaprzęgów i młodszy chłopcy obsługiwali je sprawnie. Wieczorem, gdy brygadier odjechał, urządziliśmy wyścigi wózków, które wyglądały jak rzymskie Czarnoty. Gdy konie zaczęły się pnieć ze zmęczenia, przerywaliśmy te zawody i choć z pustym żołądkiem uprzyjemnialiśmy sobie czas piosenkami i tańcem. W międzyczasie konie pasły się w stepie.

Gdy zakończyliśmy kopanie przy tej górze, a inni robotnicy zaczęli montować tory, to nas wszystkich zabrano do innego miejsca, gdzie również zamieszkaliśmy w istniejącym już baraku. Wszyscy spali na pryzkach obok siebie w ubraniach, pod własnymi kocami, pod którymi w czasie dnia ukrywało się osobiste rzeczy. Kopaliśmy ziemię znowu w podobnych warunkach a głodni i zmęczeni byliśmy coraz to mniej wydajni i nasze codzienne racje żywnościowe były zmniejszane. Przestaliśmy śpiewać wieczorami i zmęczeni, leżąc na pryzkach, myśleliśmy o jakimś cudzie.

Straciliśmy rachubę czasu i minęło pewnie jeszcze kilka tygodni, aż któregoś wieczora dostaliśmy wiadomość o amnestii dla Polaków i o tworzeniu się Armii Polskiej w Rosji pod dowództwem generała Andersa. Reakcja była natychmiastowa. Wszyscy rzucili pracę i jeszcze tego samego wieczora cała polska brygada piechotą zaczęła maszerować do Kimy. Wzięliśmy ze sobą wózki z końmi, żeby przewieźć cięższe rzeczy. Szliśmy tak przez całą noc, a następnego dnia dogonił nas brygadier na koniu i namawiał, żeby wrócić do pracy, nawet groził, ale to nie odniosło żadnego skutku i maszerowaliśmy dalej.

Wolność, to bardzo silne i wzniosłe hasło. Wczoraj byliśmy niewolnikami a dziś możemy powiedzieć – Nie! Wieczorem dotarliśmy do jakiegoś kołchozu i wynajęliśmy furmanki, które zawiozły nas do miasta. W Kimie, po odpoczynku, każdy starał się dostać jakąś pracę, żeby było z czego tymczasem utrzymać się. Tym razem panie szukały zajęcia, które by im lepiej odpowiadało. Mama uruchomiła znowu swój warsztat i szyła sukienki dla miejscowych Rosjanek i Kazaczek. Był to bardzo dobry interes, bo z przyniesionych materiałów często zostawały kawałki, z których Mama szyła rozmaite bluzki i koszule, i sprzedawała lub wymieniała na żywność. Irka pomagała Mamie z nową energią. Ja tymczasem wróciłem do sowchozu pod warunkiem, że wszystkie moje stare długi zostaną umorzone.

Elektrownia nie potrzebowała mojej pomocy, bo młody praktykant, którego zostawiłem, umiał sam ją uruchomić, a nikt generatorów więcej nie rozbierał. Zająłem się naprawą elektrycznych części traktorów, a przede wszystkim magnosowaniem „magnit”. Teraz płacono mi dzienną stawkę i nie musiałem wyrabiać żadnej normy. Zbierałem w ten sposób pieniądze na przyszłą podróż do polskiego wojska. Na wiosnę dostaliśmy list od ojca, w którym pisał o swoim pobycie w łagrze i później w polskim wojsku. Pisał, że będąc w łagrach napisał list do Wero-

niki i dostał od niej nasz adres. Obiecał też przysłać nam odpowiednie papiery z dowództwa, pozwalające na wyjazd całej rodziny na południe.

W marcu 1940 roku w nocy ojciec został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Prużanie, stąd przesłano go do Brześcia a później do łagru w Rosji w Uchcie. Tam pracował przy kopaniu rowów melioracyjnych w zamrażanej ziemi. Na wiosnę wysłano go do kamieniołomów. Po amnestii natychmiast zameldował się do Polskiej Armii, gdzie pracuje w kancelarii sztabu generała Andersa. Sprzedajemy większość naszych rzeczy i przygotowujemy się do wyjazdu. Mama z Babcią pieką placki na wodzie, a młodsze pokolenie pakuje nasze osobiste rzeczy do worków. Walizek nie mamy, a worki można nosić na plecach. Każda osoba będzie wyposażona w swój pakunek dostosowany do jej siły.

Tymczasem przekazałem swoje obowiązki w sowchozie młodszemu Kazakom, ale nikomu nie pokazałem, jak można użyć mój przyrząd do naprawy magnet. Pewnie do dzisiaj to skomplikowane urządzenie leży gdzieś schowane w magazynie. Inni Polacy w Kimie i w okolicznych sowchozach nie byli tak szczęśliwi i bardzo nam zazdrościli. Kilka młodszych pań, zamężnych, szykowało się też do podróży z nadzieją odnalezienia męża, albo w celu wstąpienia do wojska jako sanitariuszki. Panie te wyjechały jeszcze przed nami, gdy tylko otrzymały zezwolenie od NKWD.

Żona lekarza wojskowego z 25-go Pułku Ułanów, która po śmierci swojej córki mieszkała razem z nami, miała te same nadzieje. Śmierć jej dziecka pogrzebała ją w głęboką depresję i każdą wolną chwilę spędzała na grobie dziecka rozpaczając. Gdy nastąpiła amnestia, obudziła się w niej nadzieja, że może odszuka męża. Wraz ze swoją matką wyjechały do Atbasar. Twierdziła, że będzie na stacji kolejowej wypatrywała pociągu, w którym może będzie jechał jej mąż.

Rodziny, które nie miały nikogo zdolnego do wstąpienia do wojska i nie miały wiadomości od swoich ojców czy mężów, musiały pozostać na miejscu, bo nie dostały pozwolenia od władz NKWD na wyjazd. Te osoby wróciły do Polski dopiero po wojnie, gdy nastąpiła repatriacja wysiedleńców cztery lata później. Wiele osób z innych sowchozów dało radę dostać się do wojska. Kilku moich kolegów z gimnazjum, którzy jechali z nami tym samym pociągiem do Rosji, i których wysłano do innych sowchozów, spotkałem później w polskim wojsku we Włoszech.

W końcu przyszedł dokument od ojca. Dostaliśmy zezwolenie na wyjazd z urzędu NKWD. Zakończyliśmy nasze pakowanie i zdanie warsztatu krawieckiego władzom miejskim. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi przyjaciółmi i znajomymi, którzy nie mogli w tej chwili wyjechać. Wynajęliśmy od Kazaków sanki z koniem i w marcu 1942 roku, tuż po świcie, wyruszyliśmy w podróż do Atbasar.

Żegnaj kraino niewoli!

*

Publikowane powyżej relacje są fragmentem historii z życia dwojga młodych ludzi: Grasi Nizioł i Genka Lachockiego, którzy wicherami wojny rzućeni zostali na Syberię a potem szukali swego miejsca w świecie.

Mąż mamy Grasi Nizioł zmarł przed II wojną światową mimo tego 10 lutego 1940 roku z siedmiorgiem dzieci w wieku 2 lat wżwyż, została ona wywieziona w okolice Archangielska. By przeżyć Grasia od 8 lat, kolejno zajmowała się opieką dziecka

rosyjskiego, zbieraniem jagód leśnych, itp. często jednak chorowała i szczęśliwie przetrwała ten czas pogardy na sowieckiej ziemi..

Po tzw. amnestii będącej rezultatem umowy zwanej potocznie Sikorski-Majski, cała rodzina dostała się do Uzbekistanu, po czym przez Pahlevi i Teheran do Isfahanu, Tam Grasia uczęszczała do szkoły. We wrześniu 1946 r. opuściła Isfahan i z grupą innych polskich dzieci wyjechała do Libanu. W okolicach Bejrutu, w Antourze miejscowa rodzina odstąpiła część swego domu rodzinie Nizioł, gdzie Grasia chodziła do polskiej szkoły w Zouku. Po trzech latach kraj ten opuszcza cała rodzina Niziołów, podobnie jak wszyscy przebywający tam Polacy i w styczniu 1948 roku zamieszkuje w Wielkiej Brytanii..

Tam Grasia uczęszczała do szkoły w Stowell Park, skąd przeniosła się do Londynu, by pracować w szwalni. Pewnej niedzieli odwiedziła znajomą i głośno opowiadała o swoich przygodach. Wtem wszedł do ich pokoju Genek i poprosił by mniej hałasowały, bo to przeszkadza mu w uczeniu się, był bowiem już studentem pragnącym zdobyć zawód inżyniera. Jednak oczarowany młodymi dziewczynami dołączył do nich, co w roku 1951 zaowocowało jego ślubem z Grasią. Po ukończeniu studiów politechnicznych przez G. Lachockiego młodzi małżonkowie zdecydowali się wyjechać w 1952 roku do Stanów Zjednoczonych. Tam Grasia rozpoczęła pracę w fabryce za 80 centów na godzinę. Postanowiła jednak uczyć się wieczorami, rozpoczynając od buchalterii, a potem jej nauka objęła pielęgniarstwo i w konsekwencji zmianę zawodu. Owocem dalszych studiów był dyplom „Teacher of Secondary Biological Science” ze stopniem BA. Od tego czasu pracowała jako nauczycielka. Będąc ambitną i bardzo zdolną osobą zdobywała dalsze stopnie: magisterski z biologii i drugi z historii. W ostatniej fazie swojej kariery wykładała na uczelni. Po czym zaczęła pisać książki.

Jej pierwsza książka *Niezapomniane jutro*, zdobyła III nagrodę w Warszawie. Druga zatytułowana *Goodbye Tomorrow* cieszyła się wielką poczytnością, natomiast trzecia pt. *The Hand of a Stranger* zyskała również szeroki krąg czytelników. Czwarta książka, to przetłumaczony pamiętnik Eugenii Deskur więźniarki z Ravensbruck, co służy dla nauczycieli jako źródło informacji o holokauście. A piąta (i chyba nie ostatnia) jest malutką, ale za to czarującą książką zatytułowaną *Orphan Ducklings*.

A teraz nieco informacji o drugim autorze powyższej relacji. Rodzina Genka Lachockiego została wywieziona do Kazachstanu, gdzie Genek zaczął „kariere” od pastucha kolchozowych krów, a już kilka lat potem walczył pod Monte Cassino. Studia ukończył w Wielkiej Brytanii i wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pracę zawodową miał interesującą, projektował bowiem między innymi kluczowe urządzenia, które miały zastosowanie w lotach na księżyc i międzyplanetarnych. Poza tym opracował kilka technicznych wynalazków na które uzyskał trzy patenty. We wszystkich promach kosmicznych zawarta jest częśćka myśli inżynierskiej E. Lachockiego. Zatem w uznaniu za wkład w realizację programu Apollo i Promu Kosmicznego jego nazwisko zostało wpisane do Alei Sławy tych dwóch przedsięwzięć. Państwo Lachoccy mieszkają na Florydzie oraz są członkami Kennedy Space Centre i biorą czynny udział w różnych działaniach tego ośrodka.

Małżeństwo Państwa Lachockich żywo interesuje się sprawami polskimi. Często biorą oni udział w spotkaniach autorskich z których społeczność amerykańska dowiaduje się o ich nietrywających losach, a także o wielu sprawach dotyczących Polski. W wyniku jednego z takich spotkań pewien filozof amerykański przyrzekł, że w swoich wykładach będzie prezentował także tematy dotyczące losów Polaków na Syberii i ich dróg do wolności. Dlatego możemy być dumni z Gryzeldy i Eugeniusza Lachockich, którzy tak skutecznie rozslawiają dobre imię Polski na świecie.

Dr inż. Jan Starczewski

KRONIKA

1. BARBARY ZIĘBY LISTÓW Z SYBERII CIĄG DALSZY

Irkuck, 28 września 2008 r.

Drodzy Moi!

Już dziesiąty dzień jestem w Irkucku po powrocie z Polski z nową wizą. Jeszcze nie do końca rozstałam się z Wami, więc dziś, przy szumie jesiennego wiatru za oknem, chciałabym porozmawiać z Wami, snując tę opowieść z pierwszych dni mojego kolejnego pobytu na Syberii.

Zacznę od podróży. Najpierw przedostałam się samolotem z Warszawy do Petersburga. Było fajnie, bo szybko, jeśli nie liczyć ryczących podpitych Polaków z jakiejś wycieczki. Tuż po lądowaniu jeden z Rosjan siedzących niedaleko mnie, na widok lotniska, powiedział filozoficznie do swego sąsiada: „Tak samo smutno jak w Polsce, ale bardziej swojsko”. Pewnie była to swego rodzaju melancholia spowodowana bezpłatnym piwem i winem, którym obaj panowie raczyli się całą drogę. Polka siedząca przed nimi zaprotestowała gwałtownie, że przecież w Polsce wcale nie jest smutno! No cóż, a ja myślałam o tym jeszcze po odprawie paszportowej i po wyjściu na zewnątrz, i choć wcale nie było mi smutno, to jednak stwierdziłam, że też czuję się swojsko. Mimo, że podczas pobytu w Polsce zawsze ponownie do niej przywykam i wydaje mi się, że jadę w obce strony. Ale to trwa tylko chwilę, bo – jak widać – zaraz po wylądowaniu znowu jestem u siebie. To działa w obu kierunkach.

W autobusie, który przewoził mnie z terminala międzynarodowego na krajowy, byłam jedyną pasażerką. Kierowca, odwracając głowę i przekrzykując warkot silnika, wypytywał mnie szczegółowo, skąd lecę, po co i jaka tam jest pogoda. Czy wyobrażacie sobie na przykład, żeby motorniczy tramwaju w Warszawie pytał wsiadających ludzi, co dziś robili na Żoliborzu i czy jadą teraz na Ochotę? A tu, w północnej stolicy byłego imperium, spokojnie opowiadałam facetowi o temperaturze, słońcu i opadach w Polsce i w Irkucku (wieści z Internetu). Takie sceny niekiedy mnie drażnią, ale tym razem było to dość zabawne, więc weszłam w sytuację zupełnie po miejscowemu. A przy okazji, przeciskając się w chaosie komunikacyjnym, pan kierowca nie omieszkał podzielić się wrażeniami na temat swojego kraju: Bez sensu to wszystko! Najpierw zbudują lotnisko i budynki dookoła, o drogach nie pomyślą, a potem w ogóle nie ma dojazdu i robi się potworny bardak. Nawet milicja nie może porządku zaprowadzić! No tak, było mi już zupełnie swojsko.

Potem kilkugodzinny spacer w okolicach Newskiego Prospektu, a następnie powrót na lotnisko, by wyruszyć w końcu na Sybir. Ale okazało się to nie takie proste i oczywiste. Nasz wylot co dwie godziny przekładano na następne

dwie godziny i w ten sposób spędziłam w Petersburgu całą noc aż do szóstej rano. Czytałam gazetę zabraną z pierwszego samolotu, bo na nic inteligentniejszego nie było mnie stać o takiej porze. Ludzie siedzieli spokojnie i dopiero około czwartej rozpoczął się lekki – ale bardzo lekki – bunt: *Taki kraj chrzaniomy! Wszędzie to samo*. Być może jeszcze kilka godzin siedzenia na żelaznych krzesłach spowodowałoby zawiązanie komitetu protestacyjnego, ale na szczęście nie miałam okazji tego sprawdzić. W brzasku nowego dnia odlecieliśmy na wschód. Po kilku godzinach było lądowanie (planowe) w Barnaule na Altaju, a pod wieczór tego samego dnia znalazłam się w Irkucku. I tu też było bardzo swojsko: remont lotniska trwający od kilku lat, trwa dalej; odbiór bagażu w drewnianej budzie; kierowca autobusu miejskiego stwierdzający, że skoro ktoś (czyli ja) wsiadł, to on w takim razie wyruszy na trasę. Bo to przystanek początkowy. Około 20.00 dotarłam do mieszkania i tak rozpoczęła się tutejsza codzienność.

Jej najpiękniejszym elementem okazała się cudna złoto-polska jesienna pogoda: bezchmurne niebo, łagodne ciepło słońca, kolorowe liście na drzewach i pod nogami. I specyficzny zapach jesieni. Z przyjemnością wybieram się na małe pobieganie w pobliskim parku, którego zresztą według europejskich kryteriów parkiem nazwać nie można. To raczej chaotyczne zbiorowisko drzew, krzewów i zarośniętych dzikich alejek, gdzieś tam wylanych asfaltem. Ale mniejsza z tym. W każdym razie przed moim wyjazdem kipiał zielenią, a teraz od stóp do głów błyszczy złotem. Przyjemnie jest pobiegać po szeleszczących liściach, a dla złapania oddechu pogrzać się w jesiennym słońcu i popatrzeć na płynącą melancholijnie Angarę.

W przedostatnim liście obiecałam Wam dalsze wiadomości z frontu rozkradania przejścia podziemnego. Otóż, zaraz po moim przyjeździe, naliczyłam 122 brakujące płytki. Jak widzicie – przyrost oszałamiający. Szczątki niektórych z nich wały się pod nogami. To mi nasunęło myśl, że być może niektóre ubytki są efektem nocnych pijackich ćwiczeń karate, a może wynikają też z „oszczędności” kleju przy ich układaniu. I oto w następnych dniach stał się cud! Przyjechała ekipa i położyła nowe płyty! A potem nawet posprzątała całe przejście, usuwając zwały śmieci, które uzbierały się przez te kilka tygodni. Również remont ulicy posunął się znacząco: samochody śmigają już po nowych jezdniach i tylko na jednym krańcu drogi trwają jeszcze jakieś wykopki, ale na szczęście jest to ten kraniec, który mnie nie dotyczy.

Dziwy wielkie, ale wytłumaczenie proste: 12 października będą wybory samorządowe. Zryw remontowy jest w takim okresie zawsze widoczny i dzięki elekcji miasto wzbogaca się o nowe kawałki chodnika, albo o jakąś pomalowaną ścianę. Moja trasa z mieszkania do katedry jest coraz bardziej ucywilizowana. Czy można jeszcze wątpić w dobro płynące z demokracji? Przynajmniej część społeczeństwa mobilizuje się do działania. Np. na tablicy pod moim blokiem dwa razy dziennie następuje totalna wymiana plakatów. Tak na moje wyzucie największą aktywność przejawia ekipa kandydata Antona Romanova (ale chyba nie z TYCH Romanowych). Na drugim miejscu postawiłabym Dmitrija Bajmaszova i Siergieja Levczenko. Przewija się też jakaś kobieta, ale nazwisko mi umknęło. Wszyscy są niedoścignieni w swoich zasługach i możliwościach. Codziennie wyciągam ze skrzynki całe gazety poświęcone osiągnięciom i planom. W jednej z nich była mapa naszej dzielnicy z zaznaczonymi kawałkami nowego asfaltu, nowych rur, dachów, krawężników, huštawek, śmietników itd. Ale największy optymizm wieje z ogromnych billboardów partii Jedna Rosja,

przedstawiających kobietę z wózkiem i głoszących, że „w tym roku po raz pierwszy liczba urodzeń przewyższyła śmiertelność”. Nie wiem, czy to ma sugerować tak dużą efektywność członków partii, ale w każdym razie, o ile to prawda, byłaby to rzeczywiście niezwykle pozytywna wiadomość, bo ludność kraju kurczy się w zastraszającym tempie.

Po takim zarysowaniu tła powinnam nareszcie przejść do naszych spraw. Dwa dni po przylocie miałam możliwość odwiedzić po paru latach Wierszynę i Majsk, znane Wam z moich dawnych listów. Sama podróż przez kolorową tajgę była już atrakcją nie lada, a w wioskach – wszystko jakby po staremu. A jednak zupełnie inaczej. Zmieniło się w tym czasie kilku księży, ale najważniejszy dla ludzi jest wciąż o. Ignacy. Wierszyński cmentarz przyjął kolejnych lokatorów. Przebudowane wnętrze kościółka, choć ładne, to jednak nie wywołuje entuzjazmu parafian, tęskniących za starymi obrazami, umieszczonymi tu przez ich najważniejszego duszpasterza. Dzieci podrosły, aż poznać trudno. Drewniana plebania też rośnie, rozbudowywana przez Alberta. A zalesione wzgórza stoją jak stały, obserwując spokojnie kolejne przemijające sprawy i pokolenia. W domu w Majsku czas jakby się trochę zatrzymał: na ścianie potężny i piękny portret Jana Pawła II, takiego z 1978 roku. Pewnie przetrzyma jeszcze niejednego pontyfikat. Ludzie też gościnni po staremu. Zaliczyliśmy tego dnia dwa obiady, po jednym w każdej wiosce. I w każdym było coś swojskiego: w jednym - polski niedzielny rosółek, a w drugim – zupełnie nasze placki ziemniaczane. Kolaćka tego dnia nie była już potrzebna.

Natomiast cztery dni później w katedrze miało miejsce wydarzenie ważne dla całego miasta. Odbывał się pożegnalny koncert znanej organistki Lidii Jankowskiej, mieszkającej w Irkucku od trzydziestu lat. Teraz właśnie postanowiła zmienić miejsce zamieszkiwania, więc była to okazja nie tylko do zakosztowania muzyki, ale także do wspomnień. Przez minione trzy dziesięciolecia występowała ona w naszym starym kościele, przerobionym na salę organową, a po pojawieniu się katedry z nowoczesnymi organami, nie odmawiała swego zaangażowania również tutaj. Ostatni koncert zgromadził mnóstwo wielbicieli jej talentu i dzięki temu ja, wtapiając się w tłum, mogłam posłuchać rozmów gości naszego kościoła. Oto parę cytatów: „najbardziej to mi się podoba u katolików to, że można u nich posiedzieć na ławce, nie to co u nas”; „batuszka u nich nie może się żenić, tak jak zakonnik u nas”; „a czemu te organy takie u nich schowane, a nie stoją przed publicznością?” No i tak dalej.

Nie mają już takich dylematów ci, którzy bywają u nas częściej, jak choćby „moi” alkoholicy. Od kilku dni codziennie przychodzi jeden taki z Londynu, więc też wnosi trochę światowego powiewu do lokalnych grup. A nabierają one coraz więcej dynamizmu. W ostatnich tygodniach pojawiły się zupełnie nowe – w Abakanie, Żeleznogorsku, Jelancach, Troickim, Jelizowie. Wymieniam miejscowości z całej naszej diecezji, bo informacje spływają z różnych stron. Ale jeszcze ciekawsza jest wiadomość, że w regionie irkuckim zaczęli przychodzić na grupy prawosławni księża, którzy są uzależnieni tak samo, jak większość społeczeństwa. Bogu niech będą dzięki, że udało im się pokonać pychę i zwrócić z pokorą o pomoc do innych. Jak wiadomo, jest to najtrudniejsza „grupa zawodowa”, jeśli chodzi o leczenie alkoholizmu, bo tak mocno przekonana o swojej wyższości nad wszystkimi ludźmi.

Będę się przyglądać sprawom wokoło i kiedyś znowu do Was napiszę. A teraz życzę Wam pięknej jesieni, która u nas już się kończy, ale do Was dopiero zmierza. Pozdrawiam serdecznie.

Barbara

*

Irkuck, 30 września 2008 r.

Drodzy Moi!

Jeden temat pominęłam w przedwczorajszym liście, bo zasługuje na zupełnie odrębne potraktowanie. Wspominałam Wam dawno temu, że bardzo bym chciała doświadczyć kiedyś w pełni świadomie (a nie tylko przez sen) konkretnego trzęsienia ziemi. Oczywiście bez uszkodzeń. I wyobraźcie sobie, że taka niesamowita historia zdarzyła się tutaj 27 sierpnia, kiedy ja akurat byłam w Puławach... No, więc cóż, muszę poprzestać na opowieściach naocznych świadków, którym trzęsienie napędziło tyle strachu, że już sama nie wiem, czy żałować swojej nieobecności i czy czekać z utęsknieniem na kolejną okazję.

Wstrząsy miały miejsce przez cztery kolejne dni, a najsilniejsze były odczuwane niemal na całej Syberii: od Czity do Nowosybirsk. Epicentrum znajdowało się na dnie Bajkału, u jego południowych krańców, w pobliżu miejscowości Sludzianka i Bajkalsk. Siła wstrząsów o godzinie 10.35 osiągnęła osiem stopni. W tych miastach posypały się kominy, piece i dachy; ucierpiały setki rodzin. Szybko rozpoczęto remonty, bo przecież we wrześniu nadchodzą pierwsze mrozy i śniegi, więc ogrzewanie jest niezbędne.

W samym Irkucku najmocniejsze wstrząsy osiągnęły siedem stopni. W tym dniu działo się wiele: ziemia trzęsła się jeszcze o 10.41, 11.07, 12.29, 13.41 i 14.00. Ewakuowano wszystkie szkoły i uczelnie, nawet niektóre szpitale wyprowadziły na ulicę swoich pacjentów. Połowa rodziców pozabierała swoich przedszkolaków już w południe. Na niektórych budynkach powstały pęknięcia, a kilka dzielnic zostało pozbawionych wody. Większość firm i instytucji zwolniła swoich pracowników do domu. Zasadniczo wszyscy powybiegali z pomieszczeń, a lekkiej panice poddały się nawet służby bezpieczeństwa - około dwudziestu budynków przez kilka godzin pozostawało bez ochrony. Potem w prasie pojawiły się instrukcje dotyczące zachowania w podobnych sytuacjach.

Jak widać – nic wielkiego się nie stało i nawet cegłówką nikt po głowie nie dostał, ale strachu się ludzie najedli. Zwłaszcza ci mieszkający na wyższych piętrach. Nawet w mojej szafie były poprzewracane przedmioty, choć mieszkanie jest zaledwie na drugim piętrze. Właśnie o strachu mówią najczęściej, wspominając tamten dzień. Z jedną panią rozmowa potoczyła się wręcz w kierunku nawrócenia, kiedy wspomniała mi o tym, jak to podczas trzęsienia ziemi słyszała bijące dzwony. Można było pół żartem – pół serio powiedzieć, że to Pan wzywa ją coraz gwałtowniej, by nareszcie przyszła do Niego. Inna pani opowiadała mi, jak to trzęsienie zastało ją na hali targowej podczas zakupów dla pieszka. Wszyscy, łącznie ze sprzedawcami, wybiegli na zewnątrz, porzucając swoje stragany, więc jeśli trafił się jakiś mniej bojaźliwy złodziej, to mógł się nieźle obłowić...

Minał już miesiąc od tamtych wydarzeń, więc nawet w cudzych opowieściach nie są już tak bardzo świeże, a swoich własnych wspomnień tym razem nie mam. Może nie należy się tym martwić, bo widocznie tak miało być. A zatem kończę ten króciutki list i pozdrawiam Was ze stabilnej dzisiaj syberyjskiej

ziemi, pełnej słońca i złotych liści, które jednak sypią się coraz obficie, zwiastując szybki koniec jesiennych uroków.

Barbara

*

Irkuck, 13 października 2008 r.

Drodzy Moi!

Dzień po wyborach. W przejściu podziemnym brakuje już trzech płyt.

Właściwie na tym chciałam skończyć ten list, ale przypadkiem natrafiłam w Internecie na ciekawy artykuł o zmianie podejścia Rosjan do sprawy aborcji. Oto kilka informacji.

Według danych Ministerstwa Zdrowia w ubiegłym roku w Rosji zarejestrowano 1 milion 302 aborcje, czyli na tysiąc kobiet było to ponad 40 „zabiegów” (po rosyjsku zwanych zresztą „operacjami”). Dla porównania – według autorów tekstu – w Europie Zachodniej jest ich tylko 12. Być może wiąże się to ze zmianą świadomości Rosjan. Na te przemiany wskazują rezultaty badania opinii społecznej. Tylko 48,8% respondentów wspiera pary mające już dzieci, które decydują się na aborcję. W 1999 roku było ich 63,9%. Ciekawe, że respondenci w wieku od 50 do 59 lat akceptują aborcję o wiele częściej niż młodzi.

To oczywiście bardzo wyrywkowe dane, niemniej jednak – interesujące. Ciekawa jest też interpretacja. Przede wszystkim przypisuje się to większej trosce o zdrowie (aby nie doprowadzić się do bezpłodności), ale wspomina się też o podniesieniu poziomu religijnej świadomości. Lekarze zareagowali na te wyniki z niepokojem. Artykuł cytuje ginekologa Aleksieja Tichomirova: „Najważniejsze, aby negatywny stosunek do aborcji nie przekształcił się w oficjalny zakaz”. Ot, co. Przecież to w końcu niebywały biznes.

Jednak państwowa troska o powstrzymanie spadku liczby ludności przejawia się w pewnych pozytywnych działaniach. Rozporządzenia ministerialne nieco ograniczyły dostępność aborcji: każda kobieta musi podpisać oświadczenie o dobrowolnej i świadomej zgodzie, a w przychodniach pojawili się pracownicy socjalni, przekonujący pacjentki do zmiany decyzji. Ponadto spis medycznych wskazań zalecających aborcję, został skrócony o 92 punkty (ile ich było?, ile jest?, nie mam pojęcia). Ale - jak twierdzi autor tekstu – kolejki do ginekologów na razie się nie zmniejszyły.

Wybaczcie, to na dziś wszystko, bo jestem już na wylocie. Wyjeżdżam na dziewięć dni do Ułan Ude. Pozdrawiam Was serdecznie i mam nadzieję, że stamtąd będzie coś ciekawego do napisania następnym razem.

Barbara

*

Ułan Ude, 18 października 2008 r.

Drodzy Moi,

Buriacja. Słońce, mnóstwo słońca. Esencja Syberii: prawie wszystkie liście już opadły, po błękitnym niebie płyną białe obłoczki, niekiedy zawiewa ostry, zimny wiatr, a wszystko to zalewa niezmordowane słońce. Od przedwczoraj mieszkam na ostatnim piętrze tutejszego kościoła katolickiego, nade mną już tylko dzwonnica, na razie pusta. Hulający wiatr słychać na tej wysokości bardzo dobrze, ale szczelne okna nie pozwalają mu wyrządzić mi jakiegokolwiek

szkody. Bardzo dobrze, bezpiecznie i spokojnie czuję się w tym zacisznym kątku wielkiej syberyjskiej krainy. Bardzo dziwnej, bo przecież takiej innej – nie rosyjskiej, ale właśnie „miejscowej” – buriackiej. W sklepach, szkołach, urzędach – Buriaci. W naszej parafii zresztą również. Na ulicach słysząc buriacki język, choć o wiele rzadziej niż rosyjski. Wyglądam przez okno i po drugiej stronie ulicy widzę buddyjski daczan. Odwiedziłam go dzisiaj, bez żadnych przeszkód, ale nie było mi tam dobrze, więc szybko wyszłam. Przez inne okno widzę sąsiedzką świątynię protestancką. Tuż za naszym ogrodzeniem maszyny budowlane wykopają potężny dół. Pomyślałam sobie żartem, że może oto zaczyna się budowa cerkwi... Byłoby prawdziwie wzgórze ekumeniczne. Ale okazało się, że będzie supermarket... Ciekawe sąsiedztwo jak dla kościoła. A dalej bloki, zupełnie sowieckie. A jeszcze dalej, na horyzoncie, łagodne wzgórza Buriacji.

Jak w tym specyficznym świecie umiejscawiają się katolicy? Nie jest to dziś tylko nowa obecność misyjna, ale również zakorzeniona w historii sprzed stu lat. Katolicka obecność na wschód od Bajkału wiąże się z dziejami zsyłanych tu polskich powstańców oraz robotników przybywających dobrowolnie z zachodniej części Carstwa. Już w XIX wieku dojeżdżali do nich księża z Irkucka. Trafiły mi w ręce interesujące dane statystyczne. W 1910 roku na terenie Zabajkalskiej *Oblasti* (było to chyba sporo więcej niż obecna Buriacja) zamieszkiwało 6950 katolików, a w samym Ułan Ude, zwanym wówczas Wierchniudińskim, było zarejestrowanych 345 katolików, przy ogólnej liczbie ludności 15 158. Ponad połowę z nich (204 osoby) stanowili pracownicy kolei i ich rodziny. 202 z nich było Polakami, znaczącą grupę stanowili też Włosi, a nie zabrakło wśród nich Litwinów, Niemców, Cyganów, Białorusinów, Ukraińców, a nawet Chińczyków. Praca przy budowie kolei transsyberyjskiej była niezwykle opłacalna – w ciągu dnia można było zarobić nawet 10 rubli, podczas gdy krowa kosztowała 25 rubli.

I właśnie to środowisko wystąpiło z inicjatywą budowy pierwszego kościoła. W dokumentach zachowała się prośba z grudnia 1906 roku o wyznaczenie ziemi skierowana do Dumy miejskiej, a podpisana przez Włodzimierza Iwanowicza Zalewskiego w imieniu osób wyznania rzymsko-katolickiego. Po kilku miesiącach podpisano umowę o przekazaniu przez miasto, w całości i bezpłatnie, 600 sążni kwadratowych na budowę katolickiego kościoła lub kaplicy oraz domu dla księdza. W kolejnym roku wszystko było gotowe, a poświęcone 24 lipca 1909 r. Pierwszym proboszczem został Polak Antoni Gilewski. Powierzchnia tego drewnianego kościółka na kamiennym fundamencie wynosiła 128 m kwadratowych. W 1914 roku do tutejszej parafii należało 1700 osób, z czego w samym mieście – około 400. Lata I wojny światowej zaowocowały znacznym wzrostem liczby katolików w Buriacji, gdyż napływały masy uciekinierów, a także jeńców – przede wszystkim Austro – Węgrów.

A potem szybkimi krokami nadchodziły coraz gorsze czasy. W roku 1921 miejscowe władze nacjonalizowały cały majątek parafii, łącznie z budynkami i całym wyposażeniem. Wspólnota wiernych została najemcą swojej byłej własności, z obowiązkiem pełnego utrzymania, remontów i ubezpieczenia. Jednak w tym czasie jej liczebność znacznie spadła i w mieście było tylko 85 katolików. Wszystkie możliwe utrudnienia i podstępny doprowadziły do tego, że w 1930 roku, decyzją władz sowieckiej republiki buriackiej, kościół został zlikwidowany, a naczynia liturgiczne – przetopione. Te tragiczne wydarzenia miały miejsce podczas proboszczowania Litwina Edwarda Szevcunasa.

Bardzo interesującym wątkiem jest próba odrodzenia parafii na terenie Buriacji podjęta przez litewskiego księdza Petrasa Jasosa. Od 1956 roku prowadził on w niektórych rejonach republiki tajną działalność kapłańską wśród przesiedleńców z Litwy i Białorusi. Jednak w 1960 r. został wytropiony i wygnany z Buriacji.

Koło historii zamyka się w roku 1999, kiedy to w Ułan Ude ponownie zarejestrowano wspólnotę rzymsko-katolicką. Słyszałam, że głównym inspiratorem jej odrodzenia był Buriata – katolik, ochrzczony wcześniej w Moskwie. Mobilizował on ułanudeńskich Polaków do aktywniejszego włączenia się w to dzieło. Rok później otwarto parafię, a kilka lat temu stanął nowy kościół, z którego podziwiam dziś panoramę zabajkalskiej stolicy. Nie jest mi trudno określić dominującą dziś wśród parafian grupę narodowościową. To widać po twarzach – są Buriatami. A o miejscowych Polakach wiem tyle, że z Kościołem prawie nie utrzymują kontaktów. Bardzo niewielu z nich jest parafianami. Sytuacja podobna, jak w innych miejscach Syberii. Niestety. Dlaczego ten schemat się powtarza? Dlaczego ich dziadowie z ofiarnością zakładali, budowali i utrzymywali wspólnoty, a oni nie przychodzą nawet na niedzielną Eucharystię? Nie znam odpowiedzi i pewnie ona nie istnieje, bo zawsze jest to indywidualna historia i decyzja każdego pojedynczego człowieka. Ale dziś przychodzi mi do głowy i taka myśl: wiara nie zachowała się i nie przetrwała, bo ci najwierniejsi po prostu nie przeżyli. Nie mogli więc przekazać jej następnym pokoleniom. Natomiast ci, którzy przeżyli, często nie odmawiali sobie przywilejów związanych z wejściem w struktury władzy i partii. A to – co oczywiste – też nie służyło wzrostowi świadomości chrześcijańskiej. Niestety, to też jest część polskiej historii na Syberii. Ale trud i ofiara poprzednich stuleci nie zostały zmarnowane i właśnie dziś wydają nieoczekiwane owoce, gdy katolicka świątynia zapełnia się Buriatami – narodem w znacznej mierze buddyjskim i szamańskim. Zapewne nie marzyli o tym polscy zesłańcy i pracownicy kolei. W tamtych czasach jeszcze nie umieli myśleć w kategoriach misyjnych, a w obcym sobie świecie tęsknili chyba przede wszystkim za Ojczyzną, której nieodłącznym elementem był Kościół i różne związane z wiarą tradycje. Tak to Boże plany i działania przewyższają nasze, ludzkie.

Ja też zawsze na to liczę podejmując różne, drobne i codzienne, sprawy i wyzwania. Teraz przyjechałam do Ułan Ude na dziesięć dni, by kontynuować działania rozpoczęte dwa lata temu. Wówczas odbyło się tu duże seminarium na temat uzależnień dla środowiska lekarzy, psychologów, pedagogów, działaczy społecznych. Zajęcia prowadzili specjaliści z Polski. A teraz za kilka dni dojadą do mnie przedstawiciele anonimowych alkoholików z Irkucka i Czity. Właśnie organizuję dla nich spotkania na ten czas. I już doświadczam owoców swojego poprzedniego pobytu. Ileż wówczas było lęków ze strony władz, ileż utrudnień i problemów ze znalezieniem sali, z zaproszeniem lekarzy i w ogóle z dogadaniem się. Teraz – wystarczył jeden mój telefon do pani z rządu Republiki Buriacji, by otworzyło się wiele drzwi i by paru urzędników stawiło się w gotowości bojowej do realizowania moich propozycji. Będą zatem spotkania z młodzieżą w kilku szkołach, w domu dziecka, będzie spotkanie z lekarzami i pacjentami, będzie rozmowa z władzami więziennymi oraz ze służbami socjalnymi urzędu miasta. Niezależnie od tego wszystkiego wybieramy się do państwowego radia na wywiad. A Sergiej i Aleksiej będą wieczorami pracować przede wszystkim

ze „swoimi” na grupie AA, która zresztą zbiera się w katolickiej parafii. Wczoraj jedna z pań lekarek bardzo drobiazgowo tłumaczyła mi, że taka grupa już u nich jest i gdzie się spotyka, i jak tam trafić... Uspokoila się dopiero, kiedy powiedziałam, że ja właśnie tam nocuję. Dwa lata temu jakiegokolwiek wspomnienie o Kościele groziło katastrofą, bo wszyscy bali się panicznie, aby seminarium nie było „głoszeniem religijnej propagandy”. Jakiś czas temu mieli po prostu nieprzyjemne doświadczenia z pewną sektą z Moskwy, która pod przykrywką szkolenia na temat profilaktyki narkomanii, bardzo ostro ruszyła do werbowania w swoje szeregi.

Dziś – jak widzicie – jest już zupełnie inaczej, a w rozmowach z panią z buriackiego rządu zarysowała się nawet (mglista na razie) idea wspólnego objazdu buriackich wiosek i miasteczek ze szkoleniami dla tamtejszych nauczycieli i urzędników. Może kiedyś... To doprawdy romantyczna misyjna wizja i jestem dziś pełna zapału do jej realizacji. Jednak mój zapał nie dotyczy w tym wypadku pory zimowej i umówiliśmy się, że sprawa jest do realizacji najwcześniej na wiosnę.

Czemu tak? Ano posłuchajcie pewnej historyjki. Jak wiecie, przy obecnym systemie wizowym, obywatele Unii muszą dość często wyjeżdżać z Rosji. Jeszcze jakiś czas temu wystarczyło wyjechać na kilka godzin do Mongolii, do której z Ułan Ude jest wyjątkowo blisko. I oto pewnego razu jedna z siostr – Polek wraz z proboszczem – Polakiem wybrali się w taką podróż tutejszym rejsowym autobusem. A była to zima. Zaraz za miastem wysiadło ogrzewanie, co poza skutkami dla ciał pasażerów, zaowocowało także totalnym zamarznięciem szyb. Wszystkich! Również tej przedniej. Nie powstrzymało to jednak dzielnych przewoźników przed kontynuacją kursu. Drugi kierowca chuchał w szybę przed oczami tego pierwszego, aby miał chociaż kilkucentymetrową powierzchnię do obserwowania drogi. No i tak jechali. I najwyraźniej mieli zamiar dotrzeć do samego Ułan Bator. Jedynymi osobami zdenerwowanymi całą sytuacją byli nasi Polacy. Na ich szczęście pojazd zepsuł się całkowicie i po prostu stanął. Kierowcy zaczęli wydzwaniać i ogłosili, że będzie nowy autokar. Kiedy? Kiedyś. Buriaci to bardzo spokojny naród – powyciągali swoje kanapki i zaczęli je konsumować na czterdziestostopniowym mrozie. A naszym zostało tylko kilka godzin do obowiązkowego opuszczenia Rosji. Zadzwonili więc po drugą siostrę, a że było to jeszcze całkiem niedaleko od miasta, to przyjechała ona szybko samochodem i zdążyła odwieźć ich na pociąg do Mongolii. Wszystko zakończyło się szczęśliwie.

A zatem i ja kończę w takim pozytywnym momencie, abyście mieli dobre wyobrażenia o życiu na misjach. I życzę wszystkim – Wam i sobie – nieco lżejszej nadchodzącej zimy i bardziej sprawnych pojazdów do przemierzania naszej misyjnej doczesności.

*

Irkuck, 2 listopada 2008 r.

Droży Moi,

Wyjrzałam rano przez okno i zobaczyłam śnieg - świeżutki, bielutki. Już trzeci w tym roku, ale tamte były nieudane – mokre, deszczowe i błotniste. Nie-warte uwiecznienia w liście. Dzisiejszy jest zupełnie inny. Jest słoneczny, promienisty, lśniący i radosny. Zwiastujący na serio kolejną syberyjską zimę. Po

złotej jesieni nie ma już śladu i wszystko stało się szarobure, więc czas najwyższy, by zostało schowane pod białą pierzynką.

Ja jestem akurat w fazie przejściowej między powrotem z Buriacji a wyjazdem na Sachalin. Chciałoby się pożyć jakimś stabilnym *teraz*, ale na razie nie jest to możliwe. „Dziś, jutro i pojutrze, muszę być w drodze” (Łk 13, 33). Przecież tego chciałam jadąc na misje. Jednak pomiędzy podróżami staram się żyć irkucką rzeczywistością.

W poprzednią niedzielę mieliśmy interesujące spotkanie na comiesięcznym szkoleniu Telefonu Zaufania. Przyjechali ludzie z jednego z Kościołów protestanckich o nazwie „Краугольный камень”, którzy prowadzą ośrodki dla narkomanów w miejscowości Gorochovo, około 60 km od Irkucka. Opowiadali o swojej pracy, nadziejach i własnym zdrowieniu. Okazuje się, że ich Kościół ma na terenie od Moskwy do Władywostoku 52 ośrodki dla narkomanów i alkoholików! A to jest tylko jedna z kilkudziesięciu wspólnot protestanckich zajmujących się w Rosji taką działalnością. Czujecie potęgę? Pisałam Wam już kiedyś, że osiemdziesiąt procent parafian trafia do nich właśnie poprzez te problemy. Więc rosną. Mówi się, że Kościół pierwszych wieków był Kościołem niewolników. I grzeszników oczywiście. (Ale to akurat zawsze, nie tylko na początku). Więc teraz myślę sobie, że Kościół w Rosji XXI wieku jest i będzie kościołem narkomanów i alkoholików.

Ale wracając do Telefonu Zaufania. Ostatnio odbyło się trzyczęściowe solidne szkolenie dla kandydatów na nowych wolontariuszy. To bardzo cenne, że jest kilka kolejnych osób gotowych włączyć się w to dzieło, i odciążyć przez to starych członków ekipy.

Chciałam Wam przekazać jeszcze garść irkuckich wiadomości, ale nagle i niespodziewanie okazało się, że muszę ten list skończyć i wysłać. A zatem żegnam się na progu syberyjskiej zimy, słonecznie i z nadzieją na dobre owoce podróży na Sachalin. Będzie o niej następnym razem, ale raczej nie za prędko. A i Wam życzę dobrych listopadowych dni, przeplatanych różnymi świętami i radościami.

Barbara

*

Władywostok, 4 grudnia 2008 r.

Drodzy Moi,

Zacznę od końca. Jak widzicie – dziś moje imieniny. Miałam je spędzić w czterech miastach, podróżując z Dalekiego Wschodu na Syberię. Najpierw przelot z Jużnosachalińska do Władywostoku. Parę godzin przerwy i podróż do Irkucka z międzylądowaniem w Chabarowsku. Od czasu bankructwa dziewięciu lokalnych linii lotniczych (a stało się to we wrześniu) podróże w naszym regionie stały się bardzo skomplikowane i męczące. Ale to, co przydarzyło się dzisiaj, jednak mnie zaskoczyło. Otóż, jest już późna noc, a ja siedzę na lotnisku we Władywostoku, oczekując na ... nie bardzo wiadomo co. Lądowaliśmy w ekstremalnych warunkach: gęstych śniegowych chmurach, przylegających niemal do samej ziemi, zasypani białym mokrym puchem i brnąc w głębokim, świeżo spadłym śniegu, zamieniającym się w mokrą breję. Potem ponad godzinę trzymali nas w samolocie, przy wyłączonym ogrzewaniu, więc puchowa kurtka okazała się zbawienna. Na Sachalinie było tak ciepło, że w ogóle jej nie

używałam i zastanawiałam się jeszcze dziś rano, czy wziąć ją na siebie, czy oddać na bagaż.

W końcu nas wypuścili. Zaczęto przesuwać kolejne przyloty i wyloty, aż w końcu – godzinę po moim przybyciu – zamknięto lotnisko do następnego dnia do ósmej rano. Część pasażerów rozmieszczono w hotelach pobliskiego miasta Artiom, bo do Władywostoku jest aż 50 km. Niestety, ja się chyba za słabo pchałam, bo dla mnie miejsca już nie starczyło i razem z solidną grupą podobnych nieszczęśników czeka mnie noc w poczekalni. Najpierw rozlokowano pasażerów z rejsów międzynarodowych (Japonia, Chiny, Korea, Tajlandia), potem tych, co lecieli do Moskwy, a dla nas – zwykłych „ruskich” – nie wystarczyło miejsc w hotelach. Znacznie operatywniejsza okazała się telewizja, która pojawiła się już w godzinę po zamknięciu lotniska i z lubością filmowała cały ten bajzel. Gdyby nie perspektywa nocy na żelaznym krzeselku, dla mnie też byłoby to wszystko bardzo interesujące poznaczo.

No, ale cóż, może teraz o czymś miłym. Ten dzień zaczął się pięknie. Po zakończeniu wszystkich imprez, z powodu których 14 listopada znalazłam się na Sachalinie, nadszedł czas, by wyruszyć dziś w drogę powrotną. Raniutko wyruszyliśmy wraz z proboszczem, o. Sebastianem z Indii, do klasztoru sióstr Misjonarek Miłości. To są te od Matki Teresy. Jak przystało na radykalizm założycielki, mieszkają one w tutejszych slumsach, zwanych wśród ludu Szanghajem. To po prostu wielka dzielnica drewnianych, rozwalających się domków, pełnych nędzy, pijaństwa, przemocy i samobójstw. Nie ma tu trędowatych, jak w Kalkucie, ale są miejscowi „wykleci” – alkoholicy, narkomani i ich dzieci. Dobre miejsce dla Matki Teresy. Siostry są cztery: Polka, Filipinka i dwie Koreanki. Ich dom jest klejnotem błyszczącym wśród ciemności. Ludzie przychodzą tu zjeść, porozmawiać, posłuchać o Bogu, o nadziei, zagrzać się – nie tyle fizycznie, co duchowo – czyli po prostu doświadczyć miłości. A to rzadka możliwość, gdy jest się kimś wkręconym w spiralę uzależnienia. I właśnie w tym duchowym pałacu, bardzo zresztą skromnym zewnątrz, miałam kończyć swój pobyt na dalekowschodniej wyspie. Najpierw była Msza święta. Oczywiście s. Małgorzata wszystkim rozgadała, że mam imieniny; inaczej nikt by nawet nie wiedział. Więc modlili się za mnie bardzo intensywnie. Na szczęście po angielsku, więc nie wszystko rozumiałam, ale wdzięczna byłam bardzo. Następnie odbyło się śniadanie, raczej w formie obiadu, z daniem typowo polskim, czyli pierogami ruskimi. To także na moją cześć. Plus ciasto, też polskie. Czas upłynął niezwykle sympatycznie, tak samo zresztą jak i przez minione trzy tygodnie, i doprawdy aż żal mi było opuszczać Sachalin.

A teraz siedzę na tym nieszczęsnym lotnisku w Artiomie, dochodzi północ, kończą się imieniny, a na wielkim telewizorze od paru godzin widzę Putina. Dziś ma coroczne show – odpowiada na pytania obywateli (telefoniczne, mailowe i osobiste w studio). W Moskwie jest o dziewięć godzin wcześniej. A ja już wysiadam. Szkoda, że nie mam karimaty, bo podłoga tu marmurowa. Natomiast krzeselka porozdzielane są poręczami. Mimo to muszę się rozejrzeć za jakimś kawałkiem do poleżenia.

*

5 grudnia 2008 r.

I oto następny dzień. Przeżyłam. W piwnicy, niedaleko wejścia do toalety, znalazłam taką żelazną ławeczkę, która jeszcze nie była zajęta. Laptop pod głową trochę uwierał, ale za to sybirską puchową kurtka okazała się doskonałą kołderką. Nawet trochę podzemałam. Interesujące doświadczenie – nocleg na ławce. Nie powiem, że bym była w dobrej formie, ale żyję. Przed szóstą sympatyczny głos oświadczył przez megafony, że zamknięcie lotniska zostaje przedłużone do godziny jedenastej. Jak się później okazało, przez całą noc czyszczono pasy startowe, ale temperatura spadła z plus jednego do minus szesnastu stopni i teraz należało rozpocząć odkuwanie lodu, nie tylko z asfaltu, ale również z samolotów. Rzeczywiście, jak tylko spróbowałam wyjść na zewnątrz, o mało się nie zabiłam – wszędzie gładki lód. W całej okolicy samochody w ogóle przestały jeździć. Ale za to jest słońce!

*

Irkuck, 10 grudnia 2008 r.

Minęło kilka dni. Chciałabym dokończyć moją opowieść. To była szkoła przetrwania i nie we wszystkie szczegóły będę się zagłębiać. Po paru godzinach, a był to już 5 grudnia, ogłoszono, że lotnisko będzie zamknięte do 14.00. Po 16.00 zaczęto odprawiać pierwsze samoloty. Najpierw oczywiście odleciała Moskwa. Natomiast my wystartowaliśmy o 18.00. Przed nami miało być lądowanie w Chabarowsku (jedna godzina lotu), a potem już Irkuck (jeszcze trzy godziny). Wszystkie procedury według planu: zapiąć pasy, chusteczki, cukierczki, start. Potem stewardessy wyruszyły z wodą. Ludzie wykończeni lekko przysypiali. Ja siedziałam od przejścia, bo to zawsze wygodniej. W pewnym momencie mój sąsiad przy oknie mówi, że lecimy tak dziwnie nisko nad ziemią, coraz niżej. Patrzę - no faktycznie, tuż pod nami widać światła jakiegoś miasta (było to już po zmroku, a dzień był bezchmurny). Myślę sobie – coś tu nie gra, przecież normalnie nie lata się tuż nad ziemią. Normalna wysokość, to 10 km. Większość ludzi w ogóle tego nie zauważyła, stewardessy – zajęte rozdawaniem wody – również. W pewnym momencie słychać głos kapitana: obsługa szybko siadać na swoje miejsca! Za kilka sekund wylądowaliśmy. Wszyscy zdezorientowani. Przecież to niemożliwe, żeby być w Chabarowsku po 20 minutach lotu. Mój sąsiad stwierdził, że widzi trawę, ale po chwili doszedł do wniosku, że to jednak śnieg. No nieźle – myślę sobie – najbliższa trawa, to chyba w Wietnamie. Ale cóż się dziwić, człowiek ponad dobę siedział na lotnisku.

W każdym razie ostro stoją dwa pytania: GDZIE jesteśmy i DLACZEGO? Co do pierwszego, to przeanalizowałam w głowie całą mapę: między Władywostokiem i Chabarowskiem nie ma żadnego wielkiego miasta. Oczywiście pełno jest baz wojskowych (widziałam kiedyś z góry jakieś lotnisko na odludziu, przelatując tędy z Kamczatki), ale kto po takiej śnieżycy byłby w stanie odkopać pasy w lesie, skoro w wielkiej metropolii trwało to ponad dwadzieścia godzin? Absurd. Jediną logiczną odpowiedzią wydawała mi się ta, że z jakiegoś powodu wylądowaliśmy w Chinach (spójrzcie na mapę, to naprawdę sensowne). Mogło to być jakieś odkopane już przez miejscowych miasto. O Korei czy Japonii nie pomyślałam, bo to nie nasz kierunek.

I drugie pytanie: dlaczego? Mój nieoceniony sąsiad zauważył zbliżające się do nas wozy straży pożarnej. Prawdę mówiąc w ciemności widział tylko mi-

gające koguty, a reszta to pewnie interpretacja. Jednak nie było ani widać, ani słyhać, ani czuć, żebyśmy się palili lub coś w tym rodzaju. W każdym razie stwierdziliśmy zgodnie, że dzięki Bogu przynajmniej jesteśmy na ziemi.

Aby was dłużej nie dręczyć, przechodzę do odpowiedzi. Po chwili okazało się, że jesteśmy we ... Władywostoku. Co za radość! Tak dawno w nim nie byliśmy. Całe 20 minut! A drugie pytanie, no cóż ... Wersja oficjalna nie pojawiła się nigdy, a nieoficjalne były dwie. Jedna: nie zamknęło się podwozie naszego samolotu. Druga: niedokładnie usunięto lód ze skrzydeł i sterów. Krótko mówiąc – niesprawność techniczna. Pilot postanowił wrócić i muszę przyznać, że zrobił to po mistrzowsku. Nawet nikt nie zdążył się wystraszyć. Panienki w okienku powiedziały nam, że teraz technicy sprawdzą samolot i orzekną, czy możemy lecieć. Ludzie zaczęli się buntować, że tym samym już nie polecą. Ja na myśl o kolejnej dobie na tym lotnisku mało nie padłam. Zaczęłam załatwiać, żeby wysłali mnie do Irkucka inną linią lotniczą, bo w najbliższym czasie odlatywały dwie. Nic nie załatwiłam. Oczywiście, byłoby do zrobienia, gdybym kupiła sobie nowy bilet. A zatem bardzo stanowczo zaczęłam domagać się zakwaterowania. Udało się, bo akurat zwolniono parę miejsc w pobliskim sanatorium. Dostałam łóżko w pokoju z panią z Magadanu, której lot odłożono do następnego dnia. Co za rozkosz: prysznic!, gorąca woda!, gorąca herbatka!, ciepłe łóżko i trzy godziny boskiego snu! A potem wszystko od nowa polsko ludowa: rejestracja, prześwietlanie, bagaż, buty, kurtki, autobus, trap, samolot, chusteczki, cukiereczki, pasy i o 3.00 (sobota 6 grudnia!!!) staaart! Woda i po godzinie - Chabarowsk. Ze wszystkich już takie flaki, że nawet nas na lotnisko nie wyganiali. Dosiadło się mnóstwo nowych. Potem chusteczki, cukiereczki, pasy, start, woda, ciepłe jedzonko, herbatka, drzemka i przed świtem – Irkuck (minus 23). Nie do wiary! Nigdy się tak za nim nie stęskniłam. Trzeci dzień podróży z Sachalina! Normalnie jak powrót z zesłania.

A dopiero dziś znalazło się trochę sił, aby Wam o tym opowiedzieć, bo zmęczenie było kosmiczne. Głowa trzeszczy mi do dziś. Teraz wszystko w biegu, bo przecież za dwa dni kolejna podróż i ufam, że limit komplikacji na ten rok został już wyczerpany.

I tak to z tej opowieści zrobił się cały list. Zatem kończę. A o tym, o czym być powinno, czyli o działaniach na Sachalinie, opowiem już następnym razem.

Barbara

*

Irkuck, 5 marca 2009 r.

Drodzy Moi,

Już prawie trzy miesiące minęły od mojego poprzedniego listu, a ja wciąż pamiętam, że obiecałam Wam opowieść o poczynaniach na Sachalinie. Chodzi to za mną jak wyrzut sumienia i nie spocznę, póki się nie wywiążę. Przejechałam od tamtej pory sporo tysięcy kilometrów i dziś znowu jestem w Irkucku. Po ostatnim liście, pozostającym nieco w konwencji przygodowej, chciałabym dzisiaj napisać nieco inaczej, bo taki temat przyniosło mi życie. O wyspie oceanicznej nie zapominam, ale tym razem zapraszam Was do syberyjskich realiów.

Otóż, kilka dni temu, w sobotę, zaproszono mnie do Angarska na uroczyste spotkanie AA, w domu kultury przy placu Lenina. A sam wódz rewolucji zaglądał przez okno ze swego monumentalnego pomnika. Wspominam o nim nie przypadkiem, jak się dalej przekonacie. Uczestniczyło około osiemdziesięciu osób i po raz pierwszy pojawił się nawet batuszka, o. Aleksander z tej cerkwi w Irkucku, w której zbiera się grupa. Nie będę pisać o tym wydarzeniu, bo opowiadałam o podobnych już wielokrotnie, natomiast wspomnę o spotkaniu, które – jak sądzę – było głównym wydarzeniem tego mojego dnia i dla którego cała reszta była tylko tłem.

Podczas przerwy zagaiłam człowieka dobrze znanego mi z Irkucka, bo dawno nie było okazji do rozmowy z powodu moich wyjazdów. Nazwijmy go Maksimem, choć nie jest to prawdziwe imię. Jest to osobnik bardzo gadatliwy, więc przez tyle lat znajomości miałam już wyrobione zdanie na temat jego poglądów, zawartości głowy i stanu duchowego. Wielokrotnie wcześniej rozmawialiśmy o sprawach religijnych i nie było trudno zauważyć jego sceptycyzmu, wyrażającego się często lekką ironią w odniesieniu do Kościoła, wiary i wszystkich tych „średniowiecznych bzdur”. Krótko mówiąc – ateista. Z jasno określonym światopoglądem, zawsze chętny do przekonywania innych, z wyraźnym zacięciem do filozofowania. Ale przy tym – bardzo sympatyczny i dość porządny człowiek, bo niepijący już sporo lat. Miarą tej porządności było dla mnie to, że troskliwie i z poświęceniem opiekował się starszymi i schorowanymi rodzicami. Przyjmowałam go po prostu jako swoisty element tutejszego krajobrazu.

W tamtym roku umarł mu ojciec. Teraz ze zdwojonym zaangażowaniem zajmował się matką. Opowiadał mi kiedyś o niej: była prawdziwą komunistką, a nadano jej imię Ninel (przeczytajcie to imię od końca). W pewnym okresie nie było to nic oryginalnego, nazywano w ten sposób mnóstwo dzieci. Tyle, że po latach ludzie pozmieniali swoje imiona, odżegnując się od tej radosnej twórczości swoich rodziców. Ale mama Maksa została przy swoim. To trafnie wyrażało jej światopogląd.

Zapytałam, jak się ona miewa? Syn, z bardzo zatroskaną miną, powiedział, że niedobrze, oj niedobrze... Właśnie chciał ze mną porozmawiać, bo słyszał, że będę teraz przez trzy miesiące. Więc się tak bardzo nie spieszył, ale by chciał itd. Myślę sobie: a cóż to za nowość? Chyba nie podejrzewa mnie o możliwość pomocy medycznej? Nie, o to mnie zupełnie nie podejrzewał. Pani Ninel jest co prawda schorowana, ale on główny problem widzi w głowie. Ma ataki potwornego lęku, przy czym on zupełnie nie wie, czego ona się boi, a przede wszystkim – bezustannie rozmawia z ludźmi ze swojej przeszłości, których widocznie widzi wokół siebie. Komenderuje nimi, a jemu cały czas przykazuje pilnować, aby nie pozabierali jej różnych rzeczy. Tak w ogóle to tam niewiele jest do zabrania, ale on - snując tę opowieść – sam od razu wyciągał wnioski: *zaczynam widzieć, jak potworne jest takie przywiązanie do przedmiotów materialnych, jakie to straszne zniewolenie złożyć cały sens życia w materii. Teraz dostrzegam przerażające skutki. To jest obłąd – uczeplić się tylko rzeczy. Zanegować wszystko, co duchowe, uczynić sobie z tego religię, a potem miotać się w rozpacz, gdy życie wymyka się z rąk. Nie wiem, co robić. Pomóżcie! Jestem przerażony nie tylko ze względu na matkę, ale i na siebie. Też tak żyłem i tak będzie ze mną. Nie wiem, co robić; nie wiem, jak jej pomóc. Nie umiem się mścić, wyśmiewałem się z Kościoła, więc jak teraz prosić o pomoc...*

Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie na widok Maksa – prześmiewcy, któremu zawaliła się ateistyczna wiara. Zaproponowałam mu zaproszenie do domu batuszki, aby modlitwą i samą swoją osobą spróbował uspokoić duszę jego matki; duszę głodną, zrozpaczoną, ubiczowaną, obłąkaną kilkudziesięcioletnim cierpieniem. On był za, ale nie wiedział jak zareaguje ona. Ona, która całe życie pogardzała tą „ciemnotą” i wierzyła w świetlaną przyszłość materialnego świata. Jednak obiecał wyjście z taką propozycją, jeśli tylko wyczuje odpowiedni moment. Nie wiedział nawet, czy jest ochrzczona. Być może kiedyś, jakoby, babuszka coś „poszeptala” (tak to dosłownie określił), ale nie ma pewności, co to było i nigdy wcześniej o tym nie myślał. Natomiast ja pomyślałam, że faktycznie – lata trzydzieste XX wieku w ZSRR, to były najgorsze z najgorszych i z całą pewnością nie sprzyjały ani chrztom, ani niczemu, co ludzkie.

Nie wiem, jak to dalej się potoczy. Czy dusza Ninel zdoła uchwycić się promyka światła i upaść w proch pokory przed Obliczem Wszechmocnego. Nie wiem. Nigdy nie widziałam tej kobiety. Takie nie wstępują do kościołów. Znałam ją tylko z opowieści Maksa, jako wojującą aktywistkę partyjną, przekonaną, że cały świat leży u jej stóp. Taką z plakatów stalinowskiej propagandy. Dziś znam ją jako powaloną w pył przez ogrom własnej pychy i przez zbrodniarzy, którzy oszukali całe pokolenia. Syn zatroszczy się, by jej ciału niczego nie brakło. Tylko co z całą resztą? On sam jest w panice. I nawet mam wrażenie, że bardziej o siebie niż o matkę. Ale jest przecież na tyle przytomny, by samemu coś zdecydować we własnej sprawie. Niech będzie to dla niego czas łaski, choć łatwo na pewno to nie przyjdzie.

Zaczął wspominać stare epizody, o których wcześniej wcale mi nie mówił. Kilka lat temu jeździł do Polski na szkolenie związane z uzależnieniami. W jeden z wolnych dni pewien katolik z Białorusi, mieszkający w Warszawie, oprowadzał go po mieście. Zawiózł go również do jakiegoś klasztoru. Niestety, Maks nie był w stanie podać mi jakiegokolwiek informacji, pozwalającej zidentyfikować – do jakiego? Tamtejsze siostry zajmują się m. in. alkoholikami i radziły się go, jak fachowca. Ale to zupełnie nieważne. W obecnej jego opowieści tamta wizyta została jakiś nieuchwytny ślad, jakieś dotknięcie łaski, które teraz wspomina, jako powracające pytania: a cóż to za dziwy?, dlaczego tak żyć?, co się za tym kryje? Przecież coś musi... Ale CO? To głupie i śmieszne TAK żyć, ale jednak dotknięcie powraca i niepokoi, i już nie wydaje się takie głupie, i już nie jest ani trochę śmieszne. Raczej dotyka swoim ciepłem, delikatnością, wezwaniem... Jest znakiem, świadectwem, wspomnieniem z innego świata. A nawet powiem – nadzieją innego świata. Jest jakby przedśmionkiem odpowiedzi na pytania atakujące przy obecnym stanie duchowym jego matki. Ja jedno rozumiem na pewno – owe siostry modliły się za Maksa. I to bardzo solidnie. I – jak widać – nie nadaremnie! Ziarenko rzucone przed laty dziś zaczyna kiełkować. Może stopniowo zamieni wyschlą pustynię jego duszy w życiodajny ogród.

Wspomniał też inne wydarzenie sprzed lat. W czasach probostwa ks. Krzysztofa w irkuckiej katedrze, w ramach inkulturacji, świętowaliśmy kiedyś Dzień Mężczyzn (23 lutego). Na uroczystości zostało wielu panów, którzy tuż przed Mszą uczestniczyli w grupie AA. Potem wszyscy zostali zaproszeni dwa piętra wyżej na herbatkę do sióstr. Jak się okazało, był wśród nich także mój rozmówca, choć ja nie jestem w stanie odtworzyć teraz składu gości. Też mówił

o tej wizycie, jako o bardzo znaczącym dla niego przeżyciu, które pozostawiło w nim dziwny, tajemniczy ślad i teraz powraca z przeszłości wobec jego teraźniejszej sytuacji.

A ja się zadziwiam: jak małe, zwyczajne, niewiele znaczące wydarzenia, czyny, słowa, mogą mieć nieodgadniony sens, nieogarnioną głębię i nieprzewidywalne skutki. I jakże nie zadziwić się Kimś, Kto tym wszystkim kieruje, prowadzi po ścieżkach nieprzemijania. To jedna z refleksji, ale nie jedyna.

Co jakiś czas powraca, również w moich listach do Was, wątek schorowanych, bezradnych, oszukanych staruszków, uwięzionych w blokowiskach całej Rosji. Mniejsza z tym, że niczego się nie dorobili i wegetują na głodowych emeryturach, dręczeni przez własne dzieci – alkoholików i wnuki – narkomanów. Mniejsza z tym, że sami – mniej lub bardziej – uczestniczyli kiedyś w systemie zakłamania. To wszystko w tej chwili nie jest już istotne. Kluczowe jest pytanie o ich wieczność. Wydawać by się mogło, że starszy wiek sprzyja umocnieniu więzi z Bogiem, ale tu się okazuje, że nie. Umacniać można coś, co jest. Ale jeśli nie ma nic, to co umacniać? A gdy w dodatku stopniowo kruszy się cała doczesna rzeczywistość? A gdy już słychać diabelski chichot nicości? Jakaż potworna egzystencjalna pustka musi ogarniać ich wokoło i z samego wnętrza duszy. Czy można to sobie wyobrazić? Nie, nie chcę nawet próbować.

Myślę raczej o tym, jakaż to ogromna łaska wyrastać w środowisku chrześcijańskim i dzień za dniem, rok za rokiem, budować i rozwijać bliskość z Bogiem, karmić swoją duszę prawdą i nadzieją, a przede wszystkim – realną obecnością Wszechmocnego. Im wcześniej się zacznie, tym więcej się zbuduje, tym więcej się nakarmi, tym mocniej się przemieni. To logiczne i oczywiste. Mimo że mało zauważalne. A wtedy czas umierania, nawet jeśli trudny i mało przytomny, będzie jednak czasem przejścia, otulonego pokojem ducha, gdzieś w najgłębszych jego warstwach. To zupełnie nieporównywalne z sytuacją ludzi niewierzących.

Takie to rozmowy przyszło mi toczyć w Angarsku pod pomnikiem Lenina na temat kobiety nazwanej jego imieniem. I widzieć jego „zwycięską” ręką, która – choć tu wzniesiona do góry – wskazała milionom drogę wprost do piekła.

Zrobił się już 7 marca, pada śnieg. Znowu jest sobota. Równo tydzień od spotkania z Maksimem. Może zobaczę go dziś, może spytam o najświeższe przemyślenia, o decyzje. Co nowego zapisała Nieskończoność na kartach swej księgi? Wielki Post, czas łaski. Módlcie się za takich ludzi, jak Maks i jego matka. I módlcie się szczególnie za tych dwoje. Może dzięki temu będą kiedyś mieli okazję podziękować Wam w niebie za ratunek.

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **W. W. Gaponienko, E. W. Siemionow, *Polskije političeskije ssylnyje w choziajstwiennoj i kulturnoj žizni Zabajkalia pierwoj połowiny XIX wieka*, Nakł. Wschodnio-Syberyjskiej Państwowej Kultury i Sztuk Pięknych, Ułan-Ude 2006, ss. 240, ilustracje, bibliografia, tytuły po rosyjsku, polsku i angielsku, streszczenia: rosyjskie, polskie i angielskie.**

Aczkolwiek książka ta dotarła do rąk autora niniejszej notatki z pewnym opóźnieniem, zasługuje na omówienie z kilku powodów. Po pierwsze, redaktorem naukowym pracy dwójki historyków z Ułan-Ude jest prof. dr hab. Wiktoria Śliwowska z Instytutu Historii PAN w Warszawie. Po drugie – na okładce reprodukowano mapę Zabajkała z 1854 r., z polskimi nazwami. Po trzecie, Walentyna Władimirowna Gaponienko oraz Jewgienij Władimirowicz Siemionow w czasie pracy poznali archiwalia oraz obszerną literaturę przedmiotu, zarówno w Federacji Rosyjskiej, jak i na Białorusi oraz w Polsce. Siemionow, podczas stażu naukowego w Polsce, uczestniczył w posiedzeniach Komisji Badań nad Historią Syberii Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN.

Z trzech rozdziałów pracy pierwszy obejmuje zagadnienia historiografii przedmiotu: rosyjskiej i polskiej (czasem granica jest umowna, bo wielu historyków syberyjskich drukowało i drukuje swe prace w Polsce – i odwrotnie) oraz analizę źródeł historycznych. Drugi podejmuje problem udziału zesłańców polskich w gospodarce Zabajkała, a trzeci – ogólnie rzecz biorąc – ich działalność kulturalną. Wszystko to omówiono praktycznie do 1857 r., gdy po amnestii z roku poprzedniego pewna liczba zesłańców opuściła miejsce przymusowego pobytu i powróciła do Europy, niektórzy nawet do kraju. Zresztą treść pracy nie ogranicza się do okresu podanego w tytule. Z konieczności odwoływano się w niej do wydarzeń z XVIII i drugiej połowy XIX stulecia.

Kilka zdań o treści. Ze „Wstępu” wnosimy, że Autorzy prowadzili kwerendy głównie w archiwach i bibliotekach Czyty (wciąż mało rozpoznanych), Ułan-Ude (niemal Polakom nieznanymi), Mińska i Warszawy (AGAD). Wiele zawdzięczają zwłaszcza pomocy prof. Wiktorii Śliwowskiej i dr. Janowi Trynkowskiemu. Prace tych historyków są najczęściej cytowane, choć bibliografia jest obszerna i – z pewnością – reprezentatywna. Zresztą obejmuje nie tylko przyjęty w pracy zakres terytorialny i chronologiczny. Dodajmy zarazem, że te poszukiwania archiwalne poprzedzone były wcześniej pobytami stażowymi Siemionowa w Ośrodku Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego finansowanym przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków

oraz kwartalnik „Zesłaniec”. Właśnie wówczas, rzecz można sprecyzowały się pełniej jego zainteresowania dziejami Polaków na Zabajkalu między innymi pod wpływem obfitej literatury pamiętnikarskiej z którą zapoznał się w księżnicy Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. O tym jednak pobycie autor nie wspomina! A przecież od instytucji tych oraz pracujących w nich osób uzyskał wielką pomoc merytoryczną i socjalną.

Rozdział pierwszy – *Rosyjska i polska historiografia i źródłowa baza problemu* – jest analizą ogłoszonych dotychczas przekazów o zesłańcach polskich na Syberii. W części pierwszej przedstawiono analizę publikacji rosyjskich (bardzo obszernie), w drugiej – polskich (reprezentatywnie), a w trzeciej – przegląd bazy źródłowej (tu jednak w nader skromnym rozmiarze, zwłaszcza o ile chodzi o zasoby Irkucka) i ten ostatni, można powiedzieć jest głównym mankamentem tej pracy. Z całą pewnością pełniejsze wykorzystanie tych zasobów archiwalnych pozwoliłoby na dokładniejsze opisanie różnych wątków związanych z pobytami Polaków w tej części Syberii Wschodniej. Problem ten został podjęty przez Irinę Batujewą i Tatianę W. Gołosowską w artykule pt. *Zajęcia polskiej diaspory na Zabajkalu w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku* [w:] *Polacy w nauce, gospodarce i administracji na Syberii w XIX i na początku XX wieku*, pod red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 2007. Pisały też o tym w „Zesłańcu” N. Ejlbart i T. Gołosowska. Sięgnięcie do tych nie wykorzystanych do dzisiaj zasobów archiwalnych poszerzyłoby spojrzenie młodych historyków rosyjskich przede wszystkim na związki naukowe polsko-syberyjskie.

Rozdział drugi – *Gospodarcza działalność zesłańców politycznych polskich w pierwszej połowie XIX w.* – omawia trzy wiązki problemowe: udział w działalności przemysłowej, handlowej oraz w rolnictwie. Dla Autorów przewodnikiem były przede wszystkim prace Wiktorii Śliwowskiej (*Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998) oraz Franciszka Nowińskiego (*Polacy na Syberii Wschodniej. Zesłańcy w okresie międzypowstaniowym*, Gdańsk 1995). Znacznie poszerzyli ten obraz na podstawie zidentyfikowanych źródeł archiwalnych. Rzecz jest jednak bardzo skomplikowana, bo były tu różne grupy zesłańców, z których nawet skazani na katorgę nie zawsze pracowali fizycznie. Niektórzy otrzymywali zasiłki z kraju i praktycznie nie byli rejestrowani jako prowadzący działalność gospodarczą. Byli wśród nich tacy, co mieli wytwórnie mydła i świec lub zajmowali się wyrobami ceramicznymi czy produkcją cegieł. Rzemieślników było niewiele. Prowadzących własne gospodarstwa rolne – jeszcze mniej. Tu zasłynął przede wszystkim folwark Józefa Antoniego Beaupré, z miejscową siłą najemną.

Trzeci rozdział – *Spoleczna i kulturalna działalność polskich zesłańców politycznych na terenie Zabajkala w pierwszej połowie XIX w.* – podejmuje trzy wiązki problemowe: działalność społeczną, oświatową oraz naukowo-badawczą. Jest to największa część książki. Tu Autorzy w dużym stopniu wykorzystali publikacje Śliwowskiej oraz Trynkowskiego, ale także obszerną literaturę dotyczącą dekabrystów. Podkreślili, że dekabryści na zesłaniu w Zabajkalu stanowili kwiat inteligencji rosyjskiej. Bardzo serdecznie odnosili się oni do Polaków, których niejednokrotnie byli opiekunami i przewodnikami w czasie adaptacji w trudnych warunkach prowincji rosyjskiej. Nie było wśród nich konfliktów na tle etnicznym. Wręcz przeciwnie, zawsze spieszyli sobie z pomocą w trudnych chwilach. Postacią szczególną wśród Polaków był przede wszystkim wspomniany Beaupré,

lekarz i właściciel folwarku (na temat stworzonego przez niego „Ogółu”, organizacji samopomocowej, pisał wcześniej Jan Trynkowski; w książce problem ten pogłębiono). Autorzy wskazali, że dzięki Polakom znacznie podniósł się poziom oświaty w tej części Syberii. Powstały także prace naukowe o nieprzemijającej wartości poznawczej, jak choćby Agatona Gillera *Opisanie Zabajkalskiej krainy w Syberii* (Lipsk 1867), czy Antoniego Wałęckiego opisy Daurii i Bajkału, wciąż cytowane w pracach historycznych.

Aczkolwiek znaleźliśmy niemal wszystkie wiązki problemowe podjęte przez Autorów, wartość ich pracy jest bezdyskusyjna, gdyż ukazany przez nich obraz jest bardziej pogłębiony. Źródła polskie (pamiętniki, listy, archiwalia) są jednostronne. W książce mamy spojrzenie na całość problemu osób mających dostęp do bogatej literatury rosyjskiej, w tym przede wszystkim o dekabrystach. Ale najważniejszą jej zaletą jest fakt, że to właśnie badacze rosyjscy podjęli trud przedstawienia pewnego wycinka dziejów polskich związków z Zabajkałem. Zestaw literatury ujawnia jeszcze inny problem. Rzut oka na własne prace Autorów wskazuje, że ośrodek historyczny w Ułan-Ude, stolicy Buriacji, zajmuje się bardzo gruntownie dziedzictwem kulturalnym zesłańców polskich na Zabajkału. Niewątpliwie jest to w pewnym stopniu także owoc wsparcia ze strony o. Adama Romaniuka, proboszcza parafii Przenajświętszego Serca Jezusa Chrystusa w tym mieście. Dopowiedzmy tu jeszcze, że w Ułan Ude ukazują się rocznik „Poljaki w Buriatii” na łamach którego ukazują się artykuły o polskich związkach z tą częścią Syberii, a wartym podkreślenia jest również i to, że w środowisku tym prowadzi swoje prace badawcze Natalia Ejbart oraz działa tam polskie stowarzyszenie społeczno-kulturalne „Nadzieja”, inspirujące poniekąd te badania nad dziejami Polaków na Zabajkału, w czym wielką zasługę posiada jego założyciel Waclaw W. Sokołowski goszczący też kiedyś we Wrocławiu. Z pewnością Autorzy zawdzięczają wiele redaktorowi naukowemu książki, która na odległość wspierała ich w pracy. Na miejscu zabrakło jednak dobrego redaktora technicznego, który mógłby np. skrócić treść dokumentacyjną, a w tym powtarzające się publikacje w notkach. Bardzo często na jednej stronie przywoływane są one w pełnym zapisie, co jest zbędnym balastem. Ogólna refleksja: Warto zapraszać do Polski na kwerendy archiwalne i biblioteczne młodych historyków syberyjskich. Polska Akademia Nauk wraz z Kasą im. J. Mianowskiego powinna wypracować model, który mógłby pozwolić na pracę rosyjskim historykom w Polsce, a polskim w Federacji Rosyjskiej.

Zbigniew J. Wójcik

- **Irena Stasiewicz-Jasiukowa, *Książdz Stanisław Rojek Sch. P. Biografia niezwyčajna niezłomnego kapłana kresowego w latach 1939-1996*. Wyd. Retro-Art, Warszawa 2007, s. 64.**

Na wstępie należy przypomnieć o kontaktach Komitetu Historii Nauki i Techniki Polskiej Akademii Nauk z Towarzystwem Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej. Wspomniane stowarzyszenie prowadzi swą działalność na terenie przedwojennego województwa nowogródzkiego i skupia w swych szeregach tamtejszych Polaków. W ciągu wieków Ziemia Lidzka wydała wiele znakomi-

tych postaci. Jednakże nie zawsze pamiętamy o ich wkładzie do światowej skarbnicy wiedzy. Biorąc ten fakt pod uwagę, z tym większym zadowoleniem należy powitać zainicjowany przez Irenę Stasiewicz-Jasiukową z Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN, wraz z prezesem Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej Aleksandrem Kołyszka, pomysł wydawania dwujęzycznych tomików pod tytułem *Wybitni Polacy na Ziemi Lidzkiej*.

Pierwszy, pióra pracownika naukowego PAN dra Pawła Komorowskiego i prezesa Aleksandra Kołyszki, ujrzał światło dzienne w 1999 r. Został poświęcony uczestnikowi konspiracji młodzieżowej w Wilnie Ludwikowi Narbuttomu (1832-1863), który w 1848 r. znalazł się w więzieniu i przebywał na zesłaniu. Po odzyskaniu wolności brał udział w powstaniu styczniowym, pełniąc funkcję naczelnika sił zbrojnych w Lidzkim (obecnie Republika Białoruś). W wieku 31 lat poległ śmiercią żołnierza w bitwie pod Dubiczami. W rok później ukazał się drugi tomik, dedykowany wybitnemu uczoneму Ignacemu Domeyce (1802-1889). Autorami byli znani profesjonaliści z Muzeum Ziemi PAN: prof. Krzysztof Jakubowski i prof. Jadwiga Garbowska. Nasz sławny rodak walczył w powstaniu listopadowym, a po upadku zrywu uciemiężonego Narodu wyjechał do Francji, gdzie ukończył Szkołę Górniczą (Ecole des Mines). Największe uznanie sławiące Polskę zdobył w Ameryce Południowej. Jego zasługi dla nauki, gospodarki i kultury Chile były tak znaczące, że po dzień dzisiejszy budzą zainteresowanie wielu historyków nauki.

Tomik trzeci (2003) jest dziełem prof. Wandy Grębeckiej z Polskiej Akademii Nauk. Dotyczy życia i działalności zasłużonego botanika z przełomu XVIII i XIX wieku, Stanisława Bonifacego Jundziłła (1761-1847). Założył on w Szczuczynie szkolny ogród botaniczny i wprowadził nowe, wykluczające werbalizm, metody nauczania przyrody. Swymi odważnymi pomysłami sprawił, że pod tym względem Kolegium Pijarskie w Szczuczynie nie miało sobie równych. Jego talent ujawnił się też w okresie dwudziestoletniej profesury na Uniwersytecie Wileńskim, gdzie wykładał botanikę i zoologię. Wykorzystywał najnowsze osiągnięcia naukowe, zwłaszcza z dziedziny fizjologii roślin, a ponadto uwzględniał w szerokim zakresie praktyczne ćwiczenia terenowe. Aby ułatwić studentom dostęp do wiedzy, napisał kilka podręczników do nauki botaniki i zoologii.

W tomiku czwartym prof. Irena Stasiewicz-Jasiukowa zaprezentowała nam innego przedstawiciela znamienitego rodu Narbuttów – Kazimierza (1738-1807). Jako nauczyciel historii, retoryki i języka francuskiego w poleskiej Dąbrowicy, wywiązywał się ze swych powinności tak sumiennie, że niebawem uzyskał etat wykładowcy filozofii w prestiżowym pijarskim Collegium Nobilium w Wilnie. Poza tym powierzono mu funkcję zwierzchnika wileńskiej drukarni pijarów. Jego wielkim dorobkiem publicystycznym była pierwsza w języku polskim książka *Logika, czyli rozważania i rozsądzania rzeczy nauka*, która została wydana w Wilnie w 1769 r. Następne edycje ukazały się w latach 1782, 1791 i 1799. Należy podkreślić, że przez długi czas zastępowała ona podręcznik w szkołach Wielkiego Księstwa Litewskiego. Kolejna praca Kazimierza Narbutta *Z filozofii wybrane zdania* (1771) zawiera 96 tez filozoficznych i naukowych uwzględniających mię-

dzy innymi nauki przyrodnicze, matematyczno-astronomiczne i fizyczne. Oprócz tego został powołany przez Komisję Edukacji Narodowej na członka Towarzystwa do Ksiąg Elementarnych. Opiniował powstające nowe programy nauczania i brał udział w przygotowywaniu *Ustaw szkolnych*.

Recenzowana obecnie książka dotyczy życia i działalności księdza Stanisława Rojka Sch. P. na obszarze należącym przed drugą wojną światową do północno-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Powstała w oparciu o dotychczas nie publikowane rękopiśmienne wspomnienia kresowego kapłana. Autorka nadmienia, że w 1939 roku przyjechał on z Krakowa na rok do Lidy, która była powiatowym miastem w województwie nowogródzkim. W pijarskim Gimnazjum Handlowym miał zastąpić czasowo nieobecnego nauczyciela. Pozostał tam jednak do końca swego długiego życia (88) i wszedł do historii jako niezłomny obrońca tożsamości narodowej i katolicyzmu Polaków. Przeżył potworną okupację sowiecką oraz hitlerowską, prześladowano go bezlitośnie, łącznie z próbą fizycznego unicestwienia. Demolowanie kościołów i napady na uczestników nabożeństw powtarzały się bardzo często. Trzeba było nie lada odwagi i hartu ducha, aby przetrwać te koszmarnie czasy. Dzięki bezpośredniemu kontaktowi nawiązanemu z sędziwym pijarem i w czasie wielu z nim rozmów Autorka uzyskała sporo istotnych szczegółów z Jego długoletniej gehenny. Otrzymaliśmy pracę niezwykle cenną i godną rozpowszechnienia. Została zredagowana fachowo, rzetelnie i bardzo interesująco. Umiejętność zaprezentowania poruszonych zagadnień w łatwo przyswajalnej formie sprawiła, że czyta się ją z niesłabnącą uwagą. Wartościowym uzupełnieniem tekstu są liczne fotografie, przedstawiające m.in. kościół farny i kościół pijarski pod wezwaniem św. Józefa Kalasancjusza w Lidzie, fragmenty rękopisu wspomnień księdza Stanisława Rojka oraz uroczystości sakralne. Książka powinna koniecznie znaleźć się w różnych księgarniach i zasilić biblioteki szkolne oraz publiczne.

Roman Karczmarczyk

- **Łucjan Z. Królikowski, *Skradzione dzieciństwo. Polskie dzieci na tularczym szlaku 1939-1950*, Wydawnictwo OO Franciszkanów „Bratni Zew”, Kraków 2008, ss. 348, mapy i fotografie.**

Dramatyczne losy Polaków – ofiar represji stalinowskich po zajęciu przez Armię Czerwoną ziem wschodnich II RP są tematem wielu opracowań i wspomnień. Wciąż dalekie są jednak od pełnego zbadania. Recenzowana książka przybliży losy części dzieci polskich wywiezionych w głąb ZSRR. Autor ukazał ich pobyt na Syberii, a następnie, po ich odzyskaniu spod władzy bolszewików, w Afryce, Azji i Ameryce. Podstawą publikacji są wspomnienia własne oraz zasłyszane i spisane pod koniec lat pięćdziesiątych na wychodźstwie przez franciszkanina Ł. Królikowskiego. Recenzowane dzieło składa się z pięciu wstępów, pięciu chronologicznie ułożonych części, epilogu i pokłosa. Jest poprawionym pierwszym krajowym wydaniem książki opublikowanej pierwotnie kilkadziesiąt lat temu na emigracji. Autor najwięcej uwagi poświęcił sierotom, którymi sam się opiekował w Afryce (w obozie w Tengeru). Opisuje próby ko-

munistycznych władz przejęcia po wojnie dzieci z tamtejszego sierocińca i ich dalsze losy po wyjeździe do Kanady.

Książka jest przeznaczona dla szerokiego kręgu odbiorców w kraju i na emigracji. Nie dziwi więc, że w pracy tych rozmiarów jest tylko 65, głównie informacyjnych, przypisów. Publikacja m.in. ma przypomnieć dzisiejszemu czytelnikowi podobny los dzieci różnych narodowości i ras nękanych w wielu częściach świata „przez nieposkromioną żądzę władzy, bogactwa, sukcesu oraz źle pojmowanej niezależności” (s. 18). Podział wewnętrzny pracy na części i podrzdziały jest trafny. Wydaje się jednak, że gdyby książka miała charakter w pełni naukowy, należałoby albo zmienić nieco tytuł albo scalić ze sobą oraz skrócić epilog i pokłosie.

Recenzowane dzieło ma aż pięć wstępów. Ma to, jak można przypuszczać, podnieść wartość książki w oczach potencjalnego czytelnika. W pierwszym wstępie, nie pozbawionym akcentu osobistego, w imieniu Instytutu Pamięci Narodowej przedstawia trafnie publikację prof. Jan Żaryn. Następne cztery pochodzą z kolejnych wydań dzieła. Najtrafniej wprowadzający czytelnika w atmosferę czasów wojny i łagrów, napisał znany opiekun powojennej polskiej emigracji arcybiskup Józef Gawlina. Część pierwsza i druga publikacji ma charakter obszernego wprowadzenia. Najpierw ojciec Ł. Królikowski naszkicował terror jaki zapanował po wkroczeniu wojsk radzieckich na tereny II RP oraz akcję wysiedleńczą na wschód. Często na konkretnych przykładach opisuje m.in. dramatyczne rozdzielanie rodziców i dzieci czy nadużycia pracowników łagrów, których ofiarami padali zesłani. Ukazuje trwogę jaką wzbudzała u wysiedlonych świadomość „że możemy się stąd nigdy nie wydostać” (s. 45).

Autor – słusznie – nie szczędzi czytelnikowi drastycznych opisów położenia Polaków wywiezionych z rozkazu Stalina na wschód. Przypomina równocześnie, że podobny los dotknął też olbrzymią rzeszę obywateli ZSRR. Ukazanie w całej grozie pobytu Polaków w więzieniach, na zesłaniu i w łagrach w latach 1939-1942 jest ze wszech miar słuszne. Przybliży młodemu czytelnikowi obce dla niego realia panujące w ZSRR i pozwala zrozumieć trudności przed jakimi stanęli opiekunowie dzieci po wywiezieniu ich spod kontroli bolszewików. Przedstawiony w pierwszej części pracy obraz nie jest jednolicie czarny. Autor ukazuje częstą pomoc i życzliwość ze strony innych mieszkańców Syberii. Opisuje, nie jedyny przecież, przypadek obrony represjonowanych Polaków przez współwięźniów Rosjan. Nie zabrakło wzruszającej sceny ponownego spotkania rozdzielonej rodziny (s. 63); pięknych opisów przyrody np.: „Nawet przy największym zmęczeniu i trwodze trudno było się oprzeć urokowi tego lasu pełnego żywicznych zapachów. Nie wiedzieliśmy, co bardziej podziwiać: czy mchy czy paprocie, czy proste jak świece świerki, czy sosny o złotawych pniach i białe brzozy.” (s. 41) a nawet humorystycznych jak okradzenie polskiego detektywa przez kieszonkowców (s. 53). W kolejnej (najmniejszej) części książki autor ukazał losy polskich obozów w Indiach, na Bliskim Wschodzie, Meksyku i Nowej Zelandii, w których rozmieszczono dzieci po wyjeździe z ZSRR. Wskazał na podobieństwa i różnice w organizacji tych wysp polskości w różnych regionach świata, uwarunkowania lokalne ich działalności i okoliczności likwidacji.

Największą ilość dzieci skierowano do obozów rozrzuconych w wielu regionach Afryki. Ich losy autor obszernie omówił w trzeciej części recenzowanej publikacji. Ojciec Ł. Królikowski zdecydowanie najwięcej miejsca poświęcił

małym mieszkańcom Tengeru. Bardzo często na ich przykładzie przedstawiał życie najmłodszego pokolenia Polaków żyjących w obozach na czarnym lądzie. Opisał smutne następstwa jakie dla opieki nad dziećmi i ich kształcenia miał pobyt w ZSRR (m.in. demoralizacja, choroby, brak lub niewłaściwe wzorce zachowania, skłonność do kradzieży, zaniki pamięci). Omówił też inne trudności z jakimi musieli się zmagać opiekunowie.

Do najważniejszych należały: brak męskich wzorców dla dorastających chłopców; negatywny wpływ długotrwałego tymczasowego pobytu w obozach po wyjeździe z ZSRR i związanej z nim pewności utrzymania („nam się należy”); wadliwa struktura społeczna (wśród dorosłych zdecydowana większość to kobiety); malaria; poważne problemy kadrowe i lokalowe; kłopoty z uruchomieniem i działalnością szkół zawodowych oraz wynikający z nich nadmiar uczniów w szkołach ogólnokształcących; egzotyczna przyroda często skutecznie odciągająca uczniów od nauki. Warto podkreślić, że szkoła w połączeniu z harcerstwem, wycieczkami itp. zajmując czas dzieci i odciągając ich uwagę od niewesołej monotonii i tymczasowości życia obozowego poważnie ułatwiała utrzymanie dyscypliny.

Równocześnie omawiana część pracy jest pełna pięknych opisów przyrodniczych i różnorodnych kłopotów jakie natura sprawiała Polakom. Przykładem prowadzone ze zmiennym szczęściem wojny naszych rodaków z wielotysięcznymi armiami mrówek. Można też tu spotkać uwagi etnograficzne oraz świetny opis postrzegania rdzennych mieszkańców Afryki przez część misjonarzy przed II wojną światową i w latach czterdziestych. Zwrócono uwagę na głęboką wiarę nawróconych murzynów i różnorodne konsekwencje kolonizacji dla rdzennych mieszkańców czarnego lądu (m.in. edukacja, pijaństwo). Autor omówił dużą rolę, jaką w opiece nad małymi ofiarami reżimu bolszewików odgrywali księża i zakonnice.

Po zakończeniu wojny komuniści różnymi środkami starali się ściągnąć do kraju Polaków pozostających na emigracji. Akcja ta nie ominęła sierot. W czwartej części pracy szczegółowo omówiono zmagania jakie w 1949 r. toczyli opiekunowie dzieci z sierocińca w Tengeru z komunistami o dalszy los podopiecznych (kolejno w Afryce, we Włoszech i w Niemczech). Przedstawia różnorodność środków jakie wykorzystywał reżim, upór obu stron i obłudę części zachodnich urzędników. Ojciec Ł. Królikowski ukazuje m.in. interwencje dyplomatyczne komunistów na arenie międzynarodowej i rozpętaną przez nich kampanię prasową. Czytelników chcących dogłębnie zapoznać się z przebiegiem wypadków opisanych w tym fragmencie książki autor odsyła do zbiorów archiwalnych, w których przechowywana jest znaczna część ważnych dokumentów dotyczących omawianej sprawy.

W ostatniej, piątej części swego dzieła ojciec Ł. Królikowski przedstawił losy polskich sierot z Tengeru po przyjeździe do Kanady. Ukazał m.in. trudności w adaptacji, udane i mniej udane próby znalezienia się przez pozostających pod jego opieką dorastających młodych ludzi w nowej rzeczywistości oraz bezowocne usiłowania komunistów ściągnięcia ich do kraju. Omówił bardzo duży wpływ jaki na dalsze życie sierot miały doświadczenia syberyjskie. Wbrew tytułowi książki w ostatniej części recenzowanej publikacji ojciec Łucjan Królikowski doprowadził losy swych podopiecznych daleko poza 1950 r. W tej czę-

ści pracy autor słusznie syntetycznie opisał także opiekujących się dziećmi wywiezionymi z ZSRR. Najwięcej miejsca poświęca organizacjom katolickim i ludziom Kościoła, z których pomocą zetknął się osobiście. Należy tu wymienić m.in. działającą z ramienia episkopatu amerykańskiego National Catholic Welfare Conference – Catholic Relief Service z jej Sekcją Polską.

Późne echa pobytu dzieci w ZSRR autor ukazuje w epilogu. Ważne miejsce zajmuje tu ich świadomość o wielu krewnych i współtowarzyszach niedoli, którym nie było dane opuścić Syberii. W kończącym pracę pokłosiu zamieszczono 2 związane tematycznie z książką artykuły dotyczące polskiego harcerstwa w Afryce; informację o zjazdach tych, którzy przeżyli „Wielką Przygodę” na czarnym lądzie; przykład fałszowania dziejów polskich dzieci w Afryce przez komunistyczną propagandę oraz na kilku przykładach zasygnalizowano zróżnicowane losy tych dzieci, które na długo lub na zawsze pozostały w ZSRR.

Na końcu pracy zamieszczono ponad 80. fotografii z prywatnych zbiorów ojca Ł. Królikowskiego. Przedstawiają głównie dzieci uratowane z ZSRR. Harmonizują one z, dobrze dobraną, okładką książki. Publikację wzbogacają też 3 mapy. Ukazują jak bardzo rozproszone były obozy, w których przebywały dzieci. Dobór fotografii i map jest trafny. Publikacja została wydana pod patronatem Instytutu Pamięci Narodowej. Patronat medialny objęli: 2 program polskiego radia; serwis informacyjny fraciszkanie.pl oraz „Niedziela Tygodnik Katolicki”. Bardzo niewielka ilość danych statystycznych (np. ilości dzieci i dorosłych w poszczególnych obozach) jest w pełni usprawiedliwiona oparciem się autora głównie na wspomnieniach. Głównie, gdyż, jak wskazują przypisy, sporadycznie autor korzysta także z prasy (np. polskiej wydawanej w Indiach) oraz wcześniejszych publikacji.

Z obowiązku recenzenta należy wspomnieć o niektórych z nielicznych błędów. Trudno zgodzić się z poglądem autora jednego ze wstępów do książki, że „Zesłańcy, łagiernicy od setek lat nie uzyskiwali przecież powtórnego prawa do wolności.” (s. 10). Przykładowo w ramach carskich amnestii powrócili do rodzinnych stron tysiące uczestników powstania styczniowego. Ojciec Ł. Królikowski wyolbrzymał rolę Tarasa Borowca ps. „Bulba” w dziejach ukraińskiej nacjonalistycznej partyzantki w czasie II wojny światowej (s. 7)¹. Jest też garść utrudniających lekturę literówek (głównie w części czwartej): s. 175 wiersz 8 od góry, s. 215 wiersz 8 od góry, s. 255 wiersz 20 od góry, s. 256 wiersz 5 od góry, s. 261 wiersz 8 od góry, s. 263 wiersz 15 i 21 od góry, oraz s. 272 wiersz 12 od góry.

Bardzo ważnymi atutami recenzowanej publikacji są potoczny język i ukazanie bogactwa dramatycznych losów niewinnych ludzi. Jak bowiem słusznie pisze we wstępie J. Żaryn „Nie sposób jednak do końca zrozumieć tamtejszych przeżyć i czasów bez wczytania się w konkretne biografie zesłańców” (s. 9). Książka jest przepojona głęboką wiarą autora – franciszkanina i więźnia gułagu. Nie kryje on swego emocjonalnego stosunku do opisywanych wydarzeń. Recenzowana książka poważnie wzbogaca wiedzę o najmłodszych naszych rodakach zesłanych na Syberię, którym udało się opuścić ZSRR.

Tomasz Skrzyński

¹ Z morza literatury na ten temat np. G. Motyka, *Partyzantka ukraińska 1942-1960*, Warszawa 2006.

